

Kay Langdale

JEŚLI
NIE
MIŁOŚĆ

Przełożyła z angielskiego
Urszula Gardner



Wydawnictwo „Książnica”

Ostatni fragment

*Czy otrzymałeś
od życia wszystko, co chciałeś?*

O tak.

A czegoż od niego żądałeś?

*Pragnąłem zwać się kochanym, miłości
poznać smak.*

Raymond Carver

ROZDZIAŁ 1

Sara

Ślubiszże go nigdy nie opuścić

Sara zastanawiała się, odwieszając ścierkę kuchenną, czy na dłoniach zostały jej choćby drobne ślady fioku z gumowych rękawiczek, których używała do mycia naczyń. Wolałaby nie być postrzegana jako czterdziestoparolatka o palcach woniejących nawilgłym lateksem, z kłaczkami bawełny przyczepionymi do opuszek. Ilekroć badała oczy swoich pacjentów, była świadoma, że i oni mogą dokładnie się jej przyjrzeć. Zobaczyć każdy por skóry; wszelkie meandry linii włosów; zmarszczki w kącikach ust; sine kręgi pod oczami; odrobinę mleka na wardze nieoblizaną po wypiciu cappuccino w drodze do pracy. Wiedziała jednak, że podobna wymuszona bliskość w konsekwencji prowadzi do zubożenia. Wiedziała, że człowiek wyzbywa się nieśmiałości, stając oko w oko z mężczyzną, kobietą, starcem, dzieckiem, zaglądając im głęboko w źrenicę, by obejrzeć pajęczą sieć naczyń włosowatych, szukając śladów zaćmy i jaskry, przez cały czas czując miarowy oddech pacjenta na policzku.

Przekonanie, że oczy są oknem duszy, mogła z łatwością podważyć. Miała za to do czynienia z oczami łzawiącymi i zaczerwienionymi od soczewek kontaktowych; z oczami zmrużonymi, wytrzeszczonymi albo zezującymi w próbie odczytania cyfr na tablicy okulistycznej. Sara była zdania,

że jej zawód wyleczył ją z patrzenia ludziom w oczy, aby rozszyfrować ich osobowość, poznać ich intencje, utwierdzić się w ich szczerości. Nie, dla niej oczy były zbyt pełne symptomów i sprzeczności; dlatego nauczyła się czerpać wiedzę o drugiej osobie z innych części ciała. Być może z tego powodu ostatnimi czasy zaciskała mocno powieki, kochając się z Michaelem; zamykała swoje oczy, unikając tym samym patrzenia w jego.

Sara nie była na weselu od wieków. Całkiem niedawno nastąpił w jej otoczeniu wysyp chrzcin, po czym zapanowała posucha, jeśli chodzi o tego typu uroczystości. Gdy zdarzało jej się minąć pannę młodą w drodze do kościołka albo kątem oka zobaczyć pana młodego z drużbą popalających papierosa przed gankiem, coraz częściej nachodziła ją myśl, w jaki u licha sposób dokopali się do pokładów woli umożliwiającej przeprowadzenie tego od początku do końca. Jak w dzisiejszych czasach można być ślepym na to, że małżeństwo wymaga samodyscypliny i samopoświęcenia? Czy naprawdę nie podejrzewają, jaki trud ich czeka i jak bardzo nie na miejscu wydaje się roztrząsanie wielkości bukietu, kroju sukni i tego, który utwór powinien towarzyszyć orszakowi weselnemu, kiedy raczej należałoby się skupić na tym, co trzeba zrobić, by za trzydzieści lat móc patrzeć na współmałżonka i nie krzyczeć?

Przypomniała sobie przyjaciółkę, która w jakiejś rozmowie powiedziała coś żartobliwie miłego na temat męża, dodając zaraz, że „to oczywiście było przed tym, zanim go znienawidziłam”. Roześmiały się zgodnie, gdyż połączyła je wiedza, że rozmówczyni zarazem nienawidzi i nie nienawidzi małżonka i że takie chwile przepełnione urazą, a nawet czystą furją, iż jest się skazanym na jedną i tę samą osobę, są zupełnie zrozumiałe. Zatem ilekroć widziała pannę młodą i drogą skojarzeń myślała o przewiązanych wstążką pudełeczkach ze słodzonymi migdałami, rozdawa-

nych gościom, uznawała, że niosą one o wiele poważniejsze znaczenie, niż się z pozoru wydaje. Zleżałe migdały bowiem nie tylko tracą kolor, ale zaczynają również wydzielać gorzki zapach kwasu pruskiego; od słodczy do trucizny, tak też może być.

Nie znaczyło to bynajmniej, że Sara właśnie tak postrzegała swoje małżeństwo; znaczyło raczej, że postrzegała je w ten sposób tylko czasami. Zrozumiała już, że jej związek z mężem to mieszanina czegoś, co niegdyś wydawało się pełnią miłości, z prozą życia; uczucie przytłumione przez to co powszednie i znajome. Widziała, jak łączące ich więzi zacieśniają się dzięki lepkiemu więzom z dziećmi, jak ich znajomość wspiera się poczuciem braterstwa i humoru, jak rodzi się w nich umiejętność współodpowiedzialności za potomstwo, przejawiająca się zrównoważoną troską matczyną i ojcowską (znajdującą na ogół wyraz w słowach „Daj spokój, Saro, nie bądź przewrażliwiona”).

Nieraz miała nadzieję, że zmierzają ku stanowi łaski opartemu głównie na wdzięczności, iż zdołali uniknąć katastrof, i gwarantującemu wzajemną bliskość we wspólnym życiu, kiedy dorosną dzieci, dostarczającemu poczucia spokoju i zadowolenia. Aczkolwiek niezdolnemu uchronić ją przed nadchodzącymi sporadycznie i całkiem nieoczekiwanie chwilami, gdy na przykład patrząc na ortodontę któregoś z dzieci, czuła rodzącą się namiętność, gorące pragnienie, by przytulił ją i pocałował inny mężczyzna, by mogła się uwolnić od egzystencji w charakterze żony Michaela i przyłożyć dłoń do policzka kogoś innego, i pocałować go w usta. Sara domyślała się, że podobne marzenia to pochodna narzuconej monogamii, lecz nawet ta świadomość nie czyniła ich mniej zenującymi ani mniej godnymi pożądaniami. Zdarzało się, że na ulicy zwracała uwagę na przystojnego mężczyznę, chociaż wiedziała, że do niczego między nimi nie dojdzie. (Zdawała sobie sprawę, że są ko-

biety pozbawione takich zahamowań, lecz ona była jedną z tych, które dotrzymują złożonych przyrzeczeń, dlatego natychmiast spuszczała oczy, przerywając krótki, elektryzujący kontakt wzrokowy. Co jej to mówiło o sobie, nie chciała się dowiedzieć. Wychowano ją w przekonaniu, że introspekcja jest obosieczną bronią i może zarówno wiele wyjaśnić zainteresowanemu, jak i osłabić jego siły).

Spoglądając na swoje odbicie w lustrze i wklepując podkład, wołając do dzieci, żeby spakowały się do szkoły, i przypominając im, że dziś zamiast gimnastyki jest pływalnia, Sara spostrzegła się, że bez dwóch zdań wygląda na swój wiek; skóra jakby zaczęła odstawać od ciała pod spodem i było coś posepnego w układzie jej warg. Z każdą ciążą, z każdymi urodzinami coś traciła, niezauważalnie się zmieniając. W nieuchwytny sposób stała się kimś innym, jak gdyby zasnuła ją warstwa drobniutkiego pyłu, ukrywając jej dawną zmysłową, rozświetloną wersję pod osadem żony, matki i gospodyni domowej.

Poza tym jednak nie narzekała. Michael był współnikiem w kancelarii adwokackiej i specjalizował się w pomocy azylantom i uchodźcom. Straciła rachubę uroczystych przyjęć, w których brała udział, przysłuchując się gościom opowiadającym sobie historie o ludziach przyczepionych do podwozia pociągów linii Eurostar, gdyż tak im było śpieszno skorzystać z usług wyspiarskiego narodowego funduszu zdrowia i zakładu ubezpieczeń społecznych.

Pamiętała za to każdą wizytę w biurze Michaela, gdzie natykała się na mężczyzn o przestraszonym spojrzeniu i ich nieufne żony, noszących podarowane ubrania przesiąknięte zapachem jedzenia gotowanego w załoczonych kuchenkach, zdruzgotanych i wciąż otumanionych, podczas gdy powstawały pisma mające przywrócić im ludzką godność i człowieczeństwo. Nieodmiennie spostrzegą, że jak na kogoś, kto żyje z zaglądania ludziom w oczy, nadzwyczaj

rzadko jest w stanie wytrzymać dłużej ich wzrok. Siedziała więc w milczeniu u boku Michaela podczas wszystkich tych uroczystych przyjęć, gdy on zdecydowanie i uparcie odmawiał angażowania się w pełne rasistowskich uwag rozmowy gości, i rozmyślała o tym, jak często czyjeś wyobrażenie o ziemi obiecanej okazuje się na wyrost i że jej życie również zdaje się toczyć na całkiem innej planecie (czy to możliwe, że zaledwie przed tygodniem podpisała list wystosowany przez Związek Anglii Wiejskiej w obronie ostatnich ścieżek do jazdy konnej w okolicy?), nie przestając odczuwać dumy z męża, ponieważ ją również nurtowało zagadnienie, jak być dobrym człowiekiem, i czuła się uspokojona, gdy widziała, że on jest dobry za nich oboje. („Czy troska o zachowanie pasów zieleni to dowód społecznej wrażliwości czy zbytek?” — zapytała którejś z minionych nocy, gdy leżeli z Michałem w łóżku, na co odsunął jej z czoła lok i odparł: „Nie powinnaś tak się martwić tym, czy przystajesz”). Biorąc pod uwagę okoliczności, dziwne było to, że o n niespecjalnie się tym martwił.

Sara zagoniła dzieci do samochodu, po czym posłała Jacka z powrotem do domu po worek z kąpielówkami i ręcznikiem. Czekaając, wspominała jedno z przyjęć, na którym poznali pewnego architekta i jego drugą, młodą żonę imieniem Candida. Jak rodzice mogli jej to zrobić i tak ją nazwać? pytała się w duchu Sara. Potem długo nie mogła się opędzić od obrazu wyrazistych kości policzkowych kobiety, jej smukłych kończyn i króciusieńko przystrzyżonych ciemnych włosów, od otaczającej ją aury, która zdawała się pienista, bulgocząca i cokolwiek nieświeża. A kiedy ów architekt powiedział: „Jeśli tylko współmałżonek nie jest straszną osobą, chodzi mi o kogoś, kto jest zdolny do naprawdę strasznych rzeczy, zdecydowanie doradzałbym trzymanie się go, ponieważ alternatywa jest niesłychanie niszcząca i bolesna dla wszystkich stron”, Sara zauważy-

ta, że Candida zamiera z widelcem zawieszonym w polowie drogi, jak gdyby chciała się odezwać, choć ostatecznie zmilczała, prowokując Sarę do zadania kolejnego pytania, mianowicie co za chaos rozciąga się za tamą jego słów i jej milczenia, jak również do tego, by rzucić spojrzenie przez stół, ku Michaelowi, w przelotnym poczuciu ulgi i wdzięczności.

Sara ucałowała dzieci i zostawiła je na ścieżce wiodącej do szkoły, stanowczo stwierdzając (nie po raz pierwszy zresztą), że doprawdy powinna mniej zastanawiać się nad życiem innych ludzi. Jej zachowanie nie było ani odrobinę bezinteresowne czy altruistyczne, tyle wiedziała; raczej miało coś wspólnego z układanką, przy której nieustannie intrygowało ją to, jacy są ci inni. (W szkole dotyczyło to nowej matki, która pojawiła się w zeszłym semestrze i przedstawiła wszystkim: „Jestem Kordula”. Dobry Boże, zareagowała Sara, to ci dopiero wyzwanie! Powiedziała to chyba nawet na głos, gdyż kobieta odparła: „Skądże znowu. Bardzo lubię swoje imię, no i zawsze mam pewność, że będę jedyną Kordulą na sali”. Sara jadąc do pracy, przez całą drogę próbowała dociec, czemu to imię, prawda, że rzadkie, uznała za dodatkowe obciążenie; być może dopatrzyła się w nim jeszcze jednego oczekiwania, jakie należałoby spełnić, podczas gdy ona ledwie dawała radę sprostać tym już jej postawionym).

Sentencja architekta, cokolwiek się za nią kryło, pozwoliła jej przetrwać połowę semestru szkolnego, gdy Michael był tak zajęty pracą, że niemal go nie widywała i właściwie czuła się jak matka samotnie wychowująca dzieci. Nawet kiedy wracał do domu wcześniej, był wobec niej oschły i poirytowany, tak że przypominał jej surowego nauczyciela, którego tak czy siak nie miała szans zadowolić.

Tym bardziej więc każdorazowo intrygowały ją momenty, kiedy ten dystans między nimi nieoczekiwanie się

zmniejszał (jak na przykład wtedy, gdy Michael poszedł do ogrodu i zerwał parę gałązek bzu, które następnie okręcił paskiem srebrnej folii i w takiej postaci wręczył jej, gdy siedziała przy stole w kuchni, czytając niedzielną gazetę; bardzo ją ujęło, że wyszedł z domu z nożyczkami i kawałkiem folii i zrobił dla niej coś takiego, w sposób przemyślany, lecz nie ostentacyjny, toteż poczuła przypływ prawdziwego uczucia, dziękując mu pocałunkiem).

Przez większość czasu ich małżeństwu nie można było niczego zarzucić (takiego zdania Sara była także teraz, stojąc w korku spowodowanym przez roboty drogowe). Gdyby ktoś poprosił ją, aby opisała Michaela, posiłkowałyby się słowami takimi, jak sumienny, przyzwoity i życzliwy, chociaż nadal pamiętała, jak we wczesnych latach ich znajomości już sam jego uśmiech powodował, że miękły jej kolana, i jak bardzo lubiła kłaść mu dłoń na plecach, wyczuwając kręgosłup nawet przez grube ubranie. Ich związek, widziała to wyraźnie, został opatulony w watolinę wspólnych przeżyć; przy okazji każdego porodu Michael trzymał ją za rękę i czytał na głos hasła krzyżówki, którą rozwiązywała regularnie, nacierał jej stopy olejkiem lawendowym i nie protestował, kiedy mówiła mu: „Och, odpieprzyłyś się wreszcie, bohaterze z tylnych rzędów”. Wciąż lubiła obserwować go przy niektórych czynnościach; jak pakował prezenty, nie zapominając podwinąć ozdobnego papieru, jak obierał pomarańcze i wiązał supły, i jak potrafił tak ułożyć walizki w bagażniku samochodu, żeby nie zmarnował się ani jeden centymetr kwadratowy powierzchni. Dla równowagi były też rzeczy, które doprowadzały ją do białej gorączki — to jak wyrzucał fusy po kawie do zlewozmywaka, nie dbając, że kamień się brzydko zabarwia, pomimo iż wielokrotnie prosiła go, by przestał; to jak zostawiał ogryzki po jabłkach w kieszeniach na drzwiach samochodu, pozwalając im tam gnić i cuchnąć; to jak oczekiwał od niej seksu niczym

rytuału, z nawyku, a nie z faktycznej potrzeby bliskości i uczucia czy czegokolwiek innego niż jego chęć pozbycia się nasienia.

W pewnym sensie dla Sary małżeństwo oznaczało nieustanne roztrząsanie za i przeciw i stawianie krzyżyków, coś na ogół w porządku i tylko z rzadka wspaniałego, a czasem zwyczajnie nie do zniesienia; bywało też, że czuła się tak, jakby ktoś przytroczył jej do pleców ciężar ponad siły, który deformował jej stos pacierzowy krąg po kręgu, aż w końcu była wykrzywiona do tego stopnia, że nie potrafiła ustać prosto. Przy takich okazjach wyłącznie miłość do dzieci i poczucie obowiązku wobec nich umożliwiało jej zaczerpnięcie oddechu pełną piersią.

Zarazem Sara zdawała sobie sprawę, iż z Michaeliem spędziła niemal tyle samo czasu, ile przeżyła wcześniej sama. Poznali się jeszcze na studiach, a pobrali wkrótce po rozdaniu dyplomów, tak więc osoba, którą przywoływała we wspomnieniach, kobieta nie będąca żoną Michaela, była tak młoda, tak nieukształtowana, tak zadufana w obliczu czekającego ją życia, że Sarze z największym trudem przychodziło się z nią identyfikować, nie mówiąc o znalezieniu czegokolwiek, co by je łączyło.

Pamiętała przejażdżkę na motocyklu po jakiejś greckiej wysepce i to, jak przednie koło wpadło w dziurę, wyrzucając ją i jej ówczesnego chłopaka z siodełka na pobocze, przy czym boleśnie rozorała sobie łydkę o tylne koło wciąż kręcące się jak szalone w powietrzu. Popatrzyła na nogę, zanim jeszcze poczuła ból, zanim zaczęła wyłuskiwać z rany drobiny żwiru powczepiane niczym rzepy w psią sierść, i zdumiała się, jak to mogło się stać. Tam, na tle zatoki turkusowego morza, do wtóru cykad grających w wysokiej trawie, kiedy wiozła w plecaku skromne drugie śniadanie złożone z bułek posmarowanych taramasalatą i przełożonych półówkami oliwek. Po latach Sara uprzytomniła so-

bie, że mając dwadzieścia lat, człowiek nie spodziewa się, by coś mogło pójść nie po jego myśli. Zarówno ona, jak i jej przyjaciółki sądziły, że życie jest łaskawe, a one zaliczają się do szczęśliwych wybranek losu; dlatego bez oporów korzystały nocą z przejść podziemnych i wynajmowały pokoje w podłych dzielnicach, ani przez moment nie dopuszczając do siebie możliwości, że to może się na nich zemścić.

Uprzytomniła sobie, mówiąc w skrócie, że nie były zaprogramowane na katastrofę. Znacznie później zastanawiała się, czy to narodziny pierwszego dziecka wyznaczają granicę pomiędzy braniem wszystkiego za dobrą monetę a stałym strachem i liczeniem się z najgorszym, jak gdyby tragedia i wszelkie okropieństwa miały spaść na głowę w każdej chwili. Miłość do nieskończonego bezbronno ludzkiego niemowlęcia, uznała ostatecznie Sara, przesądza sprawę dla większości kobiet. Wystarczyło zobaczyć noworodka, zahipnotyzowanym wzrokiem przyglądać się unoszącej i opadającej miniaturowej klatce piersiowej, drzeć, że jak tylko spuści się z niej oko, przestanie się poruszać („Stało się to dokładnie w chwili, kiedy matka weszła pod prysznic” — czyta się potem w gazetach), żeby nie móc odejść od dziecięcego łóżeczka i z Panem Bogiem lub kosmosem zacząć zawierać pakt, w których oferuje się nie wiedzieć co za możliwość opuszczenia pokoju na chwilę i nieustający, równy oddech dziecka.

Przede wszystkim jednak na początku ich znajomości Michael sprawiał, że Sara czuła się przy nim bezpieczna. Czuła, że może mu zaufać, że nigdy jej nie okłamie i że ta cecha jego osobowości, która kiedyś — niewykluczone — rozwinie się w pedanterię, a na razie objawia się nadzwyczajną skrupulatnością, rozgrzeszała ją z jej niepozbywania.

Mogła lepić babki z piasku i dekorować je kwiatuśkami, wywołując zachwyty dzieci, wiedząc, że ubezpieczenie

samochodu nigdy nie wygaśnie, bo Michael przypilnuje terminu wpłaty i przyklei stosowny znaczek w rogu szyby, a gdy będą jechali na wakacje, na przykład wybierając się aż do Włoch, nie zapomni pokolorować na mapie wybranej trasy, pamiętając (zwłaszcza w czasach przed wprowadzeniem euro), aby w odpowiednie miejsca atlasu drogowego włożyć właściwą walutę. (Jej matka, Lidia, która była zakochana w paru emocjonalnie nie zrównoważonych aktorach, powiedziała raz: „Skarbie, naprawdę nie wiem, jak ty to wytrzymujesz!”, na co Sara roześmiała się i odrzekła, że być może mają z tym coś wspólnego jej doświadczenia z dzieciństwa).

Patrząc z perspektywy, Sara przypuszczała, że właśnie dlatego jej matce brakowało uczuć macierzyńskich. Lidia bez przerwy brała pod swoje skrzydła jakiegoś nieudacznika, który wpadał przez drzwi i zamartwiał się, czy ma talent bądź, znacznie częściej, czy ma dość białe zęby albo dość interesujący tembr głosu.

Mając szesnaście lat, Sara zapytała ją, dlaczego zawsze zakochuje się w mężczyźnie, któremu płacą i którego okłaskują za udawanie kogoś innego, i czy to nie najpewniejszy sposób, by związać się z oszustem.

„Chodzi o emocje” — wyjaśniła jej matka. — „Chyba jestem uzależniona od intensywnych przeżyć”.

Nawet teraz, gdy jest po siedemdziesiątce, można na nią liczyć, gdy w grę wchodzi odwiedziny u wnuków; wpływa przez próg owinięta w ogromny karmazynowy szal, z powiekami umalowanymi na groszkowy kolor, i opowiada dzieciom o dawno zapomnianych przedstawieniach dawnych na deskach mola, a one siedzą i słuchają zafascynowane z otwartymi buziami, starając się nie uronić ani słowa, i Sara przekonuje się, że jest w stanie wszystko jej wybaczyć, ponieważ przynajmniej nie zestarzała się w dostosowaną monochromię, jaką ona zapewne będzie w tym wieku.

Teściowa była tak odmienna od jej matki, że Sara bez trudu ją pokochała za rzetelność i uprzejmość, za zdrowy rozsądek, których zabrakło Lidii. Niemniej zawsze intrygował ją brak zainteresowania Michaela własną adopcją. Kiedy powiedział jej, że jest adoptowanym dzieckiem, nie było to ogłoszenie na miarę rewelacji, na miarę czegoś, co ma olbrzymie znaczenie. Poinformował ją o tym tak, jakby mówił, że nie udało mu się zarezerwować stolika w restauracji na wieczór. Wciąż miała przed oczami tamtą scenę; byli na pikniku nad rzeką i właśnie poczyniła żartobliwą uwagę, że wołałaby, aby ich dzieci nie odziedziczyły skłonności do fantazjowania po jej matce.

Gdy następnym razem zobaczyli się z Sheilą, Sara zamysliła się nad tym, kim była biologiczna matka Michaela, jak a była; zarazem jednak, widząc Michaela i Sheilę obok siebie, nie mogła nie zauważyć, że jej spokój w jakiś tajemniczy sposób udzielił się jemu, jakby naprawdę był jej rodzonym synem. Jednakże czające się w genach pragnienie szczypty dramatyzmu w życiu popchnęło ją do pytania, czy jako dziecko nie snuł wyobrażeń o tym, że został oddany do adopcji przez pomyłkę, a stojąc na przystanku autobusowym, nie zastanawiał się, czy to nie jego matka go właśnie minęła w niebieskim sportowym aucie. „Nie” — odpowiedział. — „Jeśli o mnie chodziło... jeśli o mnie chodzi, przez cały czas trzymałem swoją matkę za rękę, stojąc na tym przystanku”.

To wszystko nabrało o wiele większego znaczenia, kiedy Sara urodziła pierwsze dziecko (wciąż pamiętała Rory'ego, maleńkiego i zakrwawionego w jej ramionach, z usteczkami jak pączek i ciemnymi oczkami wpatrzonymi w coś za nią, z paluszkami zaciśniętymi wokół jej palca wskazującego). Smugi jej krwi, ich krwi, mętnobiały czepek z owodni, to wszystko tylko wzmacniało poczucie, jak bardzo jej dzieci należą do niej: należały do niej przez zakotwicze-

nie w jej kościach, jej mięśniach, jej organach wewnętrznych, w każdym jej oddechu, dzięki któremu miały czym oddychać podczas dziewięciu miesięcy spędzonych w jej macicy.

Gdy Sheila i Henry przyszli do szpitala, Sheila najpierw odruchowo wygładziła prześcieradło, a potem nachyliła się i pocałowała ich oboje, po czym wzięła dziecko na ręce gestem tak ostrożnym i z tak radosnym uśmiechem na twarzy, że właściwie Sara nie miała powodu do obaw, a jednak pomyślała, że teściowej nie łączą z jej synem więzy krwi, że nie ma między nimi żadnego fizycznego łącznika. (Czy to także konsekwencja porodu, pytała się nieraz Sara, że nagle wszystko zdaje się takie cielesne, takie biologiczne? Bo w chwili gdy przekazywała Rory'ego w ręce jego babki, odczuwała taki sam niepokój, jakby zamiast Sheili stała pierwsza lepsza obca osoba, której los noworodka byłby zupełnie obojętny).

Przy narodzinach Grace (u dziewczynki stwierdzono żółtaczkę przedwczesną; jej organizm nie umiał sobie poradzić z pozostałościami krwi matki) Sara otrzymała kolejny znak, jak niesłychanie materialny jest węzeł macierzyństwa.

W momencie gdy przestała się niepokoić na widok Sheili trzymającej malutkiego Rory'ego, poczuła ukłucie żalu (podczas gdy jej nabrzmiąte od mleka piersi pulsowały boleśnie), że podobna chwila nie stała się nigdy udziałem teściowej, że Sheila nigdy nie tuliła w ramionach swego nowo narodzonego, pomarszczonego wciąż dziecka.

Później, gdy Rory miał już pół roczku, Sara ze wstydem przypominała sobie własną reakcję. Obserwowała Sheilę, gdy ta karmiła chłopca przetartymi warzywami, starannie wycierając mu brodę z nadmiaru papki. Gdy śpiewała mu stare kołysanki i piosenki, klaskała dla niego i chwaliła go, i kołysała na doświadczonych rękach. Jeszcze później, kiedy

wszystkie dzieci ewidentnie przepadały za babcią, wyobrażała sobie, że Sheila stworzyła ciałka krwi i szpik kostny z powietrza. Jej miłość i troska sprawiły, że powstała między nią i wnuczętami niemal biologiczna więź.

Kiedy Rory w pierwszej próbie powiedzenia „baba” wyrzekł „faba” (a następnie Grace i Jack podchwycili to określenie), wydało jej się całkiem naturalne, że nazywają Sheilę po swojemu. Żałowała, że w przeszłości pytała Michaela, czy nie zastanawiał się, kim była jego biologiczna matka, i czy nie sądził, że mogli mijać się na ulicy. A jednak gdy całowała czoła śpiących dzieci w letnią noc, czując ciepło ich skóry na wargach i wdychając ich zapach głęboko w płuca, znów obezwładniało ją uczucie, że powstały z jej ciała.

Wszystko wydawało się takie poukładane, takie skończone, gładkie i pewne aż do tej chwili, gdy Sara zaparkowała samochód i obchodząc supermarket, zmierzała w kierunku swojego gabinetu z uporczywie tętniącą jej w skroni banalną myślą o Harrym. Harry. Po pierwsze, czyż to nie śmieszne, że właśnie on? Harry, który jest przyjacielem Michaela jeszcze ze studiów; Harry, którego młodszą twarz uśmiecha się do niej z ich zdjęć ślubnych. Harry, który nieoczekiwanie wzbudza w niej taką tęsknotę, taką chęć, by wyciągnąć rękę i dotknąć go, że ubiegłej niedzieli, kiedy wraz z Kate i dziećmi przyszedł na lunch, Sara musiała wstać od stołu pod pretekstem, że koniecznie trzeba coś przynieść ze spiżarki, gdzie oparła dłonie i czoło o zimną ścianę i nakazywała sobie w duchu, że musi przestać na niego patrzeć, musi przegonić rumieniec z policzków i jakby nigdy nic spytać, czy ktoś chce więcej sosu żurawinowego, a potem sprawdzić, czy Jack zdołał pokroić sobie mięso. „Wszystko w porządku?” — zapytał ją Michael, kiedy wciąż lekko zaczerwieniona wróciła do jadalni (jak zwykle nic nie uszło jego uwagi). Odpowiedziała, że tak,

wachlując się dłonią, i dodała, że prawdopodobnie wypiła za dużo wina, przez cały czas świadoma tego, że ona i Harry ze wszystkich sił starają się na siebie nie zerkać i że ją drogo to kosztuje.

Śmieszne było również to, że nie dopadła jej nowa namiętność, że nie poznała kogoś na kolejnym zakręcie życia. Pewnego razu w Hiszpanii oglądała pokaz tradycyjnego tłoczenia oleju z oliwek; starą prasę obsługiwał osiołek z mozołem zataczający kręgi, każdemu pełnemu okrążeniu towarzyszyło złowieszcze skrzyknięcie. Wiedząc, że to nadinterpretacja, doczytała się w tym widoku metafory, dostrzegłszy coś ponad produkcję oleju, ale rzeczywiście jej egzystencja wyglądała podobnie i teraz także nie spotkała kogoś nowego — ani w hali sportowej, gdy po meczu hokeja na wóół zamarnięta czekała na dzieci, ani w pijalni soków, dokąd zachodziła po zajęciach z jogi, ani na kursie włoskiego, którego aż cztery lekcje zaliczyła zeszłej wiosny. Po prostu to był Harry, Harry skradający się zdradziecko i podstępnie, tak że nawet teraz, gdy przestępowała próg gabinetu i pozdrawiała recepcjonistkę Helenę, czuła nieustępującą ani na moment miękkość w głębi gardła i pożądanie rozlewające się ciepłą falą tuż pod powierzchnią skóry.

Początki zawsze działały na Sarę uspokajająco. Uważała, że jeśli tylko można prześledzić jakiś proces wstecz, aż do źródła, umiejscowić, gdzie dokładnie się zaczął, jest też możliwe jego zrozumienie. Lecz Harry... jak tego dokonać z Harrym? Czy to naprawdę działa się przez lata, a nie stało się znienacka, tak jak zdawało się Sarze, która miała wrażenie, że za pomocą katapuły przeniosła się w krajobraz, jakiego nie miała już nadziei nigdy oglądać? (Znowu w jej głowie odzywa się głos matki: „Skarbie, czy ty naprawdę musisz być taką starą nudziarą?“).

Odpowiedź z pewnością nie trafiłaby do przekonania jej matce, która urodziła jedyne dziecko przed dwudziest-

ką, a potem żyła tak, jakby ani jej ciało, ani życie nigdy tego nie doświadczyło. Tymczasem Sara postrzegała się przede wszystkim jako matka swoich dzieci, a dopiero potem wszystko inne, i choć czuła pewność, że Michael nadal jej pożąda i nie patrzy na nią krytycznym okiem, wiedziała też, że nosi ślady licznych porodów. (Kiedy jej piersi tak się zestarzały, a skóra zaczęła przypominać kozuch na mleku?). Jeśli chodzi o innych mężczyzn, dotąd nie posunęła się w myślach dalej niż do pocałowania ortodonta, a wszystkie jej eskapistyczne fantazje były przyzwoite i pozostawały w sferze marzeń.

Ale teraz, z Harrym, wkroczyła na nowe terytorium, tyleż niepokojące, co zadziwiające. Ogarnęło ją wrażenie, że stoi na ruchomych piaskach, że ziemia może w każdej chwili uciec jej spod stóp, że śliska lśniąca lawina uniesie ją daleko od jej poukładanego życia. A pomimo całej bezwzględności takiej egzystencji Sara zdawała sobie sprawę, że ten ład ma dla niej wielkie znaczenie; miały też znaczenie pojęcia takie, jak uczciwość i wierność, nagromadzone przez lata. Przykładając głowę do poduszki którejs nocy, powiedziała sobie, że to musi się skończyć, jak gdyby uczucia można odłożyć na bok pewną ręką niczym nierozpakowane zakupy, lecz potem we śnie znów pojawił się Harry, a raniem przebudziła się zbrukana, wciąż czując jego rosę na swej skórze. Byłoby jej łatwiej, gdyby mogła to traktować jak nieodwzajemnioną miłośćkę, drobną niegroźną fantazję, która rozwieje się jak chmura w szkwalistym wietrze, jednakże od tamtego dnia na łące, od perspektywy wyboru, przed jakim ją postawił, w istocie od perspektywy zdrady, opuściła swoje miejsce przy kieracie i przeniosła się na niepewny grunt, gdzie w zasięgu ręki nie ma nic, czym mogłaby się podeprzeć.

Zdawała sobie też sprawę, że wszystko to, aż do dnia na łące, składało się z ledwie znaczących momentów, led-

wie znaczących incydentów. Doszło między nimi do serii szybkich, niezbyt zręcznych gestów, które zdawały się pozycjonować ich ciała, ich świadomość w tym dziwnym, gorąco-miękkim miejscu. Pierwszy (przynajmniej sądziła, że był pierwszy; czy to zatem ten początek wymagający zdefiniowania?) zdarzył się dwa miesiące temu, kiedy wskutek zbiegu okoliczności i niepełnej informacji oboje zjawili się za wcześnie, aby odebrać chłopców po meczu. Z zaciągniętego sinymi chmurami nieba siąpiła mżawka, która zmusiła ich do schronienia się w kawiarence naprzeciwko boiska, podczas gdy ich synowie z włosami przyklejonymi do czaszki grali dalej w piłkę. Siedząc przy stoliku przy oknie, mało co widzieli, toteż Harry pochylił się i przetarł rękawem zaparowaną szybę akurat na czas, by mogli dostrzec Rory'ego przy bramce.

Stolik nakryty był obrusem w czerwoną kratkę i Sara rozmawiając i śmiejąc się z czegoś, co powiedział Harry, zorientowała się, że jej dłonie bez udziału świadomości przedstawiają dzbanuszek z mlekiem i cukierniczkę pełnymi skrępowania ruchami, które odzwierciedlały być może jej zmieszanie spowodowane tym, że nie pamiętała, kiedy ostatnio siedziała przy stoliku dla dwójga z mężczyzną innym niż Michael. Głównie jednak widziała dłonie Harry'ego po drugiej stronie blatu i zastanawiała się, czy Kate nadal potrafi dostrzec ich piękno, smukłość palców, wyrazistość kłykci, idealny kształt białych półksiężyców pod paznokciami, blond włoski porastające nadgarstek. Pomyślała, że takie pytanie jest nie fair wobec drugiej kobiety, skoro ona uważa Michaela za przystojnego tylko z przyzwyczajenia. Patrząc na męża, nie doznawała intensywnych uczuć, nie pragnęła zaraz wyciągnąć ręki i dotknąć go, na pewno nie doznawała tego, co czuła, gdy spoglądała na dłonie Harry'ego spoczywające na obrusie w czerwoną kratkę. Wiedziała zatem, że nie powinna oceniać Kate, że nie powinna

mieć jej za złe, iż nie traci tchu w piersiach na widok rąk Harry'ego ułożonych na poplamionym materiale.

Przycisnęła własne dłonie do kolan i patrzyła przez przetartą szybę na boisko, gdzie właśnie rozległ się ostatni gwizdek. Jak mogło umknąć jej uwadze, że rozmawia im się z taką łatwością i że używają podobnych słów na określenie tych samych rzeczy? Sara uzmysłowiła sobie, że nigdy nie znała Harry'ego jako wolnego mężczyzny. Kiedy poznała Michaela, Harry i Kate byli już razem. Ojciec Kate zmarł parę miesięcy wcześniej i było jasne, także dla Sary podczas ich pierwszego spotkania, że Harry zajął jego miejsce. Dla niej byli zawsze Harrym i Kate, nierozłączną całością, i nigdy nie myślała o jednym w oderwaniu od drugiego, chociaż teraz, spoglądając na siedzącego naprzeciw czterdziestodwuletniego mężczyznę, zrozumiała, że zawsze bardzo jej się podobały jego niesamowicie niebieskie oczy. (Co za niezwykle uczucie, myślała w drodze do domu, tylko jednym uchem słuchając opowieści Rory'ego na temat meczu, zobaczyć kogoś, kogo tak dobrze się zna, jakby po raz pierwszy i doznać olśnienia, że od długich lat odczuwa się do tej osoby pociąg). Przez całe lata Harry był gdzieś w pobliżu i nawet kiedy spotykali się we czworo, ona i Harry rozmawiali tylko ze sobą i do siebie się śmiali.

A ostatnio, w małym hotelu, w którym się zatrzymali z okazji urodzin wspólnego znajomego, Kate poprosiła ją o pożyczanie suszarki do włosów. Sara poszła na górę do ich pokoju i zapukała do drzwi. Wpuścił ją Harry, który powiedział, że Kate zabrała dzieci na plażę, a potem dodał: „Spójrz na tę wiśnię za oknem”, na co podeszła do balkonu i wyjrzała na ukwiecone gałęzie, on zaś stanął za nią, nieco tylko z boku, tak że natychmiast poczuła ciepło oblewające kark (pomyślała, że to niemożliwe, by ogarniał ją rumieniec) i nieoczekiwanie dla samej siebie uznała, że najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem byłoby obrócić się

i pocałować go, przez cały czas mając przed oczami obsypane kwiatami drzewo. Zamiast jednak cokolwiek zrobić, potaknęła, że widok jest piękny, po czym wcisnęła Harry'emu suszarkę do rąk (nie patrząc na niego, gdyż to byłoby początkiem jej końca, co do tego nie miała wątpliwości) i opuściła pokój pośpiesznie, nerwowo, i zatrzymała się dopiero przy schodach, gdzie z dłonią na poręczy balustrady nakazała sobie powstrzymać łomot serca.

Potem na plaży przyglądała mu się, jak rzuca frisbee chłopcom, podczas gdy Michael przysypiał koło niej. Zmysły miała wyostrome, zachwycała się zgrabnym łukiem lecącego kolorowego talerza, gładkością kamyków pod swoimi stopami i smakiem soli na wargach, i coś z tego sprawiło, że straciła na moment oddech. Wtedy Harry odwrócił się i posłał jej uśmiech, po czym podszedł i przysiadł obok na gołej ziemi, a ona zastanawiała się w duchu, dlaczego tak ją absorbuje ułożenie jego nóg w stosunku do jej ciała.

Późnym popołudniem wszyscy wybrali się na przechadzkę wzdłuż nadmorskiej ścieżki i tak się złożyło, że w pewnej chwili znaleźli się obok siebie, Harry powiedział coś, co ją rozbawiło, roześmiała się więc, widząc wyraźnie białe płaskie kamyczki trącane ich stopami, jaskrawożółty kolcolist zachodzący na ścieżkę, niebieskie niebo i krążącą nad głowami mewę; śmiała się serdecznie, jakby doznała wyzwolenia, i aż poczuła zawroty głowy od czystego morskigo powietrza wypełniającego jej płuca. Jack odwrócił się i powiedział: „Patrzcie, mamusia nie może przestać się śmiać!”, a ona czuła się taka szczęśliwa i taka żywa, że aż musiała rzucić spojrzenie w stronę Michaela, by przytrzymać się rzeczywistości, teraźniejszości, i schyliła się po kamyk, na którym zacisnęła w kieszeni palce, powtarzając sobie, że nie wolno jej zaznawać takich uczuć.

Doszła do wniosku, że pęd stanowi największe zagrożenie. Wszystko, jak wiedziała, z czasem nabiera rozma-

chu i zaczyna żyć własnym życiem; dobre słowa i złe słowa, złośliwości, które mogą wykrystalizować w jawną niechęć, a teraz to, z nagłą przebudzone w niej uczucie, które z każdym dniem rosło i pęczniało, zupełnie jak cebulka czy nasionko chłonące wodę i światło i wystrzelające w górę, przeobrażające się w coś ogromnego i mięsistego, i soczystego, zamieniające się w gęstwę tak splątaną, że trzeba się przez nią przedzierać siłą, jeśli chce się zrobić choćby krok. W parze szło rodzące się wrażenie, że to uczucie stało się nie tylko jej udziałem. W sposobie, w jaki Harry na nią patrzył, w tym, jak szukał jej wzroku, było coś, co mówiło jej, że i w nim zachodzi podobna transformacja. Rozciągała się pomiędzy nimi niemal materialna, chwilami wiotka, chwilami niebywale napięta, struna pożądania.

A potem był ten dzień na łące. Któregoś przedpołudnia w zeszłym tygodniu zatelefonowała do niej Kate, mówiąc, że nie uda jej się wyrwać ze szkoły, a Harry zabrał rano samochód do warsztatu i tam utknął, i pytając, czyby nie mogła go odebrać. W zgodzie Sary znalazło się ziarno zdrady, źdźbło winy, lecz przede wszystkim niezaprzeczalny entuzjazm na myśl o tym, że odbierając Harry'ego z warsztatu, zyskuje możliwość pobycia z nim sam na sam.

Kiedy dotarła pod warsztat samochodowy, Harry stał na dziedzińcu i na jej widok, gdy wysiadała z auta, raczej na pewno jej się to nie przywidziało, zaczął wyciągać ku niej ramiona, po czym opuścił je wzdłuż boków. (To chyba instynktowne, pomyślała, że nasze ciała zachowują się tak, jakbyśmy już byli kochankami). Podeszła do niego, a on zaraz powiedział, że jego samochód jest już prawie gotowy, i zaproponował, żeby podjechali na łączkę nieopodal i tam się przespacerowali. Sara zgodziła się, że to dobry pomysł, czując, jak słowo „tak” pali ją w usta, wiedząc, że tym samym wstępuje na śliski, niebezpieczny grunt. Wsiadając z powrotem do auta, pomyślała, że Michael nie zasłużył

sobie na to choćby dlatego, że nigdy w nią nie zwątpił, lecz wystarczyło, że zapalając silnik, spojrzała na dłonie Harry'ego, na jego smukłe palce i wyraziste kłykcie, i ledwie się powstrzymała, aby się nie pochylić i nie przytknąć do nich warg, do każdego po kolei, z jej włosami opadającymi mu na kolana. Musiała pomyśleć o dzieciach, o tym, co zrobiła im tego dnia rano na drugie śniadanie. Musiała pomyśleć o pracy, o przyborach okulisty, tabelach, soczewkach, badaniach w kierunku jaskry, spróbować zapchać sobie umysł drobiazgami codziennego życia: wózkiem ze zwichrowanym kółkiem, który z trudem pchała w supermarkecie; niepodpisanym formularzem ze zgodą na wycieczkę szkolną dzieci; garniturem Michaela, który trzeba oddać do pralni. Czymkolwiek, byle tylko nie zaczęła całować palców Harry'ego.

Lecz nawet teraz, tydzień później, nadal nie umiała myśleć o tym ze spokojem. Jej pamięć zdawała się rozgrzana i jedwabista, sprawiała, że Sara pragnęła zagryźć z całych sił wargi.

Łąkę nad strumieniem porastały wysokie wiotkie trawy, tu i ówdzie przezierały z nich baldaszki trybuli leśnej, kukułka zakukała w świeżym listowiu osiki; był majowy ranek, świeciło słońce, w którego promieniach roślinność zdawała się niesłychanie zielona i zdumiewająco żywa po szarej niepozorności zimy, a gleba ciepła w dotyku; wietrzyk drażniąco muskał jej skórę, a kiedy kukułka odezwała się ponownie, nie znalazł się tam nikt oprócz nich, kto by ją usłyszał, i Sara nie mogła pozwolić sobie na spojrzenie na jego usta, na jego dłonie. Przestrzeń między nimi wydawała jej się rozedrgana, rozbrzęczana, jakby ich ciała emanowały pole magnetyczne, gdy tak siedziała na skraju niskiego, rozpadającego się murka, czując, jak kamień wbił się jej w ciało, tkwiła niemal w bezruchu, nie przestając rozwłókniać i splatać długiego żdźbła trawy, którego sok

barwił na zielono linie papilarne jej palca wskazującego i rowki powstałe na opuszcze podczas prania, zmywania, obierania marchewek, wygładzania pościeli, rozpakowywania zakupów, te znaki świadczące o życiu tak odległym w tamtej chwili od tu i teraz, gdy pożądanie nabrało kształtów i ciężaru w jej gardle, gdy jej wargi zdawały się napuchnięte jak po ukąszeniu pszczoły, a piersi obrzmiące pod koszulką (to dość dziwne, że odpowiedziały na zew, że całe jej ciało przebudziło się na dawno zapomniany sygnał i zareagowało według starego wzoru), i gdy najbardziej ze wszystkiego w świecie chciała obrócić się twarzą do niego i szepnąć, by jej dotknął, by ją przytulił i pocałował prosto w usta.

Naprawdę zadziwiające, że jej fizyczna powłoka pamiętała, jak rozpaść się na atomy, dygocące i podzwaniające o siebie, i bez wątpienia pełne zapału, że jej serce wyrwało się spomiędzy żeber, a arterie pompowały niepowstrzymaną powódź krwi niczym w gorączce. Chociaż ani na moment nie wypuszczała z dłoni zmaltretowanego żdźbła, jej palce mechanicznie rozwłókniały je i splatały, a oczy kryły się odruchowo za ciemnymi szkłami okularów przeciwsłonecznych, ona po raz pierwszy od wielu lat poczuła swoje ciało, swoje „ja”, tam i wtedy, zupełnie jakby leżała na trawie naga, dopiero co wyrzeźbiona z czystej kości. Obok jej prawdziwego jestestwa spoczywały draperie małżeństwa i macierzyństwa, ozdobione nieskończoną miękkością i łagodnością, i twardością idącymi w parze z miłością do dzieci, przygniecione zamotanym tobołkiem codzienności, pracy, zakupów, gotowania, kupowania prezentów na urodziny i prasowania szkolnych mundurków. Całkiem jakby stanęła przed nim naga i podała mu swoją kobiecość na tacy, pozwalając, by przycisnął ją do ściany; jakby jej ręce, tak spokojne i zrównoważone przez te wszystkie lata, nagle zaczęły zdzierać z niego koszulę, szarpać zamek błyska-

wiczny przy spodniach; jakby faktycznie już całowała go po szyi z niewysłowioną delikatnością. Tymczasem kukułka kukała, strumień szemrał, wiosenne słońce grzało miło skórę, a Sara w duchu wspominała powieść przeczytaną wieki temu, kiedy miała dwadzieścia lat i była niezwykła i absolutnie egoistyczna, książkę o rzece, która zabrała kobietę i jej narzeczonego, i myślała sobie, jak łatwo by było poddać się temu, dać zwyciężyć chwili, pozwolić, by ociążała z namiętności członki przejęły nad nią kontrolę, przejmować się tylko sobą, tym, co ona pragnęła zrobić, zapomniawszy o konsekwencjach, lojalności, przyrzeczeniach złożonych w mrokach przeszłości, a wszystko to właśnie teraz, tego majowego przedpołudnia.

Harry odgarnął grzywkę z czoła i zaczął wolno mówić: „Nie umiałbym wyjaśnić, jak to się stało, ale prawda jest taka, że cię pragnę, że po tylu latach dostałem na twoim punkcie obsesji, nie potrafię myśleć o niczym innym”, chowając twarz w dłoniach, na co Sara odsunęła się, właśnie dlatego, że niczego innego nie chciała bardziej, jak rzucić mu się w ramiona, wiedziała jednak, że na zewnątrz, poza tym, jest Michael i Kate, i sześcioro dzieci i że ta chwila, tam na łączce przy strumieniu, nie pomieściłaby szczątków i krzywd wszystkich tych osób. I dlatego przyłożyła mu do warg swój palec, by nie mógł nic więcej powiedzieć, by nie wzmagął jej namiętności dalszymi słowami, które tylko potęgowały w niej pewność, po czym w milczeniu wrócili do samochodu i pojechali z powrotem do warsztatu, a w aucie było tak gorąco, tak niesłychanie gorąco, że Sara z najwyższym tylko trudem zdołała się skoncentrować na prowadzeniu.

Tego samego dnia pod wieczór, zanim Michael przyszedł do domu, a dzieci wciąż bawiły się na dworze, podczas gdy ona kroїła cebulę potrzebną do sosu, z jakim zamierzała podać makaron, rozległ się dzwonek telefonu i to

był Harry. „Przykro mi, jeżeli moje słowa cię...” — powiedział, urywając w połowie. Zaprzeczyła i dodała, że potrzebowała to usłyszeć. Harry milczał i ona też nie mówiła nic więcej, lecz żadne z nich się nie rozłączało; nasłuchiwali swoich oddechów. Sara nie była pewna, czy jej płuca zniosą kolejne zaczerpnięcie tchu, jakby klatka piersiowa mogła pęknąć pod wpływem następnego, choćby najłżejszego ruchu. Ale słuchanie, jak on oddycha — czy przynajmniej tyle było jej wolno, czy to niczym nie groziło? Wracając do krojenia cebuli, zorientowała się, że płacze, i pojęła, co znaczy złamane serce: to świadomość bliskości z drugim człowiekiem, przeczucie możliwego wybuchu namiętności przestłonięte poczuciem powinności i obowiązku; pojęła, że złamanego serca nie doświadcza się w wieku lat szesnastu, gdy człowiek w rozpacz zalewa się łzami, ponieważ druga strona postanowiła zakończyć znajomość. Nie, coś takiego nie ma nic wspólnego ze złamanym sercem. Za to wszystko o nim mówiło obecne bolesne pulsowanie pod żebrami i jej sprawne ręce z uporem siekające cebulę, przechylające puszkę z pomidorami nad patelnią i opłukujące ją przed wyrzuceniem do kosza, i usta udzielające odpowiedzi Grace, która zajrzała zapytać, kiedy będzie kolacja, informujące, że ma przed sobą jeszcze pół godzinki zabawy.

A jednak tego wieczoru, tydzień później, wspomnienie dnia na łące wciąż podrażniało jej nerwy. Wrócili do warsztatu, nie zamieniając ani słowa, mimo że na usta cisnęły się jej szczegóły na temat tego, co chciałyby mu zrobić, co chciałyby móc zrobić z nim, mimo że wiedziała, iż nic łatwiejszego, jak zatrzymać wóz i wsunąć mu dłoń pod białą koszulę, drugą ręką gładząc po włosach i całując go delikatnie, wygramolić się z fotela kierowcy, objąć go mocno udami i wprowadzić w siebie. Zamiast tego po prostu odstawiła go do warsztatu w milczeniu, z rozedrganym i wilgotnym ciałem, z ustami suchymi z pożądania. Popatrzyli

na siebie, lecz żadne się nie odezwało, kiedy wysiadał; spojrziała na leżące u swoich stóp porzucone źdźbło, po czym skierowała się w stronę domu, opuściwszy wszystkie szyby; zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie w stanie wrócić do tych chwil pamięcią i nic nie czuć.

Po kolacji, siedząc na łóżeczku Jacka, trzymając go śpiącego za rękę, patrząc na jego rozsypane na poduszce włoski i niebieską jak morze piżamkę z nadrukiem postaci piratów, słyszała, jak Grace ćwiczy w swoim pokoju grę na wiolonczeli, a Rory u siebie powtarza na głos łacińskie słówka, i myślała, że te właśnie dźwięki, ten obraz, to powinno być jej kotwicą, takie bowiem są rytmy jej życia utrzymujące ją przy nim i wiążące z domem. Wiedziała, że w domu Harry'ego odbywa się identyczny wieczorny rytuał. Z tą różnicą że wiolonczelę zastępował flet, błękit piżamki jakiś inny kolor, ale Kate tak jak ona siedziała na łóżeczku najmłodszego dziecka albo sprawdzała, czy starsze umyły zęby, a Harry być może niósł na górę szklanke wody lub wkładał naczynia do zmywarki bądź wyciągał korek z wanny. Każda z tych czynności w obu domach była święta, co Sara widziała tak wyraźnie, jakby ktoś wypisał jej to przed oczami, i rozumiała, że nic innego zwyczajnie nie mieści się w głowie, jest nie do pojęcia, jest niemożliwe. Cokolwiek czuła do Harry'ego, nie mogło zniszczyć nic z tego, co mieli. Lada moment miał wrócić Michael, któremu zamierzała podać na kolację rybę z grilla i sałatkę w misce, którą kupili podczas wspólnych wakacji we Włoszech; będą siedzieli przy stole, Michael sięgnie po młynek do pieprzu, sprezentowany im przez Sheilę przed iluż to już laty, i każda mijająca sekunda będzie potwierdzeniem, że to jest jej życie. Wystawić je na szwank było nie do pomyślenia.

Składając ręczniki dzieci i przeciągając je przez ramię wieszaka w łazience, Sara powiedziała sobie, że i tak byłyby

to tylko przelotny romans. Romans być może nacechowany pasją i spełnieniem, naszpikowany chwilami, do których mogłaby wracać pamięcią w podeszłym wieku, gdy pozostałoby jej tylko rozmyślanie o seksie. O seksie uprawianym w samochodach bądź wprost na trawie, wywołującym grymas bólu, kiedy ostrzejsze żdźbło wbijałoby się jej w plecy. O seksie, który by sprawił, że nie umiałyby spojrzeć w oczy ani Michaelowi, ani Kate. O seksie, który wgrzyzłby się w materię życia ich wszystkich. Romans ten zapewne, prawdopodobnie, wygasłby sam z siebie, pozostawiając szczątkowe zażenowanie i świadomość transgresji, przez co w kontakty między obiema rodzinami i w ich wzajemne stosunki wkradłoby się skrępowanie (Sara wyobraziła sobie, jak podczas grilla w ogródku następnego lata stoją po przeciwnych stronach ogniska, a podając sobie drinka, dokładają starań, by nie dotknąć się choćby jednym palcem).

Chociaż nie, Sara wiedziała, że romanse rzadko kończą się szybko i gładko kulturalnym cofnięciem się o krok do stanu rzeczy sprzed skoku w bok. Nauczyła się od matki, gdy jeszcze w czasach dzieciństwa słuchała nocami tyrad dobiegających z salonu na dole, że miłość czy namiętność, kiedy przemija, nie odchodzi w sposób cywilizowany i bezstronny. A gdyby zostali przyłapani (myśląc o tym teraz, ledwie zdołała przełknąć kawałek ryby, który nagle urósł jej w ustach, podczas gdy Michael jakby nigdy nic opowiadał o swojej najnowszej sprawie), zrobiłoby się naprawdę paśkudnie i chyba nie udałoby im się wyplatać z sieci kłamstw i zdrad. Czegoś takiego nie da się naprawić, miała co do tego taką samą pewność jak wtedy, gdy wieczorem oznajmiła zapłakanemu Jackowi, że jego zdalnie sterowany helikopter zepsuł się i nie można go naprawić po tym, jak przy pełnej prędkości uderzył w kamienny mur.

Zatem jeśli nie romans, zastanawiała się, dokładając Michaelowi sałatki, to może prawdziwa miłość? Miłość

w drugiej połowie życia, miłość dojrzała, kwitnąca? Miłość, którą by wybrała, będąc kobietą, a nie młodą dziewczyną; miłość do mężczyzny jako takiego, a nie do ojca jej dzieci? A potem pomyślała o architekcie i jego drugiej żonie poznanych podczas przyjęcia jakiś czas temu. Słowa „kwitnąca miłość” z pewnością nie opisywały ich związku. Pomyślała też o przyjaciółce, która wyszła ponownie za mąż i w zaufaniu (bez goryczy bądź cynizmu, lecz takim głosem, jakim przekazuje się innym wiedzę zdobytą wskutek bolesnych doświadczeń) podzieliła się z nią prawdą, że drugie małżeństwo ma skłonność do upodabniania się do pierwszego, gdy znów pojawia się egoizm, a znika dreszczyk na widok śpiącego partnera. (Z zamyślenia wyrwało ją teraz pytanie Michaela, który zauważył, że jest nieobecna duchem, i chciał wiedzieć, co się stało).

Cóż więc to znaczy? zastanawiała się Sara, wkładając brudne naczynia do zmywarki, podczas gdy Michael włączył telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, a pies związał się w kłębek w koszyku u stóp swego pana. Czy to, że uczucie nie ma prawa przetrwać? Że miłość staje się bardziej porowata z każdym kolejnym dniem wskutek naporu codzienności, że proza życia skubie jej brzegi i narusza warstwa po warstwie, aż w końcu nie zostaje nic, co można by podnieść, zobaczyć pod światło, udowadniając jej istnienie?

Może, rozważyła dalej Sara, część ludzi znajduje swoją pokrewną duszę, osobę, bez której ich życie nie byłoby pełnowartościowe, lecz większości z nas przychodzi zadowolić się zwykłą kompatybilnością i odrobiną sympatii, chomaćmi dzielonym między dwoje noszonym bez narzekań i rekryminacji po kres swoich dni? Czy zatem naprawdę nie wierzy w możliwość przetrwania namiętnej miłości pomiędzy dwojgiem ludzi, a skoro tak jest, jak marne musi mieć wyobrażenie o niej choćby w teorii? I czyż takie rozumowanie nie czyni z Harry'ego narzędzia utwierdzają-

cego ją w instynktownym przekonaniu, że nie wolno jej zostać niczyją kochanką?

W obliczu tego wszystkiego całkiem prawdopodobne wydawało się Sarze, iż jedyna realna miłość w jej życiu to uczucie do każdego z dzieci, uczucie nieomal dające się zamknąć w dłoni, nieodmiennie wywołujące ból w piersi.

Ale przecież któregoś dnia dzieci dorosną i przestaną kochać ją tak, jak kochają teraz, gdy jej życie i ich jest nieodwołalnie związane przez sieć wzajemnych interakcji, gdy potrzebują jej bezapelacyjnie. Kiedy dopiero raczkowały, przy niejednej okazji myślała, że traktują jej ciało jak przedłużenie własnego, wdrapując się po niej, wtulając w nią, chowając twarzyczki w zagłębieniu jej szyi. Wszystko co robiły — co Jack wciąż robi — było takie instynktowne, takie fizyczne; wciąż pamiętała zapach ich rozgrzanych włosów na wiosnę, szorowanie im pięt po całym letnim dniu spędzonym na bosaka, ich malutkie ciała zakradające się w środku nocy do jej łóżka, kulące się i niemal z nią stapiające, ich główki ułożone na jej ramieniu.

Nie zapomniała, jak przychodziła po nie do przedszkola, a one biegly w jej stronę i wskakiwały na nią, obejmując nogami w pasie. Nie zapomniała ich płaczu, gdy zdarzyło jej się zostawić któreś z opiekunką i po powrocie z przyjęcia zobaczyć — najczęściej Grace — zapłakaną i zawodzącą istotkę. W tamtych czasach dość było utulić je w ramionach, by zaradzić smutkom. Płakały, bo chciały, aby je wzięła na ręce, albo dlatego że upadły i skaleczyły się w kolano. Ale nadejdzie dzień, kiedy nie zdoła odegnać precz smutku, kiedy nie dość będzie usiąść przy ich łóżeczkach, aby przepędzić strachy.

Rosły jak na drożdżach i było więcej niż pewne, że wkrótce Sara przestanie im wystarczać. Zaczną prosić, by pożyczyla im samochód, i ledwie wręczy im kluczyki, zobaczy tuman kurzu za wozem. Albo będą stali naprzeciwko

siebie, rozdzieleni przez pół pokoju, i gdy ona powie, że wie, co mają na myśli, jękną w duchu: „Wcale nie o to mi chodziło”. Pewnego razu zobaczą ją, jak drzemie w dzień, i westchną: „Kiedy się tak zestarzała?”, a jeszcze później, być może, popatrzą na nią i poczują zobowiązanie, nie miłość. Zrobiłam się cyniczna, pomyślała Sara i zakrywszy dłońmi twarz, rozpłakała się cicho.

Nazajutrz stała w kuchni, kiedy już dzieci poszły do szkoły, i nagle rozległo się pukanie do drzwi. W progu stał Harry. „Chciałem usłyszeć, jak mówisz mi: nie” — powiedział. — „Chciałem spojrzeć ci w oczy i usłyszeć, jak mówisz mi: nie”. Przez ułamek sekundy pragnęła zrobić krok w jego stronę i powiedzieć mu: tak, lecz wciąż stała z dłońią płasko przyłożoną do skrzydła drzwi, ze wzrokiem wbitym gdzieś za jego plecami, wiedząc już, jak wygląda sytuacja, jak musi wyglądać, i że aby tak było, potrzebna jest prawda i oddanie. Wiedząc, że jej dzieci i mąż mają swoje wobec niej oczekiwania i wiążą z nią jakieś nadzieje, że dawno temu podjęła decyzję, komu jest winna lojalność i wierność, że wspierały się z Kate przez długie lata, stojąc za sobą murem, wreszcie że jednego dnia złożyła Michaelowi przyrzeczenie.

Sara zdawała sobie sprawę, że tu nie chodzi o przypadkowe skrzyżowanie spojrzeń z nieznanym na ulicy, o niewinny flirt. Tu chodziło o potężną zmianę w jej życiu, o wyrzeczenie się tego, co mogło się stać, i zgaszenie w sobie, być może na zawsze, namiętnej części jestestwa. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Harry'ego gestem zarazem łagodnym i pełnym skruchy, i powiedziała, że nie powinni, że nie może, że nie robi tego, po czym cofnęła się o krok. Kiedy szedł do samochodu, spoglądała za nim z czułością i tęsknotą, czując, jak równocześnie jej kręgosłup prostuje się z dumy. Obowiązek, przysięga, honor, wierność i prawość, i odmowa, by dać sobie fory, odmowa pofolgowania

swoim zachciankom. Słowa formowały się w jej umyśle i niemal materializowały wokół niej, jednocześnie zaś krystalizowało się jej uczucie do Michaela, jej małżeństwo, jej rozumienie, czego potrzebują od niej dzieci. Wszystko wskoczyło na swoje miejsce z kliknięciem, niczym zatrząsk pudełeczka zrobionego z dwu połówek muszli małży, a Sara nabrała pewności, że pozostanie z nią do końca jej dni. Obróciła się i poszła na górę, żeby przygotować się przed wyjściem do pracy.

Telefon zadzwonił, kiedy była w połowie schodów. Zatrzymała się i postanowiła, że nie pozwoli automatycznej sekretarce odebrać tej rozmowy. Gdy podniosła słuchawkę, usłyszała ciepły, pełen uczucia głos Michaela.

— Cześć, kochanie — przywitał ją. — Właśnie przegrałem sprawę. Co powiesz na to, że po ciebie przyjadę i zjemy razem lunch, zanim pójdziesz do pracy? Moglibyśmy wyskoczyć na pad thai. Ty stawiasz. Zdaje się, że przegrałyście kiedyś z Grace w cluedo.

Sara roześmiała się i odpowiedziała:

— Jakim cudem pamiętasz taki zamierzchły dług? I o ile dobrze kojarzę, nie wystarczy na pad thai, co najwyżej możesz dostać kanapkę.

Michael, uśmiechając się, dodał jeszcze:

— Do zobaczenia o wpół do pierwszej. — I rozłączył się.

Sara weszła na piętro, stanęła przed otwartą szafą i wybrała nową marynarkę, po czym nałożyła szminkę, poprawiła rękami włosy, zabrała klucze i torebkę i udała się na spotkanie z mężem.

Z mężem, którego jak wiedziała, wciąż kochała i którego w skrytości ducha i bez żadnych wątpliwości raz jeszcze wybrała.

ROZDZIAŁ 2

Kate

*Ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego
aż do mej śmierci*

Powinnam chyba przyjąć, że mój mąż cieszy się, gdy mnie widzi, pomyślała Kate, i stłumić w sobie uczucie, że przekraczając próg domu, traci cały zapał. Powinnam przyjąć, mówiła sobie w duchu, że chwila powrotu do domu wciąż jest dlań jaśniejszym punktem dnia, podobnie jak możliwość podzielenia się ze mną nowinkami na temat jego studentów i uczelni, wyżalenia się w związku ze sprzeczką z kwestorem czy przedyskutowania najnowszych zmian w regulaminie. Jak perspektywa rozmowy prowadzonej do wtóru dziecięcych pisków w ferworze zabawy, ich kłótni i śmiechu lub milczącego oglądania „Simpsonów”; jak lasagne, które upichciłam, chcąc pielęgnować ognisko domowe i wierząc, że zjedzenie razem kolacji scali nas jako rodzinę.

A jednak Kate była niespokojna, niezdolna nad sobą zapanować; wszystko leciało jej z rąk. W języku jej ciała pojawił się niecharakterystyczny dla niej brak pewności siebie — zapytała się, czy to zauważył, i zaraz ze smutkiem udzieliła sobie odpowiedzi, że nie, niczego nie dostrzegł. Przecież od tak dawna nie patrzył na nią naprawdę. Gdyby jej się przyjrzał, natychmiast stałoby się dla niego jasne to wyciekanie jej śmiałości i poczucia własnej godności, oczywiście dla niej do tego stopnia, że wszędzie wokół

siebie widziała małe kłębki kurzu, kurzu, który mogła zebrać czubkiem palca i podtykając mu go pod nos, powiedzieć: popatrz, tyle zostało z pewności siebie twojej żony.

W rzeczywistości (bo choć ostatnio w sobie zważyła, nie straciła jasności rozeznania w swoich uczuciach, a zawsze była w tych sprawach nadzwyczaj przenikliwa i dobrze wiedziała, w którą stronę skłania się jej serce) Kate naturalnie miała świadomość, co leży u podstaw zarówno jej niepewności, jak i zdradzieckiej nieśmiałości, sprawiających, że czuła się wydrażona, pusta w środku i odrzucona. Dlatego Kate chciała raczej, po powrocie męża do domu, stanąć przed nim i z rękami niegroźnie zwieszonymi wzdłuż boków oznajmić mu, że jej zdaniem przestał ją kochać, po czym natychmiast spytać, czy nawiązał z kimś romans.

Jakże przewidywalny, powtarzalny jest proces zakochiwania się, pomyślała niedawno Kate. Odpowiednia lista — Kate zawsze lubiła sporządzać listy — mogła powstać w mgnieniu oka i całościowo, wyczerpująco opisać przeżycia towarzyszące początkom każdej miłości. Głębokie przecucie towarzyszące przypadkowej wymianie spojrzeń; nieustający zawrót głowy podczas nierozważnie umówionej randki; długie pocałunki, przy których brakuje tchu; siła namiętności spontanicznego seksu; dramatyzm pierwszej kłótni i słodycz pojednania; tkliwość, z jaką tuli się do siebie, nie zważając na siekący deszcz. Frank Sinatra śpiewający z głośników w trakcie śniadania jedzonego w łóżku; sukienka nałożona na gołe ciało i ten upajający ruch bioder; świąteczny poranek i rząderek prezentów ślicznie obwiązanych wstążką. Tyle że Harry, Kate była o tym przekonana, na swój naukowy, socjologiczny sposób widział ikonografię początków miłości zdecydowanie odmiennie. Jako chaotyczny bieg wypadków, którego nie da się dokładnie opisać. Może nawet jako rozpad, którego nie da się opisać ładnie.

Na ów rozpad, uznała Kate, składały się małe oszustwa i okrucieństwa, a mimo to wiązało się z nim piękno zawsze specyficzne, urzekające niczym płomienie. Przynajmniej pod warunkiem, że ktoś miał dość silnej woli i poczucia dystansu, by czynić obserwacje, nie narażając się na spalenie; by tak jak przyglądając się rozgrzanej płycie kuchennej, umieć się powstrzymać przed przyłożeniem dłoni w najgorętszym miejscu. (Nie zapomniała, jak podczas wizyty w centrum ogrodniczym zeszłego tygodnia, gdy nie mogła się zdecydować na wybór terakotowej donicy, Harry oparty o zaparkowany w alejce wózek bębnił palcami po rączce z taką znudzoną miną, z tak nieobecnym wzrokiem, że aż wydała się sama sobie śmieszna, ponieważ przejmowała się tym, czy donica będzie kanciasta czy okrągła).

Bardzo ciężko było odłożyć te uczucia na bok, skoncentrować się na miłości do dzieci i ukrywać przed Harrym to, co w swej emocjonalnej wnikliwości zdołała przejrzeć. Mimo wszystko gdy usłyszała w zamku zgrzyt jego klucza, a potem głośne powitanie od progu, zabrała się jakby nigdy nic do krojenia w plastry pomidorów, których jasne nasionka zostawały na drewnianej desce, starając się usunąć z umysłu obraz miłości pęczniejącej i rozdymającej się, zmieniającej kształty tuż przed tym, zanim zacznie maleć i znikać. Zupełnie jak bańka z farby na parapecie okna wychodzącego na południe; coś, co pęka i łuszczy się, odsłaniając zdrowe drewno i narażając je na zgnicie.

Kate nie umiałaby wskazać palcem miejsca i powiedzieć: odtąd Harry zaczął kochać mnie mniej. Raczej odebrała to jak nagłą sztywność szyi, naciągnięty mięsień, przypadłość uzmysławiającą człowiekowi, że coś, co do tej pory poruszało się płynnie bez udziału świadomości, teraz wymaga znacznego wysiłku i uwagi, by w ogóle drgnęło, nie powodując bólu. Zaczęła zauważać momenty przeciągającej się ciszy, jeziora milczenia, które nagle jęły rozszerzać

się i pogłębiać, wytwarzać wiry, tak że wszystko co nawet zostało wypowiedziane — jak choćby najzwyczajsza rzucona mimochodem uwaga na błaży temat — zdawało się wpadać w otchłań i tonać, słowa znikały pod powierzchnią na jej oczach, dając się pochłonać mrocznej głębinie.

Były też krótkie chwile wrogości, drobne oznaki zniecierpliwienia; nieuchwytny wrazenie — niesprecyzowane, lecz dające wiele do myślenia — że ich małżeństwo, niegdyś pełne niczym dobrze napompowana dętka, zaczęło flaczeć i załamywać się i że Harry przygląda się temu zimnym okiem naukowca. Zaledwie w ubiegłym tygodniu — tego dnia, gdy wiele godzin czekał na naprawę samochodu w warsztacie i musiała go odebrać Sara, ponieważ jej nie udało się wyrwać ze szkoły wcześniej — położywszy się do łóżka, wydał z siebie tak dojmujące westchnienie, jakby chciał zakomunikować (tak to brzmiało przynajmniej w jej uszach), że jest nią znużony, nią i tym, co razem sobą przedstawiają.

Byłoby możliwe jej zdaniem, gdyby rzecz jasna mieć dość zimnej krwi, sporządzenie listy gestów kochanka, tego wszystkiego, co czyni człowieka we własnych oczach wybranym i miłowanym, a potem zastąpienie ich zachowaniami świadczącymi o czymś wręcz przeciwnym.

Listę Kate rozpoczynałyby francuskie pocałunki, które w pewnym, trudnym do określenia momencie utraciłyby całą intymność, tę niesłychaną bliskość znajdującą wyraz w ustach wypełnionych językiem partnera, i zostały zastąpione przez niewinne cmoknięcie w czoło, kojarzące się raczej z okazywaniem uczucia niesfornemu chrześniakowi. Już od tygodni Harry, wychodząc na uczelnię, odgarniał jej włosy z twarzy i składał suchy pocałunek nad brwiami. Jakże sterylne, jakże bezpłciowe się wydawało, gdy cielesna zażyłość ustępowała temu co zdawkowe i obligatoryjne.

Gdy szli gdzieś razem — na kolację z przyjaciółmi albo na wywiadówkę w szkole — dłonie Harry'ego nigdy nie dotykały żadnej partii jej ciała. Kate nie chodziło o gesty tak niedwuznaczne, jak wzięcie jej za rękę czy objęcie w pasie, lecz o drobiazgi w rodzaju pomocy przy wkładaniu płaszcza albo podawania solniczki przy stole, kiedy to jakimś cudem udawało mu się unikać najmniejszego z nią kontaktu. Zamiast delikatnych muśnięć i przypadkowego splecenia palców było poczucie rozdzielności, przeświadczenie, że całkowicie zniknęła z jego radaru, że w swej rozpiętości stanowi samoistną galaktykę.

Wcześniej tego dnia Kate siedziała w pokoju nauczycielskim i sprawdzała klasówki, pojadając kanapkę z hummusem i czerwoną papryką, którą Harry zrobił dla niej rano i która teraz, przycupnięta na foliowym opakowaniu, zdawała się symbolem obowiązkowości raczej niż przejawem miłości. (Kate natychmiast skarciła się w duchu, gdyż od kiedy to drugie śniadanie świadczy o czymkolwiek?). Obierając mandarynkę, zastanawiała się, czy nie miała swego udziału w tym, co się stało, i ze smutkiem rozważała, czy jest w ogóle możliwe, by uczyła dwadzieścioro siedmioro ośmiolatków, wychowywała troje własnych dzieci, pamiętała o wysyłaniu kartek urodzinowych na czas i wciąż przy tym znajdowała w sobie energię, elastyczność i chęć, by podobać się Harry'emu.

Urodzenie dzieci ją zmieniło, Kate temu nie zaprzeczała. Zanim przyszedł na świat Oliwer, Harry pozostawał w centrum jej zainteresowania, później jednak z trudem spuszczała dzieci z oczu. Niektóre z jej przyjaciółek skarżyły się, że przytłacza je fizyczna strona macierzyństwa, lecz Kate oddała mu się całym sercem, wręcz pielęgnując tę cielesną współzależność. Nie przeszkadzały jej lepkie paluszki szczypiące ją w skórę i ciągnące za włosy ani plamy po ślinie na prawym ramieniu wszystkich ubrań, płaszczy nie

wyłączając. Patrzenie na dzieci, kochanie ich rekompensowało jej wszystko; zadośćuczynieniem była satysfakcja na widok coraz sprawniejszych rączek łąpiących klocki i koraliki, coraz bardziej udanych prób najpierw siadania — nareszcie prosto! — a potem chodzenia, gdy raczkowanie i chybotałe zrazu pierwsze kroki nagle zyskiwały pewność i zwinność.

W tamtych latach, gdy zarzuciła pracę w szkole i pole jej zainteresowań ograniczało się do granic domu, życie wydawało jej się pełne i wspaniałe; w tamtych czasach każdy dzień przynosił coś nowego, był odkryciem — aczkolwiek Kate nie byłaby tego skłonna przyznać na głos ani wtedy, ani teraz. Nawet padanie do łóżka wieczorem z uczuciem wszechogarniającego zmęczenia miało w sobie coś z kompletności i uczciwości i wyparowywało z niej, nim nastał ranek, tak że budziła się od nowa gotowa do boju.

Również teraz, gdy Oliwer miał dziesięć lat, Emma osiem, a Drew sześć, Kate czuła, że rola matki nadaje jej życiu sens i kierunek. Ogromnie tęskniła za słodkim ciężarem niemowlęcia w ramionach i dość często, kiedy w supermarkecie zobaczyła kobietę z małym dzieckiem na ręku albo nawet tylko malucha przysypiającego w foteliku samochodowym na parkingu przed sklepem, rozpaczliwie chciała wcisnąć guzik **REPLAY** i cofnąć się w czasie.

Harry zawsze był jej oddany i pomocny. W pierwszym okresie rodzicielstwa nieraz zdumiewało ją, jak zgrany tandem tworzą i jak dobrze sobie radzą. Harry nie miał nic przeciwko obsłudze dzieci, nigdy nie dzielili pracy na męską i kobiecą, nie czuła się więc stereotypową kurą domową, zepchniętą do roli mamki i sprzątaczk. Koniec końców stanowili nowoczesne małżeństwo i odkąd Drew zaczął naukę w szkole, a Kate wróciła do pracy, Harry równie często jak ona przyrządzał wszystkim drugie śniadanie i sprawdzał zadania domowe. Gdy przy jakiejś oka-

zji usłyszała od matki: „W moich czasach wyglądało to zupełnie inaczej”, nie wiedziała, czy za tą uwagą nie kryje się zawołowana krytyka, pytanie tylko, przeciwko komu skierowana: jej ojcu czy Harry'emu, przeciwko któremu z małżeństw. Czekwała, aż matka powie coś więcej, lecz tak się nie stało, co w gruncie rzeczy nie zdziwiło Kate.

Jej matka zawsze była powściągliwa w słowach, jeśli chodziło o męża. Po śmierci ojca Kate miała nadzieję, że przyjdzie czas zwierzeń i wspomnień, napominała się, by okazać delikatność bez względu na to, jak to się odbędzie — czy na przykład jej matka przysiadzie znienacka na krześle w kuchni, zakryje twarz rękami i powie: „Nie spodziewałam się, że będzie mi go tak brakować...” czy po prostu w milczeniu odmówi wprowadzania w domu jakichkolwiek zmian, by pamięć o nim pozostała czysta i nienaruszona, czy zwyczajnie zaleje się łzami w jego gabinecie, być może trzymając na podołku którąś z jego książek, szukając w niej pocieszenia.

Pół roku po pogrzebie, gdy nic podobnego się nie wydarzyło, Kate musiała wziąć pod rozwagę, że jej przypuszczenia wcale nie dotyczyły matki, tylko jej samej, tego, jak ona przeżywała żałobę, i założyć, że zabrakło jej wyobraźni i empatii, by domyślić się, co przechodziła starsza kobieta. No bo jak opłakuje się kogoś, z kim spędziło się większość dorosłego życia? Kate ubolewała, że gdy za oknami jesień chyliła się ku zimie, nie zaglądała częściej do pracowni, zanim matka wysprzątała to pomieszczenie, sprawnie pakując rzeczy po ojcu, zatrzymując ich część, a reszty się pozbywając. (Niespodzianką dla niej było odkrycie w jednej z szafek, dwa lata po odejściu ojca, wszystkich jego butów starannie napastowanych, ze sznurówkami równiutko zawiązanymi. Czyżby matka którejś nocy zasiadła samotnie w kuchni z baterią puszcerek różnobarwnych past do butów i para po parze czyściła je i glansowała, trzymając pew-

nie jedną dłonią wciśniętą aż po noski, po czym odstawiła wszystkie do rzadko używanej szafki, nie wspominając o tym ani słowem?).

Choć jej matka zawsze świetnie sobie radziła z przedmiotami, opanowanie i efektywność, jaką się wykazała przy tej okazji, były mimo wszystko zdumiewające. Jednakże Kate nie doczekała się od niej wspomnień o ojcu, nie posypały się jak zapałki ze zbyt gwałtownie otwartego pudełka, nie usłyszała opowieści o małżeństwie swoich rodziców, aczkolwiek Isobel wspominała o tym, jak uczyła się grać w brydża i mówić po hiszpańsku, co zmusiło Kate do zastanowienia, czy tamte historie były zbyt osobiste, zbyt poufne, aby się nimi dzielić z córką.

Kate doskonale pamiętała siebie jako dziecko, siedzącą na tylnym siedzeniu samochodu, podczas gdy oboje rodzice rozmawiali z przodu, ich głosy ginęły we wszechobecnym szumie silnika, a ona czuła się otoczona przez tyle przestrzeni i tylko po części sformułowane, po części rozumiane uczucie wyobcowania, zdawała się, nie do końca to sobie uświadamiając, wykluczona z interakcji pomiędzy dorosłymi, na którą wszelako była skazana. Jej decyzja, by mieć troje dzieci, wynikała w dużej mierze z tkwiącego w niej głęboko żalu, iż jako jedynaczka była zarazem centrum, jak i marginesem życia rodziców.

Dzisiaj, wioząc dzieci do domu po zajęciach pozalekcyjnych, rozsądzając sprzeczki objawiające się przepychankami, kuksańcami i piskami, a mające na celu zagarnięcie jak największej powierzchni siedzenia i jak największej liczby herbatników oblanych czekoladą, przy czym oczywiście każde z dzieci było przekonane o własnej niewinności („On zaczął! Ona zaczęła” — na przemian rozlegało się w samochodzie), z niedowierzaniem wspominała swoje podróże z czasów dzieciństwa, które charakteryzował spokój i dostojeństwo.

Gdy dzieci użerały się między sobą i biły się, i wyzywały — wczoraj na przykład Oliwer wyrwał Emmie pasmo włosów, kiedy walczył z nią o pilota do telewizora — czuła jednocześnie przerażenie i zadowolenie, przy czym zadowolenie sprawiała świadomość, że w ten sposób ustanawiają własne zasady współżycia i że będą silniejsze, lepiej wyposażone, jak przyjdzie im się zmierzyć z prawdziwym życiem, ponieważ przeprowadziły próbę sił na rodzeństwie.

Kate chciałyby się dowiedzieć, czy wspomnienia kiedykolwiek kostnieją i nabierają ostatecznej postaci. Czy pamięć to zamknięty zbiór, dany raz na zawsze i tylko poszerzany wraz z wiekiem. Czy też może nieustannie, ledwie zauważalnie się zmieniający, oceniany wciąż od nowa, poddawany analizie i rozumiany w zależności od tego, na jakim etapie rozwoju znajduje się człowiek. Czy kiedykolwiek pomyśli o swoim małżeństwie, o małżeństwie swoich rodziców: było takie a takie, i faktycznie będzie o tym przekonana? Przecież jej małżeństwo, które do niedawna wydawało się takie a takie, nagle stało się czymś zupełnie innym. Czyżby tylko śmierć — wraz ze swoją ostatecznością, niczym kropka na końcu zdania — sprawiała, że pamięć i wspomnienia osiągają niezmienny stan?

Jej ojciec nie żył od wielu lat. Czy więc mogła przyjrzeć się małżeństwu swoich rodziców i w sposób jednoznaczny, definitywny stwierdzić, jakie ono było? I czy to by jej pomogło dowiedzieć się czegoś o sobie, o swoim związku z Harrym i o tym, jak doprowadzić do porządku bałagan w jej życiu?

Będąc dzieckiem, Kate dostrzegała w małżeństwie rodziców wyłącznie prostotę, przeciwieństwa, które się przyciągały i prawdopodobnie stanowiły o panującej w nim równowadze. (Ironią byłoby, gdyby po tym jak jej pokolenie usilnie walczyło o zniwelowanie różnic, o zrównanie ról

i zamazanie podziałów, nagle z perspektywy czasu zrozumieć, że kluczem do szczęścia jest różnorodność).

W ich wypadku problem polegał na tym, zaczynała rozumieć Kate, gdy Harry jak zwykle pytał ją, jak minął jej dzień, kiedy razem nakrywali do stołu, a Harry wybierał i otwierał butelkę wina, że nie było żadnego dysonansu, o który można by się zaczepić. Kate, choć bardzo się starała, nie umiała sobie przypomnieć ich ostatniej kłótni ani wskazać bardziej znaczących zgrzytów. Nagle zdała sobie sprawę, że niezwykle rzadko, o ile w ogóle, była świadkiem awantur pomiędzy rodzicami, a już na pewno nigdy w ich domu nie doszło do tłuczenia talerzy i szarpaniny powodującej odklejenie się siatkówki, o czym słyszała od niektórych przyjaciół.

Nigdy nie czuła gniewu ani wrogości, za to odnosiła wrażenie równowagi, czegoś bardzo przypominającego spokojny, lekki trucht konia. Podejrzewała, że ten spokój wynikał z wzajemnego zrozumienia tego, kim byli i czego mogli się po sobie spodziewać, i stawiania poprzeczki na odpowiedniej wysokości. Odkąd pamiętała, byli różni w jej oczach, tak bardzo różni, i zarówno wtedy, jak i teraz uważała, że dzielące ich różnice gwarantowały zbawczą symetrię. Zwłaszcza teraz, gdy podając lasagne i pochylając się, by pocałować Harry'ego, poczuła znów zwątpienie i upadek ducha, kiedy nie odpowiedział na jej gest, zatopiony we własnych myślach. Mechanicznie rozkładała sztucze koło talerzy, sięgała po chochlę w szufladzie i zastanawiała się, czy naprawdę prosi o tak wiele, chcąc, by mąż pocałował ją od czasu do czasu prosto w usta.

Znów wróciła myślami do ojca i uzmysłowiła sobie, że nie pamięta, jak witał matkę po powrocie z gabinetu. Nie zapomniała za to, jak witał ją i jak cały dom zdawał się ożywać, kiedy ojciec przekraczał jego próg. To on był duszą wszystkiego. W jej wspomnieniach pozostał energiczny, ro-

ześmiany, entuzjastycznie podrywający ją na ręce, stawiający przed nią wyzwania, uczący ją; zachęcający, aby znajdowała radość w tym, co leży w jej zasięgu. Przypominała sobie, jak unosił znad zmarzniętej ziemi kwiat ciemiernika i mówił do niej: „Spójrz, jaki jest piękny”. Jej ojciec był niczym pasat, przynosił przyprawy, pistacje i wodę różaną z głębi kraju, z miejsc, które były wtedy dla niej nowe, i układał je przed nią, jakby to były błyszczące guziki albo klejnoty. Bez względu na to czy uczył ją grać w szachy (obronę sycylijską poznała pewnego listopadowego dnia, gdy deszcz zaczynał o szyby, a do fianchetto wracali wielokrotnie, i to z upodobaniem), czy rozpoznać normańską wieżę kościoła, czy namalować akwarelkę z wydobyciem światłocienia, czy wysłuchać fragmentu utworu muzycznego z rozumieniem jego kompozycji, zawsze z nią rozmawiał, zawsze dzielił się z nią wiedzą i Kate nadal pamiętała, jak się dzięki temu czuła. Kiedy była dzieckiem, z łatwością przychodziło jej go kochać i nie miała kłopotów z nazwaniem tego uczucia po imieniu. Przecież było wibrujące, namacalne tutaj, w jej piersi.

Co do matki, wszystko było spokojniejsze, mniej wyrażne, ocierające się o oziębłość, której Kate nie potrafiła zrozumieć przez długie lata. Miała świadomość, że to nie prosty brak ciepła czy miłości. Matka kochała ją tak samo mocno jak ojciec, tyle że wołała trzymać wszystko pod kontrolą, także uczucia. Łączył się z tym nadzwyczajny spokój ich wzajemnych relacji, co Kate pojęła chyba dopiero wkroczywszy w wiek dorosły, przypominając sobie wspólne przesiadywanie i naukę dziergania albo szycia bądź czytanie na głos, kiedy otulał ją wyważony, lecz pełen wyrazu głos Isobel.

Rodzice Kate stanowili coś w rodzaju biegunów magnetycznych jej życia, dopuszczając jej istnienie pomiędzy nimi i pozwalając na wytyczanie własnej ścieżki. Teraz, z trudem

radząc sobie z kolejnym małym odrzuceniem, za jakie poczytała nieoddany przez Harry'ego pocałunek, pocałunek, którego chyba nawet nie zauważył, wspomniała scenę z lat dziecińczych, gdy miała dwanaście lat i wybrała się z rodzicami nad morze; ojciec najpierw się zainteresował małą zatoczką pomiędzy skałami, na tym przykładzie wyjaśniając Kate ideę piramidy troficznej, a potem razem z nią rzucał kamyki do morza tak umiejętnie, że odbijały się trzy albo cztery razy, nim zniknęły pod wodą. W tym samym czasie matka Kate spacerowała po wydmach, zrywając soliród, który wkładała do łubianki zawieszanej na przedramieniu; na głowie miała chustkę zawiązaną pod brodą, zgnięziony kaszmirowy rozpinany sweter przewiązany w pasie, a poruszała się, zatrzymywała i schylała raz po raz w sposób tak pewny, że Kate spoglądając w jej stronę, nie mogła nie poczuć szacunku do niej za to, że umie robić tyle rzeczy i że robi je tak dystyngowanie, i że nawet nie boi się wędrować po wydmach całkiem sama. Obecnie Kate czuła się niebywale samotna, zdana tylko na siebie i niezdecydowana, jak się zachować. Nie otrzymałam odpowiedniego wzorca, pomyślała, zaczynając nakładać jedzenie na talerze.

Kate nigdy nie wątpiła, że małżeństwo jej rodziców było udane; nigdy nie odebrała choćby najłżejszego sygnału, że brak w nim harmonii i szczęścia. Najbardziej uderzało ją, zwłaszcza teraz, w jej obecnej sytuacji, to, jak klarownie zdefiniowane były role obojga rodziców i ich wzajemne oczekiwania. Robert, wracając z pracy, zastawał Isobel w ogrodzie ścinając różę lub podpierając tyczką jakiś wybujały krzak; zawsze czekał na niego smakowity, doskonałe skomponowany posiłek, obowiązkowo kończący się deserem w postaci na przykład tarty z owocami ozdobionej idealnymi półksiężycami plasterków jabłek. Po kolacji Isobel grała na fortepianie, kiedy Robert czytał w swoim ulubionym fotelu, mając u stóp psy, a w tle co jakiś czas

rozlegał się delikatny sygnał zegara wiszącego w holu i razem to wszystko wywoływało w Kate poczucie, że żyje w bajce, gdzie świat jest bezpieczny i dostatni, i bezproblemowy, gdzie egzystencję odmierzają dobre uczynki, gdzie rytm nie zmienia się pomimo upływu pór roku i lat. Dość często, przed świętami lub urodzinami, kiedy zastanawiała się w sklepie, co kupić Harry'emu na prezent — obrazek, i-Poda, ręcznie robioną wędkę na pstrąga, której najpewniej nigdy by nawet nie użył — stawała przed świadomością, że przedmioty, jakimi obdarowywali się jej rodzice, zawsze wydawały się przemyślane; drzewko figowe, poradnik szachisty, konewka zgrabnych kształtów, miniaturowy fortepian z orzecha włoskiego, zbiór esejów z dziedziny etyki. Postrzegała to jako rozumienie się bez słów, intuicyjne wyczucie osobowości partnera umożliwiające dokonywanie właściwych wyborów. Pamiętała, jak matka, obdarowana różami, rzekła (z większą dozą emocji w głosie niż zazwyczaj): „Są perfekcyjne, sama nie wybrałabym ładniejszych”, a ona pomyślała, że pragnie wyjść za mąż za człowieka, który będzie dawał jej takie właśnie prezenty, sprawiając, że dozna podobnych wzruszeń jak Isobel dzięki Robertowi.

Wołając dzieci na dół na kolację, Kate przelotnie rozważyła, czyby nie porozmawiać z matką. Może powinna do niej pójść z wizytą i jakby przynosząc w złożonych dłoniach coś, co się potłukło, powiedzieć: spójrz, to moje małżeństwo, co mam z nim zrobić?

Przy stole przyjrzała się wszystkim dzieciom po kolei; Oliwer pracowicie oddzielał warzywa od makaronu, by nie musieć ich jeść, Emma tarła grudkę parmezanu na drobnej tarce, Drew zaś wyciągał szklankę w stronę Harry'ego, prosząc o więcej wody; i pomyślała, że to, iż siedzą w piątce przy kuchennym stole, jedzą przyrządzone przez nią potrawy i rozmawiają, jak im minął dzień, być może powinno jej

wystarczać. Że być może naiwnością z jej strony jest pragnąć czegoś więcej, tęsknić za czymś, co pewnie i tak musi z czasem zblaknąć i przeminąć.

Ale nie chodziło tylko o to (Kate była co do tego przekonana, zeskrobując resztki jedzenia z talerzy i wyrzucając je do kubła na śmieci, i jak katarynka prosząc Oliwera, żeby pomógł wkładać brudne naczynia do zmywarki); chodziło też o przecucie, że jest ktoś inny, ktoś spoza kręgu pięciorga osób siedzących przy kolacji, o przecucie, które sprawiło, iż nie mogła tracić czujności. Być może studentka; młoda, z błyszczącymi włosami i długimi nogami, i piękną opalenizną, dziewczyna, dla której Harry stanowił wyzwanie, swego rodzaju sprawność do zdobycia. (Wiedziała, że zawsze najładniejsze dziewczęta sypiają z wykładowcami, jak gdyby potrzebowały potwierdzenia, iż są zarówno śliczne, jak i mądre, iż ich aksamitność jest w stanie przedrzeć się do nawet najbardziej bujających w chmurach umysłów, co oczywiście stanowi tylko dowód na to, że nic nie może się równać z prostą sylwetką, jędrnym ciałem i gładką skórą młodości). Albo któraś z koleżanek z uczelni, ktoś straszliwie inteligentny i skupiony na swojej dziedzinie, ktoś zdolny prowadzić dyskusję na temat jego najnowszego artykułu, a nie tylko poprawiać testy ośmiolatków, ktoś mający dość wyobraźni i wolnego czasu, by kupować mu tomiki poezji i podrzucać je do jego korytka w sekretariacie, a nie tylko wysyłający esemesy z ponagleniem, by nie zapomniał odebrać ubrań z pralni. Ktoś, myślała z narastającą obawą, czując niemal fizyczną obecność tej kobiety w swojej kuchni i mając wrażenie, że jej duch unosi się pod sufitem i muska jej dłonie, gdy rozdzielała sztućce do odpowiednich przegródek, ktoś bardziej od niej fascynujący, bardziej kuszący, aczkolwiek ona także była przecież dlań fascynująca i kusząca, przynajmniej kiedyś, o czym miała ochotę mu przypomnieć.

— Muszę pojechać do matki — powiedziała do Harry'ego znienacka (akurat szorował szklaną brytfannę, w której zrobiła lasagne; był pomocny, musiała mu oddać sprawiedliwość). — Dzwoniła i obiecałam, że do niej zajrzę wieczorem, kiedy wrócisz do domu.

Jak łatwo o kłamstwo wymyślone na poczekaniu i w pełni uformowane dopiero w chwili, w której opuszcza usta, pomyślała. Może z podobną łatwością okłamał ją dwa wieczory temu, kiedy zatelefonował z informacją, że coś go zatrzymało w pracy; może te słowa tak samo wyskoczyły mu z ust i po kablu wpadły prosto w konchę jej ucha. Może przez cały czas obok niego siedziała ta druga kobieta, kobietodziewczyna, przysłuchując się wymówkom i pozwalając gładzić się po twarzy, i pocałować zaraz po tym, jak się rozłączył.

Jak by to było, zastanowiła się niechętnie, gdyby małżeństwo miało opierać się na kłamstwach, karmić oszustwem, niedopowiedzeniami, przemilczeniami, wyrastać z góry nieprawdy, aż w końcu któregoś dnia dałoby się patrzeć na świat tylko przez drobne szczeliny, jeszcze niezapchane łgarstwem?

Nagle z wielką jasnością pojęła, że rzeczywiście musi zobaczyć się z matką, czy skutkuje to tylko staniem w holu i przysłuchiwaniem się znajomemu biciu zegara, i pewnością, że wszystko będzie dobrze, gdyż to pęknięcie jest zaledwie rysą, niewielką i dającą się naprawić, czy zaowocuje przelaniem w nią otuchy w obliczu kompetencji matki, tak że nabierze inwencji i będzie umiała poradzić sobie ze skazą, która nie jest ani mała, ani łatwa do usunięcia.

Kate zapragnęła zobaczyć matkę w jej niezmienionej od lat kuchni, przyglądać się wykonywanym przez nią czynnościom wywołującym wspomnienia z dzieciństwa. Sos hollandaise, delikatny i kremowy, w salaterce z porcelitu ma-

lowanego w niebieskie prążki; babka maślana przekładana dżemem malinowym wypływającym aż na boki; *coq au vin* z podrumienioną na szklisto szalotką. Zapragnęła, tęsknie i niedorzecznie, wycinać foremkami kruche ciasteczka i dekorować je skryształizowanymi fiołkami na kapce lukru. Zapragnęła znaleźć schronienie wśród matczynego opanowania — to byłby dobry początek.

— Mogę pojechać z tobą? — zapytała Emma.

— Nie — odparła Kate. — Musisz poćwiczyć grę na flecie. Zobaczysz babcię jutro, gdy odbierze cię ze szkoły.

Znalazłszy się przed domem matki, Kate zaparkowała na podjeździe i przez chwilę się nie ruszała. Przez opuszczoną szybę w samochodzie słyszała, jak Isobel gra na fortepianie zwartą, skomplikowaną melodię, która zdawała się przesączać przez drzewa. Po lewej, w gospodarczej części podwórka, stał rozpadający się kurnik. Isobel przestała hodować kury wkrótce po tym, jak zmarł Robert. Deski były zbutwiałe i wypaczone, ze szpar wyrastała kostrzewa, a resztę wybiegu opanowała wyka i aster gawędka. Było coś w tym widoku, jakaś miękkość czy płynność, która pozwoliła na wywołanie wspomnienia starego koguta przechadzającego się po ogrodzeniu. Kate pamiętała wybieranie jajek razem z matką i ostrożne ich umieszczanie w wiklinowym koszyku z różowo-niebieską wstawką, i kurkę rasy araukana, która składała jajeczka o bladoniebieskich skorupkach. Gdy zbliżała się Wielkanoc, Isobel chowała je do spizarki, a potem układała w miseczce na świątecznym stole, tak że Kate zawsze przeżywała miłą niespodziankę, gdy w niedzielę rano wstała z łóżka. Wciąż potrafiła wymienić wszystkie rasy, jakie hodował jej ojciec: tomaru o czarnych, w słońcu przebarwiających się na fioletowo piórkach; białe sułtanki z okazałym czubem, piękną brodą i dużymi łapcami; i różnobarwne milaflerki o porcelanowym upierzeniu.

Czy przeszłość rzeczywiście była taka wspaniała czy tylko tak ją zapamiętała z racji tego, że ludzki mózg przetwarza wspomnienia w małe, łatwe do przełknięcia lub wręcz rozpuszczalne pigułki? Te wszystkie wspaniałe chwile, te cudowne momenty (czy coś może się równać z wrażeniem, jakie daje świeżo zabrane kurze błękitne jajko, wciąż ciepłe na dłoni?) skomasowane tworzyły obraz dzieciństwa bezpiecznego, przebogatego pod względem emocjonalnym i tak pozornie bliskiego, że zdawało jej się, iż wystarczyłby jeden głębszy oddech, by znów się w nim zanurzyć.

Kate spojrzała ku budynkowi otoczonemu ścianą zieleni, na długie łodygi róż pnących się ku oknom. Cień kładł się nisko po przeciwnej stronie podjazdu, gdy uświadomiła sobie, że matka wychodzi z domu i wyciągając ręce w geście powitania, kieruje się do samochodu z psem płaczącym się jej u nóg.

— A to dopiero niespodzianka — powiedziała. — Nie spodziewałam się ciebie.

— Mieliśmy konferencję — skłamała Kate. — Skończyła się wcześniej, więc pomyślałam, że wpadnę z wizytą.

(Dwa kłamstwa w ciągu jednego wieczoru, pomyślała, czy to nie za dużo jak na osobę, która zwykła zawsze mówić prawdę? Czuła, jak jej kłamliwość materializuje się pomiędzy żebrami i przeponą, ugniatając ją jak kamień). Ruszyła śladem matki do domu, napełniając płuca znajomym zapachem — mieszaniną woni kwiatów (jak zwykle stojących na stoliku w holu), kleju do tapet, skórzanych foteli i grubych koców złożonych w kostkę na oparciu kanapy, a dzisiaj także kwiatu dzikiego bzu (Isobel napomknęła, że lada dzień będzie zlewać likier). Nadal wszystko tutaj zdawało się takie solidne, takie dojrzałe i pokrzepiające, że do Kate dotarło nie tylko, iż potrzebuje tej pociechy, ale także to, iż nie zapewnia czegoś podobnego swoim dzieciom, nie

wyposaża ich w tego rodzaju kamień probierczy na dalsze życie, bo przecież nieustanny chaos i rozgardiasz panujące w ich domu w żaden sposób nie przypominają tego.

Musiała sobie wytknąć, że gdy człowiek raz w siebie zwątpi, jest gotów uwierzyć we wszystko. Jej dzieci czuły się szczęśliwe i kochane i nie miały z jej problemem nic wspólnego. (W dodatku, kontynuowała wyliczankę w duchu, skoro już zaczęła, ile to jest tak naprawdę warte? Wszak nawet najpiękniejsze wyszywane narzuty na łóżka nie zapobiegają śmierci męża ani jego romansowi).

Od razu stanęły jej przed oczami obrazy z pogrzebu ojca; karawan odjeżdżający z podwórka pod domem w przejmujący wilgotny, dżdżysty październikowy dzień, blade słońce zawieszono nisko nad horyzontem za grubą warstwą chmur, błoto pryskające na wypolerowany czarny lakier auta i jej matka obok niej, zarazem taka słaba i taka silna, wyprostowana i nie spuszczaająca wzroku, podczas gdy Kate ledwie zdołała się pohamować, by nie ułożyć się na ścieżce i nie rozsłochać, i wciąż myślała, nawet wsiadając do pierwszego wozu żałobnego konduktu, że to niemożliwe, że ktoś się pomylił, że jej ojciec nie może być martwy, nie mógł zostawić wszystkiego ot tak, skoro wszystko nosi jego wyraźny ślad.

— Napijesz się herbaty? — zapytała teraz matka. — A może skosztujesz likieru? Wydaje mi się, że znów przesłodziłam. Zrobiłam go z myślą o festynie, który ma się odbyć za dwa tygodnie. Muszę jeszcze tylko przygotować nalepki i opisać butelki.

Kate odparła, że chętnie napije się herbaty, i weszła dalej w głąb domu, do bawialni, kierując się do krzesła przy kominku, gdzie na palenisku leżała sterta małych gałązek. Zerkając na otwarty na fortepianie nutnik, z którego grała matka, pomyślała jak nieraz w przeszłości, jakie wszystko w tym domu zdaje się niezawodne, doskonale wiedząc, że

później w tygodniu matka zasiądzie przy kuchennym stole i tak jak powiedziała, wypisze nalepki na butelki z likierem, używając tego co zawsze wiecznego pióra z zielonym atramentem, kreśląc litery schludnym krągłym pismem.

Słyszała, jak w kuchni Isobel przesuwając czajnik na palnik kuchenki; dźwięk zapamiętany z dzieciennych lat. Jego znajomość dla ucha, jego kojące działanie sprawiły, że oczymieoczekiwanie zaszczyły jej łzami i w obronie przed płaczem skupiła wzrok na ścianie, na niewielkim szkicu, który wyszedł spod ręki jej ojca jeszcze w czasach studenckich, przedstawiającym sekcjonowaną żabę rozpiętą na białym tle. Rysunek tracił ostrość i z powrotem jej nabierał, a Kate myślała, jak bardzo jest staranny i drobiazgowy, jak pewną dłońią nakreślony. W pewien sposób stało to w sprzeczności z żywą energią jej ojca, ta przejrzystość ryciny rozkrojonej żaby i jej wnętrzości. A jednak, kiedy pewnego razu zapytała, czemu ten akurat szkic zatrzymał przez wszystkie te lata, podczas gdy wiele z tego, co narysował, pełne było życia i koloru, odpowiedział jej, że dlatego, iż tylko ten rysunek uczyła go na to, jak należy patrzeć, by naprawdę widzieć, albowiem jeżeli ktoś nie patrzy należycie uważnie, niczego nie widzi, a przecież chodzi głównie o to, aby widzieć, aby dostrzegać, czyż nie? Teraz więc chciałyby móc go zapytać: a co z sytuacją, gdy zobaczenie czegoś wywołuje ból? — chociaż była niemal przekonana, iż odparłby, że trzeba patrzeć pomimo wszystko. Zatem Kate dodała żabę na białym tle do swojej listy opisującej proces odwrotny do zakochania, uznała bowiem, że poddawany sekcji płaz, z wyciąganymi na wierzch kolejnymi organami wewnętrznymi, stanowi doskonałą metaforę tego, co sama przeżywa.

— Położę to koło twojej torby, żebyś nie zapomniała zabrać — oznajmiła jej matka, pojawiając się z ciastem,

dwoma słoiczkami ostrego sosu korzennego i wiązką szparagów. — Szparagi bardzo się udały tego roku, a sos zrobiłam z dodatkiem marchewki, imbiru i chilli. Ciasto na pewno posmakuje dzieciom.

Isobel w końcu usiadła i Kate wyczuła odrobinę zbyt długo przeciągającą się chwilę ciszy, a także zauważyła coś w twarzy matki, co sugerowało, że starsza kobieta jest zaskoczona jej niespodziewaną wizytą, lecz nie zamierza dopytwać o powody; i też milczała, choć pragnęła wyrzucić z siebie naglące słowa: musisz mi pomóc, musisz powiedzieć mi, jak mam to naprawić, bo wiesz, sądzę, że Harry ma romans, i czuję, jak łamie mi serce świadomość, że przestaje mnie kochać. Zamiast tego powiedziała tylko coś o uprawie szparagów i potwierdziła, że Oliwer i Drew przepadają za piernikiem z rodzynkami i orzeszkami pekan, po czym jednym uchem słuchała, jak jej matka opowiada o planach miejscowego klubu ekologicznego zamierzającego przywrócić kanię rdzawą wzgórzom Oxfordshire, i z dziwnego oddalenia wtrącała coś od siebie, przez cały czas zastanawiając się, dlaczego nie może, dlaczego tak bardzo nie może wyznać matce, co ją trapi.

Pomyślała o dniu swojego ślubu, prawie rok po śmierci ojca, o tym, jak na piętrze ubierała ją krawcowa, która uszyła dla niej suknię z satyny barwy kości słoniowej, ciasno dopasowaną i niemal bez szwów, i jak matka, stojąca obok lustra, zapewniła ją, że wygląda prześlicznie, „zupełnie jak śnieżyczka”, po czym sięgnęła ku niej i ucałowała ją serdecznie w chwili szczególnej intymności. Później, w kościele, Kate stała w progu i zbierała się w sobie, aby przejść nawał samotnie, gdyż jak powiedziała wcześniej matce, nikt nie był w stanie zastąpić jej ojca i wolała iść do ołtarza, czując u swego boku raczej jego obecność niż kogoś, kogo by poprosiła o tę przysługę. W kościele było gęsto od kwiatów, o które zadbała matka, i w powietrzu unosił

się duszący zapach róż i lili, i jaśminu, a Kate, podchodząc do pierwszej ławki, napotkała wzrok Isobel, nim jeszcze jej oczy spoczęły na Harrym. Postawa matki, zdecydowana pewność siebie, gołębia garsonka, również to zdawało się zapewniać ją, że wszystko będzie dobrze, że małżeństwo to opoka, że i ona, Kate, też może oczekiwać czegoś owocnego. Patrząc na Harry'ego, czekającego na nią przy ołtarzu z twarzą uśmiechniętą i w jej mniemaniu piękną, postrzegała go przez pryzmat ich narzeczeńskich dni; na plaży, gdzie ziarenka piasku oblepiły mu ciało, na jesiennym spacerze po lesie, gdy zmarznięta ziemia oddawała echo ich kroków, na niebieszcącym się basenie, w którym ciął wodę tuż przy niej, na zalanym deszczem przystanku autobusowym, kiedy chronił ją przed zimnem, tuląc do siebie, z mokrymi włosami dotykającymi jej policzka. Czuła wtedy, że szczerze go kocha, i powtarzała za duchownym słowa przysięgi głosem dźwięcznym i przepełnionym radością. Teraz zaś, w pokoju gościnnym w domu swojej matki, miała wrażenie, że całkowicie utraciła głos, i siedziała w bezruchu z rękami złożonymi na podołku, czując, jak niepewność osadza się na jej skórze mroźną warstewką.

Isobel właśnie ją pytała, kto ma odebrać jutro dzieci ze szkoły i które z nich powinno zostać na zajęciach pozalekcyjnych (Kate wystraszyła się, że matka musiała powtórzyć pytanie, że przestała jej w pewnej chwili słuchać), odpowiedziała więc i wstała z zamiarem powrotu do domu.

— Powinnam już iść, robi się ciemno — rzekła. — Dziś wypada dzień mycia głowy Drewa. Będę musiała przeczesać mu włosy gęstym grzebieniem, bo w jego klasie pojawiły się wszy.

Przez moment wahała się, z językiem przyciśniętym do zębów, jakby zaraz miała powiedzieć coś więcej, wiele więcej, ale znowuż tylko zapytała matki, jaką melodię grała, kiedy jej przeszkodziła swoim pojawieniem się.

— Chopina — odparta Isobel. — Wróciłam do Chopina. Kiedy byłam młoda, uważałam, że jest pokrętny i w ogóle straszny, ale teraz czuję się nim urzeczona. Ćwiczę ten kawałek od wielu dni i chyba w końcu go rozgryzłam.

— W takim razie nie będę ci więcej przeszkadzać — powiedziała Kate. — Może posiedzę chwilę w samochodzie i posłucham, takjak zrobiłam na początku. Bardzo mi się podobało, jak grasz...

Pocałowała matkę w policzek i zostawiła ją na środku pokoju, z dłońmi złączonymi z przodu, spoglądając na nią pytająco. Kate popatrzyła na ręce Isobel, te ręce, które opiekowały się ogrodem, które pewnie i z uczuciem przycinały rośliny, które tak samo wydobywały z fortepianu dźwięki utworów Schuberta i Chopina, piekły *clafouti*, francuskie ciasto z wiśniami, i gotowały *ossobuco*, piemonneckie danie z giczy cielecej, zbierały kwiaty czarnego bzu z gałązek; które były wiekowe, sterane i zgrabne, o długich palcach i krótkich paznokciach. Zerknęła na własne dłonie i poczuła, że nie są tak pewne, silne i twarde, że są mniej sprawne niż ręce jej matki i że gdyby były inne, gdyby bardziej przypominały dłonie Isobel, miałyby w nich jakąś pomoc, przydałyby się jej w tym, co powinna zrobić, cokolwiek to będzie.

Opuściła bawialnię, minęła hol i wyszła na podjazd przed domem. Obróciwszy się lekko, widziała, jak matka wraca do fortepianu, po czym jej krokom do samochodu towarzyszyły pierwsze dźwięki melodii Chopina sączące się przez grusze jak przedtem; Kate stała przy aucie, w zamysleniu wodząc opuszką palca po wargach i zastanawiając się, dlaczego nie potrafiła zwierzyć się matce. Czy dlatego, że wypowiedzenie swoich obaw na głos uczyniłoby je prawdziwymi i niezaprzeczalnymi? Wsiadła do samochodu i słuchała gry matki w mroczniejącym pokoju, powstrzy-

mując napływ łez do oczu za pomocą wspomnienia koguta spacerującego dumnie po ogrodzeniu.

Ruszyła spod domu matki i skierowała się wąską drogą ku strumieniowi, niegdyś zasilającemu miejscowy młyn, gdzie przysiadła na niewysokim mostku i obserwowała, jak zapadają ciemności. Trybula leśna porastająca oba krańce mostku kołysała się delikatnie w wieczornym powietrzu, pod koroną wierzby krążyły tabuny jętek i komarów, z drugiej strony strumienia dobiegały krzyki ptaków udających się na spoczynek, a na któreś z okolicznych, zieleniących się majowo łąk rozmuczała się krowa. A może nie powiedziała Isobel o niczym, ponieważ nie chciała, by matka się martwiła, nie chciała burzyć jej spokoju, dzieląc się z nią wiedzą o czymś, czemu i tak nie mogła zapobiec? Może chodziło o zamianę ról, o to, kto teraz jest dzieckiem, a kto rodzicem, kto jest odpowiedzialny za kogo, kto wie o życiu więcej? Chyba jednak nie, zdecydowała z uśmiechem pełnym zadumy, przypominając sobie nagłą chęć, tuż przed opuszczeniem domu, aby pobiec na górę do swego dawnego pokoju, położyć się na wąskim panieńskim łóżku, nakrytym niebieską narzutą z przyszytymi bladorożowymi tweedowymi serduszkami i guzikami z masy perłowej, i leżąc tam, zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że wszystko jest znowu dobrze, i przysłuchiwać się granej przez Isobel na dole melodii, która zdawała się bezbłędna w swej jednostajności.

Niewykluczone też, że jej milczenie niosło ze sobą lekceważenie. Niewykluczone, że jej matka nie zjadła wszystkich rozumów, nie miała doświadczenia, jeśli chodzi o kłopoty małżeńskie, i zwyczajnie nie była w stanie nic jej doradzić. Nie przeczuwała nawet niczego, co by nie było łatwą, pełną wzajemnej miłości, spokojną relacją. Być może, myślała dalej Kate, szczęście i nieszczęście całkowicie się wykluczają. Być może Isobel, zapytana, wniosłaby oczy do

sufitu, rozłożyła bezradnie ręce i szczerze zdumiona powiedziała: „Zawsze byłam z twoim ojcem szczęśliwa, nie sądzę więc, abym mogła dać ci jakąś wskazówkę”.

Tak czy inaczej nie znalazła odpowiedzi tutaj, u matki, w rodzinnym domu, a ojciec nie był już w stanie jej pomóc i Kate poczuła się zagubiona i pozostawiona sama sobie. Do kogo miała się teraz zwrócić? Może do Sary albo do Jane, koleżanki z pracy. Nieoczekiwanie dla samej siebie zrozumiała w zapadających ciemnościach, że nie wolno jej z nikim o tym rozmawiać, że jeśli czegokolwiek ją ta sytuacja nauczyła, to tego, że sprawy uczuć są absolutnie prywatne i że jest coś upokarzającego w tym wszystkim, i że nie mogłaby zadzwonić do Sary i jakby nigdy nic oznajmić, że Harry chyba przestał ją kochać.

Wróciła do samochodu i pojechała do domu. Stanąwszy na podjeździe, wyłączyła silnik i otworzyła drzwi. Majowa noc była wciąż ciepła, ciemności otulały ją miękkimi, grubymi fałdami. Rowerek Drewa leżał porzucony po prawej stronie ganku, a szczudła Emmy stały oparte o rynnę. Widziała też deskorolkę, motykę, starą metalową konewkę, a wszystko to przywodziło jej na myśl trzewia tego, co stanowiło jej rodzinę, uchwycone w świetle księżyca, czekające ranka, aby znów ożyć. W jej oczach samotne dziecięce zabawki były poniekąd święte, zawsze na ich widok popadała w podniosły nastrój i czuła smutek, ponieważ tak dobitnie świadczyły o nieobecności małych ludzi. W nozdrza uderzył ją zapach słodlinu pnącego się niezdarnie po wschodniej ścianie domu i lonicery, którą posadzili wspólnie z Dremem, kiedy ledwie nauczył się chodzić. Powietrze było ciężkie od wymieszanych zapachów kwitnących roślin i Kate na chwilę zatrzymała się na ścieżce, wciągając je głęboko do płuc. Czuło się w nim nadchodzące lato, zapowiedź samych dobrzych rzeczy, i Kate — nagle, niesłychanie mocno — zapragnęła uwierzyć w tę perspektywę, w tę nadzieję.

Przekręciła klucz w zamku i przekroczyła próg. Wszystkie światła były pogaszone, toteż domyśliła się, że Harry poszedł już spać. Wyjęła z torebki telefon komórkowy i sprawdziła, czy ma jakieś wiadomości albo nieodebrane połączenia. Chociaż nie było jej przez wiele godzin, nie pomyślał, aby do niej zadzwonić czy napisać i sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Drobne okrucieństwo, niezamierzona bezmyślność — kolejne punkty na jej liście — boleśnie raniące ją w samo serce.

Całkiem niedawno, gdy w połowie semestru jechała z uczniami pociągiem do Londynu na wystawę, siedząca obok niej kobieta dostawała jednego esemesa za drugim. Któryś z kolei — nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na wyświetlacz telefonu — informował krótko: **PRAGNĘ CIĘ**, co wywołało w niej myśl, jak ona by się czuła, jadąc pociągiem na stację Paddington i wiedząc, że jej nieobecność wzbudziła w kimś tęsknotę i pożądanie, a nie tylko, i to w najlepszym razie, pytanie, kiedy będzie z powrotem. Uśmiechając się smutno, wyobraziła sobie, jak Harry pisze do niej: **NIE PRAGNĘ CIĘ** albo nawet **NIGDY CIĘ NIE PRAGNAŁEM**.

Wspięła się po cichu na górę, zastanawiając się, kiedy jej kroki stały się takie ostrożne, takie niezauważalne. Może podczas długich lat noszenia niemowląt na rękę i usypiania ich kołysaniem, dreptania w kółko po całym domu w starej piźniamie i grubych skarpetach, ze świadomością, gdzie pod stopami i wykładziną przebiegają rury z wodą płynącą do bojlera, traktując te niewidzialne szlaki jak linę rozpiętą nad ziemią i balansując na niej niczym gimnastyczka, za każdym razem unikając tego miejsca w holu, w którym zawsze powstaje przeciąg od szpary w futrynie drzwi, przez cały czas poklepując i gładząc dziecięce plecki, czekając na moment, kiedy oddech stanie się głębszy i miarowy, kiedy będzie mogła położyć dziecko z powrotem w łóżeczku.

Przystanąwszy na piętrze, Kate usłyszała, jak jedno z dzieci mamrocze coś przez sen, i jak zwykle, kiedy ona czuwała, podczas gdy reszta rodziny smacznie spała, poczuła się strażnikiem jej dobrostanu. Tylko czuwając, mogła nanizać ich oddechy na drucik i trzymać je pewnie w dłoniach, zapewniając im bezpieczeństwo. Często nocami wyteęzała słuch, wzrok w próbie dostrzeżenia czającego się zła; wstawiała z pościeli, poprawiała im kołdry, podnosiła pluszowego misia z podłogi, zamykała okno, jeśli znad wzgórz nadciągała burza. I nieodmiennie, w mroku i ciszy nocy, czuła się w obowiązku stać na straży. Dlaczego, nie umiałaby powiedzieć; po prostu nie ufała temu, co może przynieść jutro, co życie może cisnąć na barki jej latorośli. Tam, na szczycie schodów własnego domu, Kate zrozumiała w chwili olśnienia, z przeraźliwą jasnością, gdy przygaszała światło w korytarzu, że pytanie, które przez cały czas ostatnio zaprzętało jej uwagę, nie brzmiało, co tak naprawdę ma, lecz czego nie ma. Pamiętała, jak Harry całował ją na plaży w Maroku przed tyloma laty i jak — podczas gdy jej serce fikało koziołki i wszystkie zmysły aż drżały — coś w głębi jej duszy, w szpiku kości, mówiło jej ze spokojem, że nigdy nie przestanie go kochać. I wiedziała, schylając się teraz po ręcznik rzucony na chodnik w drodze z łazienki do sypialni, że zakładała wówczas, iż on czuje to samo, tę samą pewność i niezawodność, i że perspektywa jego utraty ją zabija.

Najpierw zajrzała do pokoju Oliwera, gdzie przysiadła na skraju łóżka i odgarnąwszy synowi włosy z czoła, pocałowała go, nie budząc. Twarz zaczęła mu się już zmieniać, było to widoczne zwłaszcza we śnie, i Kate zdołała dostrzec ledwie zauważalne zmiany w linii jego zuchwy mówiące, że bardzo niedługo pozostanie chłopcem. Tuż pod powierzchnią skóry czekał na swój moment nastolatek gotowy do wyklucia; choć jeszcze jej nie przewyższał, od pewnego

czasu nosił buty o dwa rozmiary większe niż jej. Rozglądając się po jego pokoju, po jego forcie, po programowalnych zabawkach lego, dziękowała w duchu, że zawsze był takim dobrym dzieckiem, że jako pierworodny pozwolił jej odbyć macierzyński staż.

W pokoju Emmy złożyła planszę do gry, w którą bawiła się córka, i odłożyła na zwykłe miejsce gumkę do włosów, w przeciwnym razie nazajutrz rano musiałyby się odbyć poszukiwania. Upewniła się, że miś dziewczynki leży w jej ramionach, i pocałowała ją, mając nadzieję, że Emmie nigdy nie zabraknie miłości, że zawsze będzie się czuła kochana.

Co powie jej kiedyś, nie potrafiła jeszcze przewidzieć; obecnie wydawało się zuchwałością snuć takie rozważania. Pragnęła tylko, aby żadne z jej dzieci nie odczuło ciężaru nagromadzonego osadu odrzucenia. Może powie im, gdy przyjdzie na to czas, że zdarza się wyjątkowo silna miłość i że trzeba mocno zaciskać kciuki i żywić nadzieję, że los nią obdarzy, gdyż nie ma innego sposobu, by ją sprowokować do rozkwitnięcia.

Drewa po prostu złapała w objęcia; chłopiec skopał z siebie przykrycie, jego skóra była lepka od potu, lecz spał tak głęboko, że nie musiała się obawiać, iż go obudzi. Jak to się stało, że było tak w wypadku tylko jednego z jej dzieci, że tylko ono pozwalało się brać na ręce i przytulać? Wdychała zapach jego włosów i resztek pasty do zębów na policzku i całą sobą pragnęła, aby nigdy nie wyrósł z pizamek w dinozaury. Kołysała go przez chwilę, po czym na powrót ułożyła w pościeli, sprawdziła, czy ma zamknięte okno i nie grozi mu przeciąg, i ledwie się pohamowała, by nie opaść na kolana, zanosząc modlitwę dziękczynną za nich wszystkich.

Kiedy weszła do małżeńskiej sypialni, Harry także już spał, odwrócony tyłem do jej połowy łóżka, z ramieniem

uniesionym do głowy i dłonią zakrywającą skroń. Przeszła do łazienki i powoli się rozebrała, przysłuchując się ciszy na zewnątrz przerwanej zniecka przez krzyk bażanta gdzieś na polach. Przejrzała się w lustrze i poczuła się przytłoczona ciągiem czynności, jakie powinna wykonać: mycie zębów, złuszczenie naskórka, nawilżenie cery, przetarcie pięt pumeksem; ze smutkiem pomyślała, że nie spostrzegła, kiedy zwykłe dbanie o ciało zamieniło się w trud ponad jej siły. Postanowiła tym razem sobie odpuścić i tylko przepłukać usta płynem antybakteryjnym, związać luźno włosy i ochlapać twarz dla odświeżenia.

Wślizgnąwszy się pod kołdrę, podwinęła jej koniec stopami. Harry przewrócił się na plecy i teraz leżał na wznak tuż obok niej. Z odmetów pamięci wypłynął na powierzchnię wiersz, którego uczyła się w szkole, o wizycie w katakumbach kościoła na grobie pewnego lordostwa. Uwagę autora, a może tylko podmiotu lirycznego, zwrócił kamienny pies u stóp grobowca i to, że nieżyjąca od wieków para trzymała się za wyrzeźbione w marmurze ręce. Kate zastanowiła się, czy ona i Harry wyglądają podobnie, leżąc bez ruchu jedno obok drugiego, równolegle, lecz nie dotykając się, blisko i poufale, a zarazem bez kontaktu. Pod przykryciem ostrożnie przesunęła dłoń po prześcieradle i odnalazła rękę Harry'ego, lekko zgiętą i opartą na jego biodrze.

Nie zaprzestając delikatnego ruchu, objęła jego dłoń swoją i poczuwszy, że odruchowo obejmuje ją palcami, pomyślała, jak niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia. Tak nic nie znaczący gest może zostać poczytany za symbol, swego rodzaju lojalność, potwierdzenie niegdysiejszej wierności. Przejaw obopólnych wieloletnich starań. Poddając się zmęczeniu i zapadając w spiralę snu, Kate zdała sobie sprawę, że nawet drobiazg może być zacznym nadziei, i jeszcze przez chwilę, leżąc w ciemnościach i trzymając

męża za rękę, przysłuchiwała się jego równemu oddecho-
wi i zastanawiała, jak wiele razy oddychali unisono, śpiąc
w jednym łóżku.

ROZDZIAŁ 3

Isobel

Poślubię cię przez sprawiedliwość i prawo, przez miłość i miłosierdzie

Dziś wieczór, gdy patrzyłam na stojącą przy drzwiach córkę, dostrzegłam coś w jej sylwetce, w sposobie, w jaki trzymała ramiona, w wyrazie twarzy, co przypominało mi siebie, i z najwyższym trudem powstrzymałam się, by nie pokonać dzielącego nas dystansu i nie zaradzić jakoś jej troskom; by nie wygładzić jej rysów, nie złagodzić spojrzenia, które kiedyś musiała widzieć u mnie, które ja widziałam u siebie nie raz. Byłam nieomal przekonana, że coś przede mną zataiła, czegoś mi nie powiedziała, odnosiłam też niejasne wrażenie, że jej wnętrze zostało wypatroszone, że ostry nóż ze zgrzytem przejechał po kościach, nic więc dziwnego, że do pewnego stopnia przypominała mi zranionego ptaszka, taka skulona i ostrożna, by nie urazić bolącego miejsca, z którego istnieniem się przede mną nie zdradziła.

Chciałam spytać ją, co się stało, w czym problem, lecz pohamowałam się w obawie, że mogłaby to poczytać za wścibstwo i wtrącanie się w nie swoje sprawy. Nigdy nie byłam z nią nadmiernie szczerą ani szczególnie wobec niej otwarta, mimo iż zawsze uważałam, że naszej wzajemnej relacji nie można właściwie nic zarzucić. Oczywiście zdaję sobie sprawę z własnej niekonsekwencji. Chociaż jej ojciec leży w grobie od prawie dwudziestu lat, z pewnością gdy-

by nagle przekroczył próg tego domu, jemu umiałaby się zwierzyć w okamgnieniu; zazwyczaj wszystko sobie mówili, patrzyli jedno drugiemu prosto w oczy i nie mieli przed sobą sekretów. Nie zdawało mi się, abym została przez to wykluczona, ani nie miałam do nich o to żalu. Po prostu uznałam, że widać niektórych ludzi łączy większe powinowactwo dusz i umysłów niż innych. Z Kate niestety, wbrew moim najlepszym intencjom, nigdy nie było mi łatwo się porozumieć. W gruncie rzeczy chyba z nikim nie udaje mi się łatwo nawiązać wspólnego języka. Jest we mnie coś takiego, jakaś rezerwa, chłód, których nie umiem się pozbyć, co zmraża dwustronne stosunki.

Nie znaczy to wcale, że sprawy między nami źle się układają. Jeśli mam być szczerą, wydaje mi się, że w porównaniu z większością matek i córek świetnie sobie radzimy i stąpamy po pewnym gruncie. Kate nigdy nie wygarnęła mi prosto w twarz zapalczywych, gniewnych słów, nigdy nie oskarżyła mnie o porażki w swoim życiu, których byłabym przyczyną. Zawsze staram się w miarę możliwości wspierać ją we wszystkim, czego się podejmuje; być dla niej miłą i kochającą; pomagać jej przy każdej sposobności. Tym bardziej odkąd zmarł jej ojciec, choć nie padło między nami ani jedno potwierdzenie, że to on był centrum jej świata, że do niego zwracała się w potrzebie, że jemu zawdzięczała wszystko, na czym najbardziej jej zależało.

Nieodmiennie zdumiewa mnie, jak bardzo zmienił się świat od śmierci Roberta. Aż trudno uwierzyć, że przeżył swoje życie, zanim weszły do użytku telefony komórkowe, poczta elektroniczna, strony internetowe; zanim macki różnorodnych form komunikacji uczyniły relacje międzyludzkie jakby oczywistymi. Czasami wydaje mi się, że wszystko nabrało tempa. Co kiedyś trwało wiele dni, teraz odbywa się w parę chwil; można błyskawicznie zarezerwować przez Internet wakacyjny wyjazd, kupić bilety lotnicze, zamówić

dostawę niezbędnych produktów spożywczych do domu, odnaleźć odpowiedź na hasło z krzyżówki. Coś takiego sprawia, że Robert jawi mi się jako fragment dawnego, staromodnego świata, niczym owad zastygły w bursztynie. Chcę chyba powiedzieć, że tamten świat zapewniał moim zdaniem więcej prywatności.

Przede wszystkim jednak z wielkim trudem przychodzi mi zaakceptować to, że tak wiele się zmieniło (wprost nie do wiary, że mogę na swój telefon otrzymać wiadomość tekstową zawiadamiającą mnie o przesuniętej godzinie spotkania kółka brydżowego), a równocześnie rośliny, które posadziłam w ogrodzie jeszcze za jego życia, wciąż rosną i kwitną swoim nieskomplikowanym zwyczajem. Róża rabatowa, która zdążyła wybujać do wysokości jabłunki; forsycja wiosną stanowiąca paletę barw na tle zachodniej ściany domu; kwiaty wisterii tak obfite, że swym zapachem wypełniają kuchnię przez cały czerwiec. Czułby się więc nadal dobrze w tym zmienionym świecie i co najważniejsze, mógłby w dalszym ciągu być dla Kate wzorem.

Sądzę, że kobietom z mojego pokolenia było łatwiej. Wiedziałyśmy, że możemy popracować trochę przed ślubem, a potem bez wyrzutów z niczyjej strony zaniechać stałego zajęcia. Przyznaję, że nie dotyczyło to wszystkich, nawet wtedy zdarzały się bowiem wyjątkowo ambitne bądź wybitnie zacięte, które zdobywały stopnie naukowe, zostawały lekarkami, wykładowczyniami uniwersyteckimi i badaczkami, robiąc użytek ze swych pewnych rąk, mocnych głosów i błyskotliwych umysłów, jakimś cudem godząc pracę zawodową z wychowywaniem licznych dzieci i znajomością książek kucharskich Elizabeth David. Większość z nas obejmowała jednak taryfa ulgowa. Mogłyśmy nosić fartuszki po domu; w ramach hobby oddawałyśmy się polewowaniu lakieru na samochodzie albo ikebanie w zależności od pochodzenia i stopnia zamożności; wolno nam było

zwyczajnie czekać, aż dzieci wrócą po lekcjach ze szkoły, ponieważ nie przymuszano nas do robienia prawa jazdy i nikt nie zawstydział nas z powodu tego, że nie umiemy prowadzić auta; wręcz oczekiwano od nas, byśmy pozwalały mężowi utrzymywać rodzinę i dom. Taki panował wówczas klimat, który drastycznie się zmienił, co z kolei wywołało inne, nowe problemy — przynajmniej ja tak to widzę.

Doświadczenie Kate w roli żony i matki diametralnie różni się od mojego. Nie trzeba sokolego oka, by zobaczyć, jak trudno jej się rozerwać między dzieci, pracę i dom. Nie trzeba być jasnowidzem, aby się domyślać, jak to wpływa na jej stosunki z Harrym, jak okrawa ich wspólny czas. W moim odczuciu większość energii poświęcają na to, aby przeżyć; przypomina mi to nieco tego małego holenderskiego chłopca, który palcem próbował powstrzymać przeciek tamy, tak jak on bowiem zatykają dziury tu i tam, biegając z miejsca na miejsce. Z drugiej wszakże strony ich małżeństwo jest o wiele bardziej wyważone, więcej w nim dzielenia się. Dotąd pamiętam swoje zaskoczenie, gdy na moich oczach Harry porywał któreś z dzieci, gdy było malutkie, i zmieniał mu pieluchę albo nastawiał kąpiel czy też po prostu zjawiał się po pracy w domu z torbami pełnymi zakupów. Lecz mimo to ich związek wydaje mi się czasami niestabilny jak domek z kart, jak atom z wybitym z orbity elektronem; pozbawiony ośrodka, niespojony jak należy.

Często zastanawiam się, jak będą przedstawiać się sprawy, gdy dorośnie moja wnuczka; co ona wybierze i co będzie z tego miała. Bo z perspektywy wiem już, jak to wyglądało dla moich rówieśniczek, kobiet do znudzenia odtwarzanych przez aktorki ubrane w charakterystyczne sukienki z lat pięćdziesiątych, śmiejące się jak głupi do sera podczas odkurzania i stojące z dumą obok lśniących nowością pralek wirnikowych. Choć brakowało nam siły w komercyj-

nym tego słowa znaczeniu, byliśmy kotwicami i cumami, przytrzymywałyśmy wszystko na swoim miejscu i niczym sama matka natura sprawiałyśmy, że nasz świat kwitł. Ale czy naprawdę byliśmy bezsilne, jak chciały wierzyć nasze następczynie? Wcale nie jestem tego taka pewna, kiedy czytam o dzieciach, które prawie nie widują swoich matek, kiedy słyszę o miesięcznych niemowlętach spędzających całe dnie w żłobkach, gdzie karmi się je według wywieszonego na tablicy grafiku.

Przez takie pole minowe musiała przejść Kate, a ja bezwzględnie trzymałam jej stronę, nawet gdy podejmowała decyzje, pod którymi bym się nie podpisała.

Lecz dzisiaj, gdy stała przy drzwiach, byłam pewna, że zaraz coś powie, że powie coś, co rozleje się po dywanie niczym krwistoczerwona plama. I ta chwila przerwy w rozmowie, którą wypełniłam pytaniem, kto ma odebrać nazajutrz dzieci ze szkoły; to nietypowe dla niej wahanie, które z dzieci mają jutro kółko sportowe i mecz piłki nożnej, a któremu trzeba będzie przypomnieć o zabraniu fletu. Krótka dygresja unicestwiająca jej milczenie, pozwalająca jej zerwać się z miejsca i powiedzieć, że musi już iść, że przykro jej, iż przeszkodziła mi w grze na fortepianie. Moment później całowała mnie w policzek i wychodziła na zewnątrz, a ja mogłam wrócić do fortepianu i do urwanego w połowie utworu Chopina, który ćwiczyłam tuż przed jej niespodziewanym zjawieniem się tutaj.

Przez wykuszowe okno widziałam, jak przystaje i słucha pierwszych dźwięków, przytknąwszy dłoń do ust, a potem nagle prostuje się i podnosi wyżej głowę. Co kryło się za tym gestem, jakie znaczenie on niósł, wołałam nawet nie myśleć. Ponownie wykazałam się tchórzostwem, nie biegnąc za nią i nie pytając, co czuje. Przyzwyczajenie to druga natura, a ja zawsze raczej dostrzegałam różne rzeczy, niż o nich mówiłam.

Po jej odejściu łatwiej mi sprecyzować źródło moich obaw. Patrząc na nią, gdy stała przy drzwiach, gdy stała przy samochodzie, zauważyłam w niej coś znajomego, coś, co kazało mi wrócić myślą do czasów, kiedy Robert jeszcze żył; jak gdyby Kate miała powtórzyć moje błędy. Nie te popełnione ostatnio, w tej części mego życia. Wdowieństwo mi służy, muszę to wyznać, czuję się w tym stanie jak stopa w wygodnym pantoflu. Nadwerężało mnie natomiast pełnienie roli żony, nie mogę tego dłużej przed sobą ukrywać.

Moje obecne życie składa się z zajęć nie sprawiających mi trudu. Nauczyłam się grać w brydża, zdałam egzamin państwowy z języka hiszpańskiego. Jeżdżę z wycieczkami w zabytkowe miejsca, takie jak choćby Siena, i jako jedna z grupy osób o podobnych zainteresowaniach przysłuchuję się z uwagą przewodnikowi opisującemu detale oglądanego fresku. A potem siedzę w restauracji, jem makaron i piję wino, i udzielam się w rozmowie przy stole na tyle, na ile to konieczne, z właściwą mi rezerwą wykluczającą bliższą znajomość. Już dawno spostrzegłam, że lepiej mi idzie radzenie sobie z ludźmi trzymanymi na dystans niż z dopuszczonymi do poufałości. Nie mam ochoty wysłuchiwać szeptanych zwierzeń innych kobiet, które poruszając szybko bladymi wargami, bez oporów opowiadają o stracie, jaka je dotknęła i osamotniła. Z jeszcze większą niechęcią dowiaduję się o sercowych bliznach starszych mężczyzn, również żyjących w pojedynkę w domach, których zastygła atmosfera wydaje mi się nie do pojęcia. Dobrze mi z uczuciem, że mam to już wszystko za sobą.

Będąc na miejscu, angażuję się w sprawy lokalnej społeczności. Zeszłego września prowadziłam zajęcia, których celem było zebranie funduszy z przeznaczeniem na renowację naszego kościółka; uczyłam na nich młodsze kobiety z wioski robienia marynat i przetworów. Przez cały dzień

smażyłyśmy dzemy i mieszałyśmy sosy, aż na parapecie zabrakło miejsca na słoiki, a w powietrzu unosił się ciężki zapach brzoskwiń, jeżyn i imbiru.

Jestem odpowiedzialna za przystrojenie kościoła kwiatami. W Wielkanoc ścinam masę roślin w swoim ogrodzie i obwieszam nimi ołtarz, tak że wygląda, jakby ustawiony był w lesie i dekretował początek wiosny; świeża zieleń wspaniale kontrastuje z bielą obrusa i złotem komży. Przewodnicząc komitetowi organizującemu festyny i pisując do kościelnej gazetki, prosząc parafian, by kramik z herbatą doposażyli ciasteczkami domowej roboty i dekoracyjnymi drobiazgami.

Przede wszystkim jednak pracuję w ogrodzie, w moim ogrodzie. Mam rękę do roślin, cokolwiek zasadzę, przyjmuje się i kwitnie, co chyba stanowi przeciwagę dla tego, jak radzę sobie w życiu z emocjami. Każdego lata zalewa mnie powódź barw i zapachów, z koszy wysypują się kwiaty, a dom nareszcie zdaje się w idealnym porządku. Chyba jest mi najlepiej, gdy klęczę przy grządkach z palcami głęboko w glebie, długimi i pewnymi. Kwiaty prowokują we mnie zdolność odważnego łączenia kolorów i woni, przeplatania różnych faktur i kształtów, przekraczania granic, jakich zawsze się trzymam, jakich przestrzegam w wypadku ludzi i uczuć, poza swoim ogrodem zadowolając się rozsądkiem i trzeźwością w sam raz wystarczającymi, by upiec udany placek z wiśniami, czerpiąc spokój i harmonię ze starannego odmierzania potrzebnych składników.

Uwielbiam porządek i by wszystko było na swoim miejscu. Decorum ma dla mnie wielkie znaczenie, nie cierpię, gdy cokolwiek jest niedopracowane i jakby surowe. Lubię też czuć, że panuję nad sytuacją. Świetnie sobie radzę i w kuchni, sprawnymi rękami ugniatając kruche ciasto, zawijając brzegi i z matematyczną precyzją i schludnością odcinając to, co wystaje. Kiedy Kate była mała, uczyłam ją

piec kruche ciasteczka, ledwie się powstrzymując, aby nie zwracać jej uwagi, gdy gwiazdka wyszła krzywo albo kapka lukru nie znalazła się dokładnie pośrodku wzoru.

Rozwodzę się nad tym wszystkim, ponieważ stanowi to rozdmuchaną metaforę tego, jaką byłam żoną. Mój dom zawierał nadmiar przedmiotów i niedostatek duszy, ze mną w centralnym punkcie, z życiem przytłoczonym drobiazgami. Z pewnością byłam zbyt wybredna, zbyt wielką wagę przykładając do szczegółu, do osnowy. W końcu w latach poprzedzających śmierć Roberta zrozumiałam, że można zaaranżować kontekst, lecz nie da się nim zagwarantować miłości. I wydaje mi się, że właśnie tę wiedzę dostrzegłam na twarzy mojej córki, wbitą w jej ciało niczym odłamek szkła nie pozwalający się łatwo usunąć.

Poznałam Roberta tuż przed tym, zanim ukończył akademię medyczną. Ja miałam dyplom szkoły dla sekretarek i pracowałam w kancelarii miejscowego adwokata. Robiłam stenogramy, pisałam na maszynie, wydzielałam pieniądze na drobne wydatki; siedziałam przy swoim biurku w eleganckim komplecie bliźniaku i tweedowej spódnicy, prosząc petentów, by zechcieli zaczekać, i wprowadzając ich do gabinetu, kiedy pan Macdonald dał mi znak.

To dość ciekawe, jak postrzegałam ten etap swojego życia. Posady nigdy nie traktowałam jako czegoś stałego, tylko jako przerywnik, zapchajdziurę przed prawdziwym życiem, które dopiero miało nadejść. Roberta spotkałam na sobotnim przyjęciu u przyjaciół. Natychmiast go zauważyłam, ponieważ jego aura była tak odmienna od aury innych zaproszonych mężczyzn. Moje kontakty z płcią przeciwną ograniczały się dotąd do synów znajomych rodziców, którzy wpadali do nas latem na przyjęcie w ogrodzie i grę w tenisa i wszyscy byli tacy sami: mieli takie same maniery, taki sam chód, taką samą wymowę. Moja matka nie kryła, iż spodziewa się po mnie, że znajdę odpowiednią, nie przy-

noszącą wstydu rodzinie partię. Zgodność serc to jedno, afiniczność i podobieństwo środowisk drugie i znacznie ważniejsze, tak więc nie miałam wątpliwości, że jeśli Robert w ogóle przejdzie ten test, to z największym trudem.

Było w nim coś niewyglądzonego na brzegach, jakiś entuzjizm bardziej żywy, bardziej świeży. W sposobie, w jaki odpowiadał na pytania, coś, co pokazywało, że nie ma czasu na zamaskowaną błahość wymuszonej konwersacji. Coś, co znacznie później nazwałam na własny użytek łąkaniem życia i co tak bardzo odróżniało go od pozostałych mężczyzn. Głód życia, który jak widzę teraz, trafnie rozpoznałam, lecz którego ani z nim nie dzieliłam, ani nawet nie umiałam do końca zrozumieć. Ale widziałam u niego cechy, które wrzucałam do jednego worka z napisem „dziarski”, i traktowałam jego dociekliwość i otwarcie na świat jako kontrast, a może przeciwwagę dla mego wrodzonego opanowania i zamknięcia w sobie.

Nie przestałam się nigdy zastanawiać, co sobie o mnie pomyślał tamtego dnia. Przywołuję w pamięci obraz swoich przyjaciółek i siebie, wspominam, jak wyglądałyśmy, jak się prezentowałyśmy, jakie sprawiałyśmy wrażenie w eleganckich letnich sukienkach i pantoflach na obcasach kaczuszkach, z dobranymi pod kolor rękawiczkami, mimo że było ciepło. Nie byłyśmy dziewczętami wprowadzanymi do towarzystwa, debiutantkami, wiele nam do tego brakowało, lecz na pewno zamożnymi pannami ustawionymi w pastelowym rzędzie.

Po raz pierwszy się do mnie odezwał, gdy stałam na granicy gładkiej trawy i ogrodu, przyglądając się splecionym pędom róży i powojnika. Nie mam pojęcia, co przyciągnęło mój wzrok, gdyż w tamtych dniach nie interesowałam się roślinami jak teraz. Mogłam siedzieć z książką obok cudnych róż mojej matki albo przechadzać się alejkami zaaranżowanymi w geometryczny wzór i cieszyć oko urodą

altany, nie poświęcając nawet jednej myśli pracy włożonej w utrzymanie tej bujności przy życiu. Dopiero kilka lat później uświadomiłam sobie faktyczny koszt ogrodnictwa. Domyślałam się, że to nieoczekiwane zainteresowanie okazane wtedy krzewom było przejawem przebijającego się na powierzchnię hobby, zapowiedzią dalszego oddalenia od przyjaciół i ludzi w ogóle. Kiedy Robert do mnie podszedł, nie mogłam nie zdawać sobie sprawy z tego, jak niewielka odległość nas dzieli, z jaką pewnością spogląda mi prosto w oczy, pytając, na co patrzę.

Zaczerwieniłam się, co naturalnie było zwykłą reakcją w takich okolicznościach, i jak pamiętam, nie powiedziałam nic, nie byłam w stanie nic powiedzieć. Noszę wciąż wspomnienie tego, jak Robert się schylił i wyrwał drobny chwast rosnący obok krzewu, po czym otrzepał dłonie z ziemi gestem zdecydowanym i niezwykle pewnym. Gdy tak stał obok mnie w popołudniowym słońcu lata, zdawał się silny i odważny, zdawał się kimś, kto poradzi sobie w życiu, nie pozwoli mu się onieśmielić.

Nie opuszcza mnie strach, towarzyszący mi od niepamiętnych czasów, że na ogół samo życie skubie brzegi jednostki; dziobiąc, pomniejsza i sprawia, że człowiek jest coraz mniej tą osobą, którą był na początku. Życie, twarde i uparte, któremu można przeciwstawić tylko porządek i rytuał, podczas gdy Robert zdawał się całkowicie odporny na niszczycielskie wpływy z racji tego, jaki się urodził. Stojąc u jego boku, nie wyczuwałam grama strachu, było w nim za to owo łaknienie i sięganie poza siebie. Był dzielny tam, gdzie mnie brakowało odwagi, i najpewniej właśnie to mnie do niego przyciągało, tak przynajmniej wydaje mi się teraz.

Dobrze pamiętam dzień, w którym przedstawiłam go swoim rodzicom. Pojechalśmy we czworo na piknik nad jeziorkiem mego wuja; siedziałam i przypatrywałam się

Robertowi, gdy rozmawiając z moim ojcem, szybko, sprawnie uczył się przygotowywać muchy na pstrąga. Ręce miał gibkie i zwinne, rząderek spławików wydłużał się przy nim, a ojciec uśmiechał się do siebie, gdyż wszystko było tak, jak sobie wymarzył.

Po czasie zaczęłam się zastanawiać, co takiego we mnie zobaczył; może jeszcze nieuformowaną dziewczynę z dobrego domu, którą zdoła nauczyć życia. Niewykluczone, że nasze pierwsze spotkanie podsunęło mu myśl, że rozbudzi we mnie wrażliwą żywotność. Nie wodziłam go podówczas za nos, tego jestem nadal pewna, lecz mogłam niechcący, bezwiednie zasugerować większą uczuciowość niż ta, która mnie charakteryzowała.

Mogę się wszakże mylić i tym, co we mnie zobaczył i czego pragnął, był mój nadzwyczajny spokój i opanowanie, jakich brakowało w jego egzystencji, by mieć ją na czym osadzić. Przecucie zawsze świeżych kwiatów w wazonie na stole, gdy będzie wracał wieczorem do domu. Bądź też zwyczajnie, i mylnie, wziął moje stateczne zachowanie za oznakę siły. Moje niewyrobione jeszcze umiejętności za kwintesencję charakteru, choć w istocie to dwie całkiem różne rzeczy.

Cokolwiek to było, zaowocowało jego oświadczeniami. W tamtych czasach wszystko działo się szybciej w tej materii, a siłą napędową była, jak sądzę, wymuszona czyistość przedmałżeńska; moje okazywane jawnie przekonanie, że każdy manewr idący dalej niż krótki pocałunek w usta znacznie wykracza poza ramy tego, co robią grzeczne dziewczęta. Gdy powiedziałam „tak”, moi rodzice nie posiadali się ze szczęścia; ich oczekiwania, moje nadzieje, wszystko się spełniło. Było to tak, żeby użyć tego porównania, jak gdyby kolejny ścieg trafił dokładnie w przewidziane miejsce, jakby równy haft nieprzerwanie opisywał trajektorię mego życia. Matka przeprowadziła ze mną przed

ślubem kobiecą rozmowę od serca, wprowadzając mnie w tajniki sypialni. Nic, absolutnie nic z tego, co mi powiedziała, nie przygotowało mnie na inwazyjność związaną z tą sferą życia.

Gdy byliśmy małżeństwem już pół roku, gdy zapełniliśmy dom meblami, w dużej części otrzymanymi od krewnych; gdy uszyłam zasłony do wszystkich pokoiów i doszłam do porozumienia z rzeźnikiem, jakie mięsa ma dla mnie odkładać dwa razy w tygodniu; gdy zrezygnowałam z pracy w kancelarii, by przez kilka godzin dziennie zajmować się administracją w prywatnej praktyce Roberta, gdzie trzeba było domawiać leki i umawiać wizyty domowe w wypadku pacjentów niemobilnych — nawet wówczas czułam pewien rozdziew pomiędzy rzeczywistością a wyobrażeniami, miałam świadomość jego świdrującego spojrzenia, zupełnie jakby oczekiwał ode mnie jakiejś odpowiedzi, jakiejś reakcji na wysyłane przezeń emocjonalne sygnały Morse'a. Jeśli nawet nie pełnowartościowej, to przynajmniej będącej echem, oznaką spontaniczności i chęci do życia. I chyba powoli zaczynał rozumieć, że jestem dlań ciemnym stawem, w którym toną jego słowa, jego starania, jego miłość, i opadają aż na samo dno.

Tymczasem moja tonika nie uległa żadnej zmianie, mam co do tego pewność. Pozostała taka sama jak na początku, jak zawsze. Nie jęłam nagle wrywać się w górę, ku słońcu, ku życiu niczym małe drzewko morelowe na wiosnę czujące obietnicę ciężaru słodkich owoców na swoich gałązkach przez długie lato. A może Robert tak właśnie o mnie myślał: jako o sadzonce, o cienkiej wierzbowej witce, miękkiej i elastycznej, gotowej prężyć się i sięgać ku światłu? Nie przewidział najwyraźniej, że sadzonki mają tendencję do wypuszczania pędów, które zamieniają się w gałęzie, a te w konary, sztywne, twarde i niepodatne na wpływ środowiska. Nie potrafiłam otrząsnąć się z wrażenia, kiedy leżeli-

śmy obok siebie w łóżku, że nie wszystko jest tak, jak sobie wyobrażał, jak mogłoby, jak powinno być dla niego.

Z wolna zaczynałam rozumieć, że to co brałam za wątpliwości młodego wieku, przyćmiło znacznie poważniejszą niechęć. Powściągliwość, której nie umiałam przezwyciężyć, gdy przychodziło do spraw cielesnych. Odwracałam głowę, niezdolna spojrzeć mu prosto w oczy, świadoma bliskości jego twarzy zawieszanej tuż nade mną, jego spojrzenia próbującego skrzyżować się z moim. Język Roberta w moich ustach powodował tylko, że chciałam ciaśniej zerwać wargi i schować twarz w poduszce.

Kiedy zaszłam w ciążę, niemal od razu, począwszy od pierwszych poruszeń w dole brzucha, tych trzepotań i poszturchiwań w głębi moich trzewi, wiedziałam, że będę to przechodzić tylko raz, że nie pozwolę więcej na podobną inwazję i wyrzeczenie się siebie. Do dziś pamiętam uczucie niesmaku, które towarzyszyło mi, ilekroć rozpychały się we mnie dziecięce łokcie i stopy, napierając boleśnie na żebra. Mam gdzieś wciąż fotografię, na której stoję w spodniach w pepitkę i luźnym kaftanie, z twarzą odwróconą od obiektywu, z monstrualnym brzuchem.

Po narodzinach Kate byłam zachwycona jej doskonałością, lecz czułam obrzydzenie na widok mleka ciekącego z moich nabrzmiałych, pożyłkowanych piersi. Brodawki nieustannie miałam wilgotne, sutki zakończone kroplą mleka, a usteczka Kate przy nich, różowe i idealnie wykrojone, zdawały mi się kleszczykami. Poprosiłam Roberta, żeby postarał się o smoczki i mleko w proszku, wiedząc, że poczuje się znacznie pewniej z butelką w rękę, i błagałam go, aby obwiązywał mi biust w celu powstrzymania mleka. Kiedy siedział na brzegu łóżka i motał wokół mojej klatki piersiowej metry bandaży elastycznego, odczuwałam potężną ulgę, że wnętrzności znów mam małe i szczelnie zamknięte; z westchnieniem powitałam dawną siebie, cóż

z tego, że tymczasowo obwiniętą szarpianami do utraty tchu. Później Robert powrócił do naszej sypialnianej rutyny, godząc się z moją oziębłością, lecz nie kryjąc już przede mną rozczarowania. Jakbym nie dotrzymała jakiejś obietnicy lub jakbym nie spełniła stawianych mi oczekiwań, tym samym potwierdzając coś o znacznie większym znaczeniu.

Choć to zadziwiające, nie padły między nami żadne ostre słowa; nasza sypialnia nigdy nie nabrała duszącego zapachu oskarżeń i winy; Robert nie pobierał nagle na twarzy, wycierając naczynia, i nie zarzucił mi, że to małżeństwo nie jest takie, jak się spodziewał. Zawsze panowała między nami przyjazna i miła atmosfera wzajemnej uprzejmości. Zapraszaliśmy wspólnych znajomych na kolacje wydawane przy ogromnym dębowym stole; ja nabierałam chochlą jakąś smaczną zupę z wazy; Robert przy drugim krańcu stołu porcjował mięso nożem, otwierał butelkę wina. Pośród tego, co układało nam się niefortunnie, nieodmiennie fascynowała mnie jego pewna ręka, to, z jaką precyzją kroił pieczeń. I tylko czasami, gdy był ode mnie na poły odwrócony, dostrzegałam jakby smutek w jego oczach. W małżeńskiej sypialni, gdy sięgał po mnie i przyciągał do siebie, moja odpowiedź w najlepszym razie była przepełniona poczuciem obowiązku, niezwykle stateczna. Cóż za straszne słowa... Po jakimś czasie przestał więc ponawiać próby, zniechęcony brakiem efektu lub zraniony tym, że zamykałam ciasno powieki, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą.

I tak staliśmy się równoległymi liniami, połączonymi tylko przez wspólny cel, styczniymi jedynie dzięki Kate, która rezonowała między nami. Gdy była malutka, ubierałam ją wyłącznie na biało, tak że wyglądała jak mała śnieżyczka, doskonała i niewinna. Wiem teraz, tak jak wiedziałam wtedy, że nie miałam wrodzonego instynktu macierzyńskiego; irtowały mnie, wbrew sobie samej, jej

pulchne lepkie paluszki, jej typowo dziecięce zachowania, jak potrącanie i przewracanie kubka z pićm przy posiłku czy wiercenie się u mnie na kolanach, kiedy czytałem jej bajkę. Do szału doprowadzało mnie spustoszenie, jakie czyniła na dolnych półkach kuchennych szafek, i zachlapano podłoga w łazience po każdej jej kąpieli. To jednak nie znaczy, że jej nie kochałem, gdy była brzdącem, raczej, że miałam nadzieję, iż będę umiała się nią bardziej cieszyć w miarę, jak będzie dorastała, aż w końcu jako młoda dziewczyna stanie się opanowana i zrównoważona jak ja. Dla odmiany Robert przepadał za nią od pierwszych wspólnych chwil, nieraz widziałam ich wtulonych w siebie, przy czym Kate zawsze kojarzyła mi się wtedy z małym króliczkiem. Bez ustanku czyściłam mu ubrania ze śladów jej śliny, widziałam jej piąstki zaciśnięte na jego włosach. Bujał ją na huśtawce zawieszanej na gałęziach dorodnej wiśni; oboje z zarumienionymi z zimna i emocji policzkami, jej buzia rozśmiana, szaliczek rozwiązany i powiewający na wietrze, jedna rękawiczka porzucona na ziemi przy tarasie. To Robert czytał jej mity greckie i uczył ją gry w szachy, pozwalając, by strącała inne figury, kiedy chciała zbić jego królową. Z niecierpliwością wyczekiwałam chwil, w których nie było go w domu, a Kate siedziała koło mnie skupiona, ucząc się szydełkowania, nagle spokojniejsza, cichsza, bardziej do mnie dostrojona.

Siedząc tutaj teraz i rozmyślając o tym wszystkim, uświadamiam sobie nowe wzory, nowe prawidłowości. Widzę siebie, kiedy wychodziłam za mąż i kiedy pochowałam męża, i całą gamę półnut rozpisanych pomiędzy tymi dwoma momentami w moim życiu. Przedtakty i akcenty chwil, w których nasze małżeństwo się zmieniało według ukrytego, nieczytelnego rytmu. Ugruntowanie póź, nawyków, otwarte zakreślanie granic, zgoda na oddzielne życie razem, na przyjaźń bez zaangażowania. Nie musiałam wąt-

pić w wierność Roberta, przecież większość wolnego czasu spędzał w domu, zazwyczaj w swojej pracowni, do której prawie nie wchodziłam. Przy tych rzadkich okazjach, gdy już tam zajrzałam, przekonywałam się, że tłoczno w niej od rzeczy Roberta; książki leżące w stertach na podłodze, walające się tubki farb olejnych, niedokończone partie szachów, któryś z naszych psów rozwalony przed kominkiem. Niepokoił mnie ten nieporządek, ten rewolucyjny bałagan, ta zdolność mego męża do poświęcania się coraz to nowemu zainteresowaniu. Tymczasem ja dalej wiodłam swoją uporządkowaną, odmierzaną metronomem egzystencję, sporadycznie wyrażając sprzeciw, gdy Kate przyprawiała nową koleżankę, którą uważałam na nazbyt wyzywającą, nazbyt konfliktową, na co Robert zwykle stwierdzał, że może powinnam dostrzec w tym błogosławieństwo. Zastanawiałam się wówczas, czy taki wysnuł na mój temat wniosek: że najbardziej cenię sobie przeciętność, przygaszenie, nudę. To co zadowala zmysł estetyczny, lecz nie pobudza w żaden sposób ducha. Welon spokoju i ładu, który dławi zakryte życie. Czyż to nie ironia, że rozumiem to w pełni dopiero teraz, teraz, gdy jest za późno na zmianę, zakładając, że w moim przypadku zmiana kiedykolwiek wchodziła w grę?

Pozostaje mi więc tylko obracać w dłoniach to, co się stało, i podnosić do oczu pod światło, by lepiej zobaczyć istotę wydarzeń. Jakbyśmy ja, Robert i Marta byli tylko wycinankami z papieru sklejonymi w trójwymiarowe kształty, wyglądającymi różnie w zależności od tego, z której strony się patrzy, zawsze po części niewidocznymi. Dokładnie pamiętam moment — było to niemal trzydzieści lat po ślubie — kiedy wolno, odrobina po odrobinie zaczęłam dostrzegać zachodzącą w swoim mężu zmianę. To, że jego odwieczna szarpanina nagle jakby nabrała celowości. Błysk w jego oczach, sprężystość kroku, gdy wychodził z domu.

I moje uczucie, że jego wzrok, jego uwaga koncentruje się teraz gdzie indziej, przed nim, zupełnie jakby niósł w rękach cenną kryształową kulę. Świadomość, że choć nadal spędza ze mną noce, nawet we śnie zdaje się zaabsorbowany czymś, co nie ma ze mną związku.

Zawsze są jakieś ślady; każda kobieta, której mąż miał romans, może to potwierdzić. Wrażenie, że coś przestało pasować; niewinne z pozoru kłamstewko; niewyjaśnione spóźnienie; półuśmiech w trakcie otwierania koperty z rachunkiem za gaz.

A potem w naszym kościółku, gdy z Madeleine Sawyer dekorowałyśmy chrzcielnicę, pieczołowicie próbując złagodzić ostrości kamienia i metalu przed uroczystością chrztu, uzbrojona w drut florystyczny w jednej ręce i zwykłą kąpielową gąbkę w drugiej, z wiadrami bluszczu i wiązanekami eustomy u stóp, usłyszałam, jak przyjaciółka opowiada o tym, że niedawno wpadła na Roberta („No może nie dosłownie wpadłam” — wycofała się prędko — „bo on raczej mnie nie widział. Tego rodzaju spotkania rozgrywają się tak szybko, że zanim człowiek wróci do samochodu, nie może być pewien, czy mu się przypadkiem nie przywidziało”). W jej głosie pobrzmiwało delikatne, acz wyraźne podniecenie.

„Był z kobietą” — kontynuowała — „na dziedzińcu kościoła w Dorchesterze. Pewnie jakaś znajoma? Może kuzynka? Choć nie dopatrzyłam się żadnego podobieństwa, nawet najmniejszego. Jak zwykli turyści z przewodnikami w rękach przyglądali się jakiemuś witrażowi. Pewnie poznali się w jakimś klubie czy kółku zainteresowań?”.

Przyciśnięta do muru poprosiłam, aby ją dokładniej opisała, udając, że potrzebuję odświeżyć sobie pamięć, aby z całą pewnością stwierdzić, któż to mógł być, na co głos Madeleine zaczął jeszcze wyraźniej drżeć, gdy usiłowała znaleźć taktowne słowo na „pospolita”, którego z jakiegoś

powodu postanowiła unikać. Mimo to zawisło między nami niczym akrobatyczny trapez wraz z obrazem mego męża i jego zwyczajnej kochanki, czujnie wypatrzonych przed witrażem kościoła w obcym mieście. Ja ani na moment nie zaprzestałam niania na przemian bluszczu i eustomy na drut, pomagając sobie małą zieloną gąbką; stąd zapewne moja niechęć do tych roślin żywiona po dziś dzień.

Po przyjsciu do domu przypominałam sobie, co kiedyś powiedziała pani Bolton, moja sprzątaczką, polerując kafle nad zlewem w kuchni i jak zwykle rozwodząc się na temat swojego szwagra. „Nie trza wcale daleko szukać” — rzekła — „jak chłop się zmienia, można z czystym sumieniem winić o to obcą babę”. I już wiedziałam, co Robert nosił z taką nabożną czcią w dłoniach przed sobą: uczucie do tej kobiety plamiące mu ręce niczym szafran, widoczne dla mnie nawet z daleka.

Potem, zanim jeszcze wrócił do domu, siedziałam nieruchoma jak kamień w swoim ulubionym fotelu i zastanawiałam się, co z tym fantem począć, jak zinterpretować i wykorzystać zyskaną wiedzę. Czułam się tak, jakbym na podołku miała masę kolorowych kosteczek z rozebranej mozaiki, którą trzeba ułożyć od nowa, w całkiem inny obraz. Lojalność, zaufanie z pewnością ucierpiały, lecz zaskoczeniem dla mnie było to, że nie odniosłam prawdziwej rany. Nie było rozdarcia ani palącego uczucia zdrady, zamiast nich spokój, który jak zwykle przykrył całunem to, co jak myślałam, powinnam była czuć. Gdy Robert przekraczał próg drzwi wejściowych, ja już udawałam w łóżku głęboki sen, by potem przez zmrużone powieki przypatrywać się, jak zdejmuje ubranie i idzie do łazienki. Mój mąż, mój niewierny mąż — czy tak właśnie miałam o nim od tej pory myśleć?

Z łatwością odnalazłam jej numer telefonu w jego notesie; równie łatwo przyszło mi go wybrać i wysłuchać męż-

czynny, który odebrał i który jak przypuszczałam, był jej mężem, pytającego, czy dzwonię w sprawie prasowania i jeśli tak, czy mogłabym zadzwonić później. Szok, jaki mnie ogarnął, wynikał głównie z faktu, że to jakaś praczka; wciąż pamiętałam, jak Robert czytał malutkiej Kate książeczki Beatrix Potter, i teraz stanął mi przed oczami obraz beczkowatej Pani Mrugalskiej w nakrochmalonym fartuchu. I nagle wiedziałam, że muszę ją zobaczyć, muszę uzupełnić ten obraz o szczegóły, i nie zamierzałam dwa razy się nad tym zastanawiać. Znacznie bardziej niż przewina Roberta doskwierała mi moja niepełna wiedza na temat Marty. Co to mówi o mojej osobowości, wciąż pozostaje dla mnie tajemnicą.

Zabrałam do niej osiem koszul Roberta pewnego czerwcowego ranka i stojąc na nagrzanym ganku, czekałam, aż zdejmie zgrzytliwy łańcuch z frontowych drzwi. Natychmiast zdałam sobie sprawę z popełnionego błędu; w domach takich jak ten rzadko używa się drzwi od frontu, lecz nie zrejterowałam, tylko trwałam na posterunku, pozwalając jej walczyć z oporną zasuwą i kolejnymi zamkami. Moje dobre samopoczucie podtrzymywała myśl, że podczas gdy ja wiem, kogo zaraz zobaczę, ona nie ma pojęcia, kim jestem; że mogę spojrzeć w twarz kochance mego męża i jakby nigdy nic wręczyć jej anonimowe koszule. Kiedy drzwi w końcu stanęły otworem, pomimo wcześniejszych skojarzeń najbardziej uderzyła mnie jej baryłkowatość. Marta była zwyczajną, biuściastą kobietą, w tamtej chwili ssącą otartą kostkę prawej dłoni. Jej ręce wyglądały zupełnie jak ręce pani Bolton, to także rzuciło mi się w oczy; poczułam się tak, jakbym patrzyła na ręce swojej sprzątaczkii z paznokciami przyciętymi niemiłosiernie krótko. Dojrzałam nawet mały odcisk podbiegający krwią u podstawy palca wskazującego i nie zdołałam się pohamować, by nie pomyśleć, że te ręce, te właśnie ręce

dotykają i przytulają mojego męża w sposób, w jaki ja nigdy nie umiałam. Gapiłam się na ich szorstkość, ich mięśistość i zastanawiałam się w duchu, na ile są zdolne do czułości, do delikatności. Przez cały ten czas byłam całkowicie opanowana, aczkolwiek czułam suchość w ustach, gdy z migotem mojego pierścionka zaręczynowego ze szmaragdem przekazywałam jej worek z praniem. Ta kobieta była zwyczajna, Madeleine Sawyer ani trochę się co do tego nie myliła; Marta należała do grupy kobiet z klasy pracującej i tak chyba należałoby ją opisać.

Wsiadłszy z powrotem do samochodu, siedziałam dłuższą chwilę i patrzyłam niewidzącym wzrokiem przed siebie; klucz tkwił w stacyjce, lecz ja nie byłam w stanie odjechać. Co czułam? Upokorzenie? Zdumienie? Na pewno jedno z dwojga. Może jeszcze okruczeństwo, że wybrał kogoś takiego. W moim umyśle kochanka Roberta nabrała wszystkich cech Pani Mrugalskiej, a w dodatku zapachu wilgotnej ziemi i z tym kojarzę ją po dziś dzień. Głównie jednak nie posiadałam się z pierwotnego szoku, że spodziewając się kogoś niezwykłego, stanęłam oko w oko z dojmującą pospolitością. Chyba wydawało mi się, że miłość odmienia na lepsze, pozostawia swoje urodzive piętno, wystaje z szarzyzny niczym czterolistna koniczyna na łące w morzu swoich zwykłych sióstr mogących się poszczycić tylko trzema listkami. Lecz z drugiej strony musiałam przyznać, że być może to moje kolejne przeoczenie, że być może nie potrafię dostrzec w niej tego, co zwróciło jego uwagę, że nie potrafię wyobrazić sobie, o czym mieliby rozmawiać. Po prostu nie pojmowałam, jakie piękno on w niej zauważał.

Gdy tamtego wieczoru siedzieliśmy przy kolacji, kryjąc się w półcieniu rzucanym przez posyкуjącą i migoczącą świecę, wiedziałam, że moją tarczą jest prawda. A mimo to nie poddałam Roberta przesłuchaniu, nie wzięłam go w krzyżowy ogień pytań, nie czyniłam mu wyrzutów i nie

żądałam wyjaśnień, kiedy zajął swoje miejsce na przeciwległym krańcu i już spytał, jak minął mi dzień. Przyznaję, zastanawiałam się, jak by zareagował, dowiedziawszy się, że poszłam zobaczyć Martę, że stałam na jej frontowym ganku i oddałam jej do uprasowania jego koszule. Czy upuściłby z wrażenia trzymaną w dłoniach miskę z ziemniakami, co niechybnie wyprowadziłoby mnie z równowagi?

Zatem siedziałam tylko i spokojnie kroićłam filet z soli, oddzielając ości od białego mięsa. Podnosząc wzrok, patrzyłam poza niego, za okno, na małego nietoperza trzepotliwie kołującego nad trawnikiem. Czy to tchórzostwo odebrało mi wtedy mowę, nadal nie wiem; jeśli nie ono, co spowodowało, że nie zadałam ani jednego pytania, nie postawiłam ultimatum, nie nakazałam, by natychmiast to zakończył? Wspomnienie Madeleine Sawyer podającej słowa niczym kwiaty oplatające chrzcielnicę? Czy może upokorzenie, które powinnam była czuć, podobnie jak wstyd w obliczu jego zdrady, jego niewierności?

Jakiegokolwiek były powody, przesiedziałam całą kolację, nie podnosząc tego tematu, aż dotarliśmy do deseru, przy którym ze spokojem obierałam pomarańczę, pozwalając ćwiartkom skórki opadać na talerzyk i starannie odkrawając białą część owocu otulającą mięksiz, i czując w dłoni pewny ciężar nożyka, aż nagle uświadomiłam sobie (w chwili gdy nietoperz wleciał pomiędzy gałęzie wiśni, a w holu rozszczękał się jeden z naszych psów), że zawsze najbardziej ze wszystkiego lubiłam, że wolałam od wszystkiego innego jasność i prostotę przedmiotów, ich kształt i masę w ręce. Nad rzeczami łatwo zapanować w przeciwieństwie do ludzi, którzy wiecznie wywlekają swoje bebecchy i bałaganą. Przed oczami stanął mi widok pracowni Roberta, pokoju świadczącego o jego niespokojnym umyśle. Jego ciało tak złaknione miłości. Nadal jednak siedzia-

łam tylko i patrzyłam, jak sięga po grona, nie używając leżących obok misy nożyczek.

Tamtej nocy zrozumiałam, że tu nie chodzi o miłość skanalizowaną, przekierowaną ode mnie do niej, a raczej o to, że cokolwiek czuje do jednej i drugiej, można to ułożyć koło siebie i pogodzić. Jego uprzejmość, łagodność i szacunek wobec mnie w kontraście do namiętności, zwierzęcości, seksu z nią. Siedząc przy toaletce, wydając z włosów szpilki i rozczesując pasmo po paśmie, przysłuchiwałam się ablucjom Roberta, wodzie leżącej z prysznicą i odgłosom szcztokowania zębów, i ciekawa byłam, czy zmył z siebie jej soki. Myśląc o jego ciele, ciele nieomal starca, nie mogłam uwierzyć, że jest zdolny do podobnych podniet. Uważałam, że ociera się o śmieszność, choć gwoli prawdy, zawsze miałam seks za śmieszny i żałosny równocześnie, za coś w rodzaju cielesnego odpowiednika motyki wkłuwającej się w ziemię, robiącej dziury i torującej drogę nasionkom.

Przyglądałam mu się kątem oka, kiedy wchodził do sypialni, zapinając górę od piżamy, tupiąc bosymi stopami zaróżowionymi od gorącej wody, i z brzękiem szylkretu o porcelanę odkładałam do przybornika kolejne spinki do włosów. Odniosłam wrażenie, że wydaje się zmęczony, a zarazem skoncentrowany, jakby się spodziewał, że mogę mieć coś do powiedzenia. Tymczasem ja schowałam się w zbroi milczenia; spytałam tylko, o której chce wstać nazajutrz, i wspomniałam, że Kate spędza tę noc u przyjaciółki.

Potem leżałam po swojej stronie łóżka i wiedząc, że Robert już śpi, przysłuchiwałam się jego oddechowi, wyobrażałam sobie unoszącą się i opadającą męską pierś. Oto, myślałam, mężczyzna, którego poślubiłam i który mnie nie kocha. To co oboje wzięliśmy za uczucie w początkach naszej znajomości, najprawdopodobniej wcale nim nie było. Ta świadomość, rodząca się w ciemności w małżeńskim

łóżku, chyba mogła zostać mi oszczędzona; zdecydowanie lepiej się czułam, zanim się tutaj zakradła.

W środku nocy, obudziwszy się z powodu skurczu łydki, usiadłam prosto i zaczęłam energicznie poruszać nogą, zginać ją w kolanie i machać stopą niczym zdechłą rybą, Robert wyrwał się ze snu i spytał, co się stało, na co ja odparłam, że nic; niemal natychmiast obrócił się na drugi bok i z powrotem zasnął. Wiedziałam, że jeszcze zeszłej nocy poprosiłabym go, by rozmasował mi przykurczony mięsień, teraz zaś wolałam radzić sobie sama. Ugniatałam więc mięsień brzuchaty łydki, pobudzając krew do krążenia żywej, i myślałam, że to nie jego sprawa, jak działa moje ciało. Przynajmniej tak mogłam go ukarać.

Rankiem przystanąłam w połowie schodów, by przyjrzeć się portretowi, który kiedyś namalował. Obraz przedstawia mnie ubraną na niebiesko, stojącą na tle kominka, uczesaną w koczek, z dłońmi złączonymi na podołku, plecami wyprostowanymi, wargami zaciśniętymi. Pamiętam, że gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, uderzyła mnie własna surowość i musiałam się zastanowić, czy Robert dostrzega we mnie tylko tę sztywność kośćca. Jego pociągnięcia pędzla mruzczały, że to nie dość, że to, co mogę mu zaoferować, nie wystarcza; może już wtedy sięgał wzrokiem dalej, za okno, aż do niej, zupełnie jak dziecko sięga rączką do miski ze świeżo zerwanymi wiśniami, nawet jeśli naczynie znajduje się poza jego zasięgiem. Muszę brać pod uwagę, że już malując mnie, wybiegał myślą do konceptu kochanki stworzonego w głowie, podczas gdy ja stałam twarda i chłodna niczym wygasły kominek za mną.

Jeśli nie liczyć tamtego wieczoru, następne dwa lata minęły bez perturbacji. Może tylko zauważyłam u siebie lekkie wahanie przy okazji kupowania prezentów urodzinowych i świątecznych. Obdarowując go raz koszulą na Boże Narodzenie, nie mogłam nie wyobrazić sobie, jak Marta

odpina mu guziki; przy wypisywaniu kartki z życzeniami nie umiałam zmusić się do zakończenia słowami „Kochająca Żona”, więc wybierałam te z zabawnymi wierszykami, gdyż dawały mi możliwość dołączenia samego imienia i ewentualnie jakiegoś żarciku. Pojawiła się też z mojej strony powściągliwość przy przyjmowaniu podarunków, lecz gdy jednego roku dostałam od niego na urodziny róże, wybrane ze smakiem i pięknie się prezentujące na tle drzewka figowego, tak że nie mogłam zaprzeczyć, iż zna mnie jak własną kieszeń, podziękowałam mu za nie z wdzięcznością, ze szczerym uśmiechem radości i wdzięczności, bo przecież może być i tak, że to niczyja wina, iż sprawy nie układają się, jak by człowiek sobie życzył. Najdziwaczniej wypadały rocznice naszego ślubu; z okazji którejś Kate przygotowała dla nas kolację, a ja ledwie mogłam coś przełknąć, krztusząc się każdym kęsem. Dławiła mnie myśl, że nasze małżeństwo jest jak stara, zszargana flaga powiewająca nad pasem ziemi niczyjej, nad martwą pustynią. A kiedy Kate wzniosła toast: „Za przeżyte razem w szczęściu trzydzieści trzy lata!”, Robert po raz pierwszy w życiu — o ile dobrze zapamiętałam — nie mógł spojrzeć mi prosto w oczy.

I tak to się toczyło aż do pewnego ranka w październiku, kiedy zobaczyłam, jak w stronę domu biegnie Henry Malpass. Twarz miał zgrzaną i czymś zmartwioną, u jego szyi wciąż wisiał stetoskop. Pamiętam, że głowica urządzenia kołysała się szaleńczo na boki, a ja zastanawiałam się, czemu Henry nie włożył marynarki. Wydało mi się dziwne, że w dzień, w którym mgła ledwie się podniosła znad ziemi, nie pomyślał o włożeniu czegoś cieplejszego niż biała koszula. Gdy wszedł do kuchni, poprosił mnie, abym usiadła, a mojej uwagi nie uszło, że pani Bolton odkurzająca w holu wyłączyła na te słowa odkurzacz. Wtedy powiedział mi, że Robert zmarł na atak serca przy pracy, w gabinecie lekarskim, a ja siedziałam jak ogłuszona, próbując wchłonać te

przyniesione wprost z jesiennego chłodu słowa. Zrobił mi herbatę i niezdarnie próbował potrzymać mnie za rękę, lecz wyrwałam mu ją i przyłożyłam obie dłonie do twarzy. Moja pierwsza myśl dotyczyła Kate, tego, jak druzgocąca będzie to dla niej wiadomość, ponieważ jakkolwiek sprawy ułożyły się między nami, Robert pozostał buzującym ośrodkiem jej życia. Mnie opuścił już dawno, a jego śmierć była tylko tego potwierdzeniem, czyniła naszą separację bardziej uczciwą i pozwalała mi przeżyć ostatnie lata życia bez udawania.

Zapewne dlatego ze spokojem i śmiałością mogłam pocieszać Kate, załatwić formalności w domu pogrzebowym i zobaczyć Roberta w trumnie. Czy to nie dziwne, że okazujemy zmarłym taki szacunek, wykładając ich ostatnie miejsce spoczynku satyną i odwracając taktownie wzrok? Ja usiadłam przy jego głowie i przyglądałam się wygładzonym przez śmierć rysom twarzy i nareszcie zastygłemu w bezruchu ciału, i szeptem mówiłam Kate o tym, co lubił; przypominałam sobie spławiki na pstrąga ułożone rzędkiem na brzegu jeziora i to, jak podrywał ją do góry i brał w ramiona, gdy była małą dziewczynką. Przypominałam sobie, że huśtał ją w popołudniowym słońcu przesączającym się przez korony drzew, a raz obszedł aż siedem sklepów z rowerami, żeby kupić dla niej idealny czerwony trójkołowiec. Ilekroć na niego spojrzałam, czułam, jak dłonie mi się zaciskają; byłam rozdarta pomiędzy chęcią dzielenia go w łeb i pogłaskania po policzku. Pragnęłam go ukarać i powiedzieć, że umarł jako głupiec i oszust, że to co uważał za dobroć, wcale nią nie było. Albo wreszcie przyznać przed nim, że rozumiem, że miał prawo postąpić, jak postąpił, ponieważ znaczna część winy leżała po mojej stronie.

Myślałam też o Marcie, choć wcale tego nie chciałam; o tym, jak ona teraz się czuje. Czy już wie czy też czeka

na niego, złorzecząc, że znów nie dotrzymał obietnicy. Wyobraziłam ją sobie taką, jaka była owego czerwcowego poranka, i pozwoliłam, by zamieniła się w mych oczach w starodawną galerię w pełnym ożaglowaniu, pchaną do przodu przez wiatr jego miłości. Rozmyślałam o tym, w jaki sposób może się dowiedzieć o jego śmierci, i że to ona powinna teraz przy nim siedzieć. Moje słowa kierowane do Roberta były zawsze okrojone, wytarte, postrzępione na brzegach. Jej, tak czułam, przepełnione ciepłem ich wzajemnej prawdy.

Patrząc na niego, gładkolicego i odległego, nagle zrozumiałam wszystko w pełni. Nawet w obliczu śmierci nasze małżeństwo nic się nie zmieniło. Gdyby obedrzeć kaplicę z ozdobników w postaci kwiatów, gdyby zapomnieć o czekającej w domu potrawce z wołowiny w czerwonym winie, którą miałam zamiar podać na stypie, byłoby tak samo jak przez lata. Pojęłam, że to ja dążyłam do rozdzielności, że miłość z jej soczystą niechlujnością po prostu mi nie odpowiada, że nie godzę się wewnętrznie na zatarcie granicy pomiędzy jedną osobą a drugą. I zastanowiłam się, nie po raz pierwszy w ciągu tych lat, czy świadomość tego bolała mojego męża.

Podobnie było na pogrzebie, gdzie otoczona falami ludzkiego współczucia odbierałam je raczej jak fale mdłości i musiałam raz po raz przykładać dłoń do ust. A jednak płakałam cicho w kościelnej ławce, płakałam za jego utraconym życiem, za jego utraconą miłością, z powodu jego miłości do niej i tego, czego to wszystko nauczyło mnie o sobie. Opłakiwałam koniec mojego małżeńskiego życia, wiążącą się z nim jednostajność dni, a także ich ład i przewidywalność; nade wszystko zaś — płytkie pozory, nad którymi sprawowałam kontrolę.

Nieco później w domu, wciąż pośród ludzi, przyjmując kondolencje, czułam w ustach smak kłamstw, a na twarzy

lepką pajęczynę otaczającej mnie obłudy. Wargi drżące niczym ostrzyga wyjęta z muszli, zapewniające mnie, jakim to dobrym był człowiekiem; dłonie poklepujące mnie i gładzące po ramieniu, jakbym była małym dzieckiem przebudzonym przez koszmar w środku nocy. Kiedy Serena Malpass opowiadała mi i dowodziła, jakim uroczym był mężczyzną, patrzyłam nie na nią, lecz poza nią, przez okno na ogródek warzywny, gdzie natka pietruszki kołtuniła się w deszczu, i nagle poczułam przemożną chęć, by zapchać sobie usta zieleniną, zrobić coś, cokolwiek, by odwrócić swoją uwagę od napierających ze wszech stron słów. A potem, kiedy w końcu zapadnie cisza, oznajmić z należytym szacunkiem, w zgodzie z łacińską maksymą *de mortuis nil nisi bonum dicendum est*, że choć przestał mnie kochać lata temu, zachowywał się nieodmiennie przyzwoicie i traktował mnie dobrze, i że biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogłam oczekiwać od niego nic więcej. Zamiast tego jednak tylko potakiwałam milcząco i zagryzałam dolną wargę, uciekając spojrzeniem przed wzrokiem uczestników stypy, nieustannie czując na języku gorzyc fałszu. Zerkałam ku Kate stojącej w przeciwnym krańcu pomieszczenia, bladej i smutnej, ledwie radzącej sobie z faktem jego śmierci. Byłam boleśnie świadoma, że któregoś dnia, może już wkrótce, przyjdzie jej się tego wszystkiego nauczyć, poznać od podszewki instytucję małżeństwa, zakosztować zdrady samej siebie.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, kiedy udało mi się grzecznie odmówić czynionym w dobrej wierze ofertom pomocy w myciu stosów brudnych naczyń i poplamionych szminką kieliszków, wybrałam się na spacer, zostawiając za sobą pusty, ścichły nagle dom ginący w cieniach nadciągającego wieczoru. Udałam się na cmentarz, do jego grobu, aby wyrzucić z pamięci poranne mruczanda nad trumną, tłum pochylonych głów. Chciałam pobyc z nim sama, zyskać potwierdzenie, że jest coś, co wciąż nas łączy. Nie mi-

łość, tylko wiedza; wiedza o tym, jak było naprawdę, i może jeszcze konfidencja wynikająca z tego, cośmy dzielili. Stałam w zapadającym mroku, z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie, czując na twarzy chłód powietrza, i myślałam sobie, że teraz łączy nas jedynie jego matactwo, moja wnikliwość i ona. Nagle spostrzegłam książkę, włożoną rogiem w pulchną ziemię kopczyka, książkę, której okładkę poznałam, i od razu wiedziałam, że musiała należeć do niej. Zrozumiałam, że już tu była, że tak jak ja stała z nim na osobności. Marta, kobieta, która sprawiła, że przestałam być żoną.

Choć w gruncie rzeczy przestałam być żoną na własną prośbę. W całości oddałam się rutynie, domowym rytuałom, drobiazgom; pozwoliłam spętać się pasom bandaża niegdyś więżącego moje piersi. A teraz widziałam, co miała mu do zaoferowania; wieniec wspólnie zwiedzonych kościołów stanowił jej hołd dla niego. Okiełznałam palącą chęć, by cisnąć książką w krzaki, i postanowiłam zabrać ją do domu, złożyć razem z jego rzeczami, tym samym z perwersyjną satysfakcją pozwalając domknąć się kołu.

A kiedy żałoba dobiegła końca, kiedy stałam przed jego szafą i segregowałam ubrania, wrzucając sterty koszul i marynarek do wielkich worków, które zamierzałam zanieść do punktu zbiórki odzieży dla potrzebujących, nieoczekiwanie dla samej siebie nie umiałam rozstać się z butami Roberta. Wciąż miałam w uszach odgłos stukania ich obcasów po ścieżce przed domem, po alejkach w ogrodzie, odgłos sygnalizujący, że wrócił, że już jest. Z kolei bez oporów zrezygnowałam ze spania w opuszczonej przez niego małżeńskiej sypialni i argumentując, że pomieszczenie jest zbyt duże dla jednej osoby, poprosiłam panią Bolton, by posłała mi łóżko w czerwonym pokoju obok. Już w dwa tygodnie po śmierci Roberta zajmowałam pojedynczy materac obłożony wykrochmalonymi i starannie uprasowanymi

prześcierałam zatkniętymi pomiędzy gąbkę i drewnianą ramę, czując na piersi ciężar ciepłej narzuty. Czując się tak cudownie, doskonale samowystarczalna. Czując się czysta — *propre*, jak mówią Francuzi, a czego nie oddaje właściwie żaden inny język — zatem czując się *propre* w swoim schludnym łóżku. Leżałam w ciemnościach, poddając się wrażeniu nieprawdziwego panieństwa, świadomości własnych niedociągnięć i porażek, poczuciu ciężającej mi wiedzy.

Zapytywałam się, czy kiedykolwiek coś wzbudziło we mnie silniejsze emocje. Czy namiętność należała do mojego języka, do języka mojego ciała, czy zabrzmiałyby szczerze w mych ustach. I odpowiadałam sobie, z dużą dozą pewności i oschłości, i dojmującym uciskiem w dołku, że nie. Nie przestając ani na moment czuć swych wyschniętych organów, starego skurczonego łona, swego wewnętrznego „ja” zakonserwowanego w marynacie straty.

Muszę pogodzić się z tym, że tak właśnie przeżyłam dane mi dni — sumiennie wypełniając poruczone mi zadania i koncentrując się na martwej naturze, całkowicie zapominając o żywszych uczuciach. Nigdy nie przyśniły mi się rozchylone usta nade mną. Nigdy nie wygięłam pleców w łuk, by obwieść koniuszkiem języka zarys czyichś warg. Nigdy nie ogarnął mnie dreszcz na widok męskiej sylwetki, nigdy nie pragnęłam złożyć czułego pocałunku na męskim karku, gdzie szyja przechodzi w barki. Nigdy nie patrzyłam na śpiącego nagiego mężczyznę, na skórę pod pępkiem miękką i bladą, na splecione ciemne sztywne włoski, na odstający fragment ciała. Nigdy nie zapragnęłam przyłożyć tam głowy, obudzić go swoimi ustami. Poczucie słony smak pachwiny. Czy tak właśnie mogło być?

W miesiąc po śmierci Roberta zdecydowałam, że czas uporządkować jego pracownię, odłożyć niektóre rzeczy dla Kate, a innych się pozbyć. Prawdę powiedziawszy, nie

było mi to w smak; do tej pory pokój wyglądał jak wciąż używany, ze swoim bałaganem, z poczuciem przerwanych w połowie zajęć zaprzeczał faktom, podtrzymywał iluzję, że Robert może w każdej chwili wrócić. Jego biurko wyglądało jak biurko człowieka, który wyszedł na momencik, żeby zrobić sobie herbatę albo uciąć przechadzkę po ogrodzie bądź odebrać od listonosza przesyłkę.

Większość przedmiotów łatwo poddała się usystematyzowaniu; książki stanęły w porządku alfabetycznym na półkach, gablotka z okazami owadów powędrowała do dzieci sąsiadów, prawie puste tubki z farbami wylądowały w koszu na śmiecie, para kapci ucieszyła psy.

Podczas robienia porządków znalazłam coś w rodzaju pamiętnika, którego istnienia nawet nie podejrzewałam; był to oprawny w brązową skórę gruby brulion, w którym Robert przez lata zapisywał na gorąco uwagi na temat tego, co go zafascynowało, co akurat go absorbowało. Na jednej stronie zanotował sposoby przycinania klematisu; kiedy ciąć przy samej ziemi, a kiedy tylko przy węźle. Na drugiej naszkicował motyla kuprówki złotnicy na krzaku jeżyn; białego i mięsistoskrzydłego, dość niezwykły widok tak daleko na północy. Któregoś roku poczynił adnotację, że kalina olśniewa, jej kwiatostany mają średnicę niemal dziesięciu centymetrów. Gdzie indziej znów narysował wieżyczkę gotyckiego kościoła, z niezwykłą precyzją oddając liściastą sterczynę. Były tam także: zapis partii szachów rozegranej z samym sobą; fragment wyniku badania laboratoryjnego; kapka niebieskiej farby, dokładnie koloru nieba tamtego dnia; szkic jajka z fakturą skorupki oddaną z benedyktyńską cierpliwością; sylwetka wiciokrzewu japońskiego podpisana: *suikazura*; parę wersów jakiegoś utworu zasłyszanego w radiu; a od pewnego momentu prawie wyłącznie Marta, poczynając od jednego majowego dnia. *Dach dwuspadowy. Szczególna kobieta. Dojrzałem*

ją kątem oka, podnosząc głowę znad książki, i poczułem się jak zawieszony w najcichszym, najspokojniejszym, najbardziej świetlistym momencie mojego życia. I jakiś czas potem: ...wydaje mi się, że moje życie dopiero teraz zaczęło się naprawdę, że zaczęło się dzięki niej. Całe strony opisujące, gdzie byli, co robili. Sięganie, chwytywanie, czerpanie z każdego dnia, wykorzystywanie każdej chwili. Nie zdawałam sobie sprawy, że ich związek był tak pełen życia, pełen ducha, podczas gdy nasze małżeństwo zdawało się niematerialne niczym dym zagarniany palcami.

Ostatni wpis pochodził sprzed kilku miesięcy. *M. Zawsze M. Za to dziękuję opatrności.* Po tym jego notatki nagle się urywały, jakby całym sobą poświęcił się Marcie. Jego wieczny niepokój w końcu ustał, jego świat stał się kompletny. Zrozumiałam wszystko, czytając ten zeszyt. Wołanie serca, w naszym wypadku tłumione i stosownie łagodzone, dla nich dźwięczało pełnym głosem, odbijając się echem od bagażu ich żywotów.

W szafce z drzwiczkami znalazłam zwinięte w rulony płótna; obrazy, które namalował Robert. Pomogły mi zrozumieć wszystko do końca. Pojawiałyśmy się na tych portretach na zmianę, Marta i ja; moje wyobrażenie rozpoczynało ten ciąg, byłam na nim przedstawiona jako Hestia, opiekunka domowego ogniska. Za mną, na obramowaniu kominka, stał samotny wek z nakrętką i rozpościerało się okno, przez które portrecista spoglądał poza mnie, poza moją opanowaną, powściągliwą niebieszczyznę, ku ogrodowi na zewnątrz. Moim królestwem był dom, solidność, świętość, tracące na znaczeniu w obliczu świata i tej drugiej. Pierwszy wizerunek Marty ukazywał ją jako Afrodytę, boginię miłości, śmiechu i pożądania.

Ten obraz nosił tytuł „Afrodyta z żelazkiem”; stała na nim w ogrodzie przy desce do prasowania. Ciało miała obfite, zachęcająco miękkie, a zarazem mocne, ramię uniesio-

ne i zgięte w łokciu, gdy zamasyście przejeżdżała rozgrzanym żelazem po napiętym rękawie koszuli. Nogi zdawały się zakorzenione w glebie, zupełnie jakby na kolejnym obrazie mogła zamienić się w drzewo. Wokół niej fruwały motyle, lecz nie takie jak na szkicu z brulionu, nie namacalne kształty, tylko maźnięte w pośpiechu plamy wyglądające jak odpryski masy perłowej, rozwibrowane klejnoty. Drżące skrzydełka z topazu, turkusu i bursztynu wirowały nad jej głową, jakby ją koronując. W pobliżu widniała beczka z wodą, krągła i zmysłowa, stanowiąca odzwierciedlenie ponętności kobiecych bioder. Dookoła przycupnęły żabki z lśnącymi różowymi języczkami w otwartych pyszczkach, jak gdyby próbowały złapać i połknąć cały rozświetlony poranek. Trójkątna podstawa żelazka zdawała się srebrzyć w słońcu, podobnie jak twarz modelki zwrócona lekko w bok, ogarniająca wszystko spojrzeniem.

Drugi obraz miał tytuł „Marta w Marsylii”, choć widniała na nim pośród łąk, z kubelkiem pełnym mięczaków tuż obok. Tutaj było widać jej nogi w zwykłych chodakach, wyraźnie rozchylone kolana i nóż w dłoni gotowej w każdej chwili podjąć otwieranie muszli. U jej stóp leżały ostrygi, rozchylone i wilgotne, choć w zasięgu wzroku oglądającego nie było żadnej wody, tylko niekończące się trawy rozkołysane letnim wiatrem. Pszenica upstrzona makami, rutą, derkaczami. Ani śladu bryzy od morza czy wiechci wodorostów; tylko Marta pustą dłonią sięgająca ku niemu. Nie była młoda, nie była piękna, lecz Robertowi udało się uchwycić ją właśnie taką, nie poprzez zmiany i przeróbki, ale wyłącznie dzięki nacechowaniu jej własną tęsknotą. Tęsknotą, pragnieniem tak oczywistymi, jakby przelały się za rami obrazu i zastygły w promieniach słońca na łące.

Na trzecim obrazie była całkowicie naga i leżała na trawie; jej piersi olbrzymie i różowe, w zgięciu kolana rubinowy żyłak, skóra nie gładka i napięta, lecz pofałdowana

i pomarszczona, a mimo to wspaniała, obsypana kwieciami ostróżki. Jej gardło, jej włosy, jej kostki u nóg, całe jej ciało zdobiły intensywnie lazurowe płatki.

Czwarty obraz był tryptykiem zatytułowanym „Marta syreną”. Tym razem tłem był morski brzeg i skądś wzięło się u mnie przekonanie, że rzeczywiście zrobili sobie wycieczkę nad morze. Może sprawiła to głębia koloru wody, może gęsia skórka na odkrytych partiach jej ciała, narażonych na siarczysty wiatr. Pierwsza odsłona przedstawiała ją na plaży obok wystającej z morza skały, ubraną w zapięty po samą szyję płaszcz i w topornych butach na stopach. Włosy rozwiewała jej bryza znad wody, niebo i morze zlewały się wśród różnych odcieni błękitu i zieleni. W jednej dłoni trzymała garść małych kamyków i znów wyciągała rękę przed siebie, jakby ofiarowywała mu jej zawartość.

W środkowej części zaczęła nabierać syrenich kształtów, nogi pokryły jej się srebrzystoróżową łuską, tak że powstał niemal lubieżny, węzowy, imponujący ogon zakończony podwójną płetwą leżącą na piasku. Wokół tej samej skały, przy której stała w swej ludzkiej postaci, znalazły się obiekty z jej codziennego życia: żelazko, rondel, warzachew, szczotka, wiadro, drewniane klamerki do bielizny; wszystko spryskane pianą z fal. Kamyki zamieniły się w guziczki, które również pokazywała mu na otwartej dłoni.

Wreszcie przestoczenie było całkowite, chociaż dało się rozpoznać rysy jej twarzy w syrenim ciele z obnażonymi piersiami i łuską. Różowo-srebrno-zielonkawa wciąż wyciągała rękę, prezentując guziczki zmienione w klejnoty, rubiny, szmaragdy i mleczne opale. Marta w otoczeniu posiadanych przedmiotów, tych, których wspólnie używali, w miejscach, do których razem się wybierali. Zwyczajna Marta. Okazała Marta. Marta wspaniała przez to, co do niej czuł.

To co zabolalo mnie najbardziej, gdy ogladalam jej obrazy po raz pierwszy, i co rani moja dumę także teraz, sprowadza się do konstatacji, że nie malował swojej kochanki jako uwodzicielki ani w szatach bogini. Nie wyposażył jej w łuk, którym mogłaby mnie zwyciężyć. Najczęściej dzierżyła po prostu swoje żelazko, którym zgładzała mnie i wszystko, co sobą reprezentowałam.

Od lat nie patrzyłam na te portrety, a teraz proszę, znów leżą przede mną rozwinięte i przytrzymane na rogach ciężkimi przedmiotami. Wciąż czuję niepokój wywołany przez Kate, przez to, czego mi nie powiedziała. Czyżby odwieczny cykl trwał, stare błędy się powtarzały? Było w niej coś, co przywołało wspomnienie mnie samej sprzed lat, wspomnienie mojego cierpienia. Nie przekazałam jej tej nauki, gdyż jak sądzę, sama nie zrozumiałam nic z tego do końca.

Myślę, że powinnam przekazać te portrety Marcie, z pewnością łatwo się dowiem, gdzie teraz mieszka. Są właściwie jej, niepotrzebnie je sobie przywłaszczyłam. Spędziły lata w tej samej szafce z drzwiczkami, zrolowałam je ciasno i zabezpieczyłam zawiązanymi na schludne supełki sznurkami, lecz zawsze należały do niej, podobnie jak brulion z notatkami Roberta i książka, którą umieściła na jego grobie w dniu pogrzebu.

Wydaje mi się, że jeśli tylko zdołam jej to wszystko przekazać, sprawy same się ułożą. Spróbuję powiedzieć Kate, że nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Postaram się jej wytłumaczyć, że wszystko da się naprawić, że choć mnie się to nie udało, choć nie uratowałam swojego małżeństwa, jest to zawsze lekcja życia. Muszę natchnąć ją siłą, by mogła zmierzyć się z własnymi podejrzeniami, z własną wiedzą. Gwoli szczerości, nie mogę zataić, że czasem miłość kończy się nagle, pozornie bez przyczyny.

Powoli zacznym rozumieć, że to głównie kwestia podejścia do życia. Tego, jak ktoś postrzega świat, jak czuje

się we własnej skórze. Pogoda ducha, zgoda z samym sobą — to były zalety Marty, którymi mogła się podzielić, które były przeciwieństwem konkretności, nie dały się zmierzyć ani zważyć; które nie niosły pocieszenia jak coś, co można zamknąć pewnie w dłoni.

Trzy dni później stoję przed domem starców. Tym razem w dłoniach trzymam nie koszule do uprasowania, lecz obrazy i książki. Tym razem odczuwam znacznie większy strach niż wtedy, w czerwcowy poranek. Być może mam mniej do stracenia, ale następny krok wymaga ode mnie o wiele więcej odwagi.

Ciekawa jestem, jak teraz wygląda; czy zmizerniała z wiekiem. Może zdziecinniała i wcale nie pamięta dawnych wydarzeń. Może obejrzy portrety i uzna, że przedstawiają kogoś innego; przeczyta jego słowa i nie przypomni sobie, że pisał je o niej. Nie chciałabym musieć stanąć przed nią i podniesionym głosem, przesadnie wyraźnie powiedzieć: „Robert. Pamięta pani Roberta? Te rzeczy należały do niego”.

W holu przystaję przy niewielkim akwariom i przyglądam się małym rybkom opływającym niebieską plastikową łódź. Jakże ja nie znoszę takich miejsc. Odkąd pamiętam, wzdragam się na myśl, że mogłabym trafić do podobnego przybytku; ze ściśle określonymi godzinami odwiedzin, przyklejonymi sztucznymi uśmiechami personelu, opisany mi ubraniami zapobiegającymi włożeniu bluzki współlokalki. Znienacka dopada mnie myśl i ogarnia przerażenie, że oczy Marty okażą się puste, jej głowa drżąca w pozornym potakiwaniu, jej doczesna powłoka zamknięta w przegrzanym pokoju dziennym.

Nadal pragnę, by miała te rzeczy, lecz teraz już wiem, że nie chcę, nie mogę jej zobaczyć. Wolę zapamiętać ją taką, jaka była na obrazach — *Zawsze M.* promienna w zielonej sukience, a nie staruszka zwiędnięta, zapadnięta w siebie, pomarszczona niczym gnijąca figa.

Dlatego kieruję się do recepcji z prośbą na ustach. Nie, nie chcę widzieć się z Martą, chcę tylko zostawić dla niej te rzeczy. Powiedziawszy swoje, odwracam się i ruszam do wyjścia, przelotnie zastanawiając się, jaki los czeka obrazy i książki, i natychmiast wyrównując krok, gdyż wiem, że ani jedno, ani drugie nie było nigdy moje; że wszystko to należało zawsze do nich.

Po powrocie do domu zasiadam przy fortepianie. Zamierzam grać utwory Chopina, aż rozbolą mnie palce. Tyle lat po fakcie wiem już, co to oznaczało. Uczucie i jego brak. Zażyłość. Pożądanie. Świadomość, że miłość istnieje, lecz nie stała się moim udziałem, a potem udawanie, że i bez niej da się żyć.

Mogę powiedzieć, że posiadałam przedmioty. Mogę powiedzieć, że miałam rzeczy. Ale to tylko nieliczące się epitafium dla obiektów, które nie przetrwały. Tymczasem pewność siebie Marty, jej zadowolenie wciąż bije z namalowanych portretów. W świetle tego wiem, co następuje: w moim życiu zabrakło sensu, ponieważ nie używałam serca. To muszę zmienić i dlatego jak najszybciej pomówię z córką.

ROZDZIAŁ 4

Marta

Daj wam szczęście i duszne zbawienie w tem stadle waszem

Zdumiałam się. Nie spodziewałam się gości, z pewnością nie kogoś, kto by przyszedł specjalnie do mnie; chór z pobliskiej szkoły zagląda do Domu od czasu do czasu, by wszystkim zaśpiewać, a w czwartki przychodzi fryzjerka, żeby jeśli ktoś chce, uczesać albo ufarbować włosy, lecz jak dotąd nie zjawił się nikt, kto by usiadł w moim pokoju i ze mną rozmawiał. Nie mówię tego w złej woli czy po to, żeby narzekać. Moi dwaj chłopcy wyemigrowali do Australii lata temu i regularnie przysyłają mi listy i pocztówki, trudno od nich oczekiwać, żeby mnie często odwiedzali, to przecież nie byle jaka podróż, no a mój mąż nie żyje od siedmiu lat, wystarczająco długo, żeby obumarły wszelkie więzi, jakie łączyły mnie z jego rodziną.

Nie jestem tutaj samotna ani nieszczęśliwa, nie skarżę się też na brak towarzystwa. Mam bliską przyjaciółkę, Rose (to jedno z moich odkryć w podeszłym wieku — różnice tracą na znaczeniu, a łatwiej człowiekowi skupić się na podobieństwach). Gramy ze sobą w wista i remika, i w warcaby, przy ładnej pogodzie spacerujemy po parku i obrywamy uschnięte kwiaty, by szybciej z pączków rozwinęły się nowe, a przy tym rozmawiamy, opowiadamy sobie, co kiedyś robiłyśmy i jakie miałyśmy opinie na rozmaite tematy. Gawędzimy o wszystkim z wyjątkiem niego. O nim nikomu

nie mówię. Mimo że wciąż umiem przywołać w głowie jego głos, jego zapach i jego dotyk, tak że niemal kręci mi się od tego w głowie. Trzpiotowata staruszka z nadal niezłymi nogami.

Zazwyczaj nie schodzę do holu na dole, chyba że akurat trzeba zaprowadzić kogoś starszego i słabszego i usadzić go przed akwariem. Od recepcji rozciąga się dobry widok na drzwi wejściowe i schody za nimi i ilekroć patrzę w tamtą stronę, widzę, że przydałoby im się szorowanie. Moja mama zwykła mawiać: „Więcej przechodzi, niż wchodzi”. I pomyśleć, że dla takiego powiedzonka całe lata spędziłam na kolanach, szorując schody, bieląc frontową ścianę, zamiatając ścieżkę, jakby to miało zagwarantować mi powodzenie i powszechny szacunek. No ale weszło mi w krew i nawet teraz umiem powiedzieć, kiedy coś wymaga solidnego mycia i ściągnięcia pajęczyn z wysokiej futryny, choć wcale nie palę się do tej roboty i nie proszę od razu o wiadro i szmatę, żeby z zakasnymi rękawami i zaciśniętymi zębami sprawić, że wszystko zacznie błyszczeć. Nie, ten odruch dawno mi minął, pozostało tylko przeświadczenie, że kiedyś takie sprawy miały dla mnie znaczenie. Pewnie tak samo jest z resztą ludzi tutaj, tyle że ich wspomnienia dotyczą raczej osób, które kochali, zajęć, którym się oddawali. Pamiętają, co było dla nich ważne, lecz przestało być, i w tym odnajdują swego rodzaju smętny spokój.

A dzisiaj zeszłam do holu tylko po to, żeby spytać o wieczorny turniej wista (jakaś nieszczęsna dusza odczepiła karteczkę z listą par zawodników od tablicy ogłoszeń), i zobaczyłam, że do Domu wchodzi kobieta (pajęczyna zadygotała w powstałym przeciągu), zbliża się do recepcji i wymawia moje imię i nazwisko głosem czystym i dystyngowanym; doznałam irytującego uczucia, że powinnam umieć go przypisać do osoby, z którą kiedyś rozmawiałam,

jednakże miałam z tym trudności. Przybyła stała zwrócona do mnie plecami. Nie garbiła się ani trochę — w gruncie rzeczy zdawała się prosta jak kij od szczotki — lecz po jej włosach (siwych i spiętych w coś w rodzaju koczka) i po kościstych łydkach mogłam ocenić, że choć nie dorównuje mi wiekiem, ma już swoje lata. Normalnie bym do niej podeszła i dotknąwszy jej ramienia, dała znać, że tu jestem — przecież nie mam się czego bać ze strony nawet niespodziewanych gości — ale coś mnie zaniepokoiło, coś spowodowało, że obróciłam się na pięcie i zwałam stamtąd, choć paliła mnie ciekawość, co takiego niesie w rękach. Widziałam książki i rulony, a także notes obciążony skórą — więc do głowy mi nie przyszło, że to dla mnie. Nie, w tamtej chwili uznałam, że pewnie zaszła najwyklesza pomyłka — albo pastor z mojej dawnej parafii wysłał pracownicę, by dopełniła papierkowej roboty, albo też przypomniała sobie o mnie komisja wyborcza — i że ta kobieta trzyma swoje rzeczy. Zarazem jednak miałam dziwne uczucie, trudne do uchwycenia jak piórko drażniące grzbiet dłoni, echo jakiegoś wrażenia, dawno zapomniane wspomnienie. Byłam przekonana, że już gdzieś widziałam tę dostrzeżoną przelotnie twarz, i zniecka jej wciąż dźwięczący mi w uszach pewny głos przeniósł mnie wiele lat wstecz, na ganek mojego domu, do tamtego letniego poranka, kiedy otwierając frontowe drzwi, skaleczyłam się w kostkę i musiałam przyłożyć dłoń do ust.

Wróciłam do pokoju, usiadłam w fotelu i zapatrzyłam się za okno, skupiając wzrok na gałęziach szarpanych przez silny wschodni wiatr, tak żeby móc, gdy rozlegnie się pukanie do drzwi, jakby nigdy nic rzucić „Proszę”, równocześnie biorąc głęboki oddech i zaciskając dłonie na podłokietnikach, aż pobieleły mi palce. Kiedy w końcu ktoś zapukał do drzwi, była to tylko Jackie, recepcjonistka z dołu, objuczona stertą przedmiotów.

— Jakaś kobieta prosiła, żeby to pani przekazać — oznajmiła. — Nie zostawiła imienia ani nazwiska.

Położyła rzeczy na moim łóżku i wtedy zobaczyłam, jak jeden z rulonów lekko się rozwija, i już wiedziałam, zrozumiałam tak nagle, że aż zabrakło mi tchu w piersi, co to jest, kim była ta kobieta i co dla mnie przyniosła. Jackie wyszła z pokoju, a ja dalej siedziałam w fotelu, z głową objętą rękami i walącym sercem. Po tych wszystkich latach znów znaleźć się w pomieszczeniu z nim, z jego rzeczami. Wciąż czuć pewność, tak jak czułam ją wiele lat temu, że sensem mojego życia był on. Że to Robert stanowił najjaśniejszy, największy, najmigotliwszy punkt na moim firmamencie, że to on sprawiał, iż ziemia drżała w posadach.

Kiedy przyszłam na świat w Oxfordshire w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, Anglia wciąż jeszcze nosiła ślady blizn po wojnie. Czarno-białe filmy o roztańczonych młodych dziewczętach, błyszczących samochodach i parowcach odpływających od brzegu rozmijają się z prawdą; prawda była bowiem taka, że ludzie wstrzymali oddech, wiedząc, że wszystko się zmieniło. Wuj Albert, brat mojej matki, zginął w tysiąc dziewięćset szesnastym nad Sommą, wraz z innymi ładując się prosto na zasieki i ogień broni maszynowej. Z opowieści wiedziałam, że jako chłopiec lubił polować na króliki, i tak zawsze wyobrażałam sobie jego śmierć: królik zaduszony przez drut, wczepiony weń i porozdzierany, z wychodzącymi na wierzch oczami. Fotografia wujka wisiała w kuchni nad stołem; młody mężczyzna uśmiechał się na niej zawadiacko spod kaprałskiej czapki, zamierzając wyjść na ludzi, nie mając pojęcia, że jest na pozycji z góry straconej.

Nie byłam ładnym dzieckiem ani ładną kobietą. Byłam mocno zbudowana i przysadzista niczym rozłożysty fotel; na solidnych nogach o grubych kostkach, z szerokimi biodrami i obfitym biustem, ze zwisającym tłuszczem

na ramionach. Zwały ciała zaprzeczały istnieniu kości pod spodem; nie trzęsące się jak galareta, tylko zaprawione do noszenia ciężarów, wygładzania prześcieradeł, prasowania koszul, nalewania piwa, wydawania na świat dzieci. Przypadła mi w udziale powierzchowność praczki, podczas gdy mojej mamie marzyła się mała księżniczka.

Z domu wyniosłam przekonanie, że czystość to prawie pobożność i że nic nie cieszy Pana Jezusa bardziej niż umyte ręce, wytarty nos i zjedzony do ostatniego okruszka obiad. Pamiętam, jak mama stawiała mnie na stole i opuściwszy mi skarpetki, nacierała skórę wilgotną flanelą, aż znów miałam różowitkie kolanka. Na lekcjach religii wpajano mi wiarę, że równie łatwo można oczyścić się z grzechu. Mamrocąc modlitwę dziękczynną: „Zaprawdę godną i słuszną, sprawiedliwą i zbawienną jest rzeczą, abyśmy Tobie, święty Panie, wszechmogący Ojcze, wiekuisty Boże, zawsze i na każdym miejscu dziękowali... odpuszczasz grzechy i udzielasz zbawienia wiecznego... dlatego wysławiamy Cię ze wszystkimi, którzy nas ze znamieniem wiary wyprzedzili do wieczności, i wraz z nimi uwielbiając Twój majestat, razem wołamy i czynimy na cześć Twoją pieśń chwały”, zastanawiałam się, jak miały się te słowa do mijania w milczeniu Toma Price'a, który ucierpiał podczas wojny i zamieszkał ponownie z matką, bo jak mówiła moja mama, odbiło mu piątą klepkę i zgłupiał do reszty, jakby był spełna rozumu w dniu, gdy zaciągał się do armii. Fakt, że zdziecinniał i wyglądał jak nieporadny malec, kiedy jego matka prowadziła go po ulicy od jednych zatrzaskiwanych drzwi do drugich. Maudie Taylor, potężna niezłomna katoliczka mieszkająca trzy domy dalej, powiedziała jej raz, żeby w pokorze zносиła próbę zesłanej przez Boga, jakby to mogło cokolwiek pomóc. No i nasiąknęłam przekonaniem, że ciało jest własnością Najwyższego i lepiej przy nim nie majstrować.

Kiedy zaczęłam miesiączkować i jakoś zebrałam do kupy wszystkie informacje przekazywane mi niechętnie przez mamę i Maudie, spojrzałam całkiem innym okiem na Najświętszą Panienkę i naiwne obrazki przedstawiające ją w stajence: uśmiechniętą pogodnie, odzianą w nieskazitelną biel lub błękit i tak straszliwie spokojną, z gwiazdką migającą jej nad głową, z wołu, osiołkami i pasterzykami grającymi na fujarkach dookoła; pojęłam bowiem, że z pewnością nie czuła się radosna, tylko pokrwawiona i lepka, i że jazda na osiołku spowodowała u niej ból w podbrzuszu. Kiedy Maudie poinformowała mnie, że Pan Jezus począł się przez ucho Maryi Dziewicy, długo rozmyślałam nad mechaniką tego procesu i w końcu doszłam do wniosku, że chyba jednak Biblia nie mówi nam wszystkiego, a może tylko Pan Bóg przykłada inne reguły do każdego, w zależności od jego położenia.

Wiele czasu spędzałam u Maudie, żeby odetchnąć innym powietrzem niż duchota naszej wiecznie zaparowanej kuchni, i nieraz trzymałam w ręku jej różaniec; ametystowe koraliki ułożone w specjalnej kolejności, których początek stanowił Jezus na srebrnym krzyżyku. Za krzyżykiem następował samotny koralik, potem trzy koraliki razem i znów jeden, osierocony. Krótki odcinek z dłuższym łączyła płaska przekładka ze srebra z wygrawerowaną literką M, z krzyżykiem u góry i z dwoma serduszkami na dole — jedno z zagłębionym sztyletem — z tuzinem gwiazdek dookoła. A z drugiej strony Matka Boska z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby chętnie przygarneła każdego, kto by był nawet brudny, i parę słów: „O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy”. Dalej znowu Pan Jezus na krzyżu, z dłońmi przekłutymi gwoździami i wyraźnie zaznaczonymi żebrami, z widocznymi wszystkimi mięśniami i nawet zagłębieniem pępka. Pergamin przybity do krzyża z literkami tak maleńkimi, że nie

do odczytania. Syn Boży? *Ecce homo*? A z drugiej strony drukowanymi literami: I-T-A-L-I-A. Siedziałam u Maudie na kolanach, gdy odmawiała swoje modlitwy: Skład Apostolski, dalej Ojciec Nasz, trzy Zdrowaś Mario i na koniec Chwała Ojcu.

Potem następowały tajemnice zgrupowane po pięć; radosne, bolesne i chwalebne. Podobało mi się, że Maudie brała do ręki koronkę i dotykając tych samych koralików, mamrotała o szczęściu lub smutku; jej słowa przepełnione były spokojem i błogosławieństwami albo cierpieniem i dopustami, a prawie wszystkie kończyły się na „-nie”. Zmartwychwstanie. Wniebowstąpienie. Zesłanie. Ukoronowanie. Czując się pewnie na rozłożystym podołku Maudie, z koralikami pomiędzy moim palcem wskazującym a kciukiem, przysłuchiwałam się jej mruczeniu i już wtedy żałowałam, że tak samo nie jest w życiu; że nie można mieć jasno wytyczonej drogi, przetartego przez innych szlaku, i prawa do wyboru stylu, w jakim się ją przejdzie. Że nie widzi się całości, nie rozumie wszystkiego.

Najczęściej jednak głos Maudie zagłuszał moje myśli, tłumił je dolatujący od niej zapach mydła i kapusty, i krochmalu, dotyk jej papierowej skóry, widok rzadkich włosów przyklejonych do karku przez wilgoć panującą w powietrzu bądź pot. Znad kominka obserwował nas Pan Jezus z głową przechyloną lekko na bok, z oczami porażonymi przez jasność aureoli przypominającej żółtko jajka. Maudie powiedziała raz do mnie, że „na tym obrazku Pan Jezus rozpaczliwie pragnie usiąść, w czym nie ma niczego dziwnego, biorąc pod uwagę wszystko to, co go dopiero czeka”.

Tata wygarbował mi skórę, gdy przyłapał mnie na układaniu różańca z białych kamyków na tylnym podwórku, i poskarżył na mnie mamie, mówiąc, że Maudie nabija mi głowę papistowskimi bzdurami. Na co mama odparła, że to ani gorsze, ani lepsze od tego, o co naprawdę w tym wszyst-

kim chodzi. Tak czy inaczej nie pomogła mi wtedy, ale też ostatecznie nie powstrzymała. Od wiedzy, jakich rzeczy nie należy robić, i robienia ich pomimo wszystko. Jednego razu, gdy Maudie była odwrócona do mnie tyłem, czyszcząc wiadro na węgiel, szybciotko włożyłam sobie jej różaniec do buzi, żeby się przekonać, jak to jest; czy coś takiego sprawia, że człowiek czuje się w środku inaczej. Okazało się, że nie. Zapamiętałam tylko uczucie chłodu, twardości i obłności, zupełnie jakbym possała rzeczne kamyki. Wcale nie jak misterium Przemienienia, o którym tyle opowiadała mi Maudie i które wydawało mi się naprawdę czymś — chleb i wino przeistoczone w ustach w ciało i krew! Ciepłe, miękkie i słodkie. „Czy to nie tak, jakby jeść Pana Jezusa?” — spytałam ją, a ona przerywając to, co akurat robiła, odparła po chwili namysłu: „Może w pewnym sensie”. Dopiero wiele lat później zrozumiałam potrzebę takiej konsumpcji. Potrzebę obnoszenia miłości wewnątrz siebie. Cennej, krwistoczerwonej, chronionej.

Jako młoda dziewczyna siadywałam z Pearl Armstrong na murku przy końcu ulicy i śpiewałam w duecie „Radosny Cygan ze wzgórza zszedł prosto w doliny zacienione, z gwizdem i śpiewem stanął pod drzewem i już serce damy skradzione”, zastanawiając się, jak to będzie w moim wypadku. Czy ktoś dla mnie „z gwizdem i śpiewem stanie pod drzewem”. W najśmielszych snach nie przewidziałam, że czterdzieści trzy lata później w moim życiu pojawi się spotkanie na kościelnym dziedzińcu mężczyzna.

Mając siedemnaście lat, zaczęłam pracować w sklepie obuwniczym pani Trewitt w miasteczku. Pani Trewitt miała, że wiele da się powiedzieć o człowieku na podstawie jego butów, a jeszcze więcej na podstawie jego stóp. Jakby odciski i halluksy przydarzały się tylko grzesznikom.

Bill był hydraulikiem, pomocnikiem pana Stafforda. W którąś środę przyszli we dwóch zamocować umywalkę

na zapleczu sklepu. Pani Trewitt nie zamykała się buzia; chciała, żeby klienci wiedzieli, iż sklep się modernizuje, ale nie życzyła sobie toreb robotników na nowym wełnianym dywanie. „Chodzi o ten smar” — wyjaśniła mi potem — „nie sposób się z niego doczyścić”.

Zatem pierwszy raz zobaczyłam Billa, jak podawał panu Staffordowi złączki i uszczelki, jak nie odzywając się, grzebał w przepastnej skórzanej torbie zawieszanej na ramieniu. Przyglądając mu się, zauważyłam szerokie bary, żylastą szyję i duże łopatkowate dłonie oraz niebieskie oczy pozbawione przeblysków inteligencji, ale dobre i znamionujące łagodność. Spostrzegłam też, że obrzuca mnie spojrzeniem z góry na dół. Bez słowa. Aprobująco. Jakby wiedział, że brak mi co najwyżej jakiejś podkładki, czemu da się łatwo zaradzić, i mógł mnie naprawić raz-dwa. A że zrobiło się późno i sklep świecił pustkami, przyglądałam się, jak wyciera i odkłada po kolei narzędzia i nieużyty materiał. Po raz pierwszy w długiej litanii następnych lat. Niezgrabnymi palcami sprawdzał i przecierał każdy kawałek miedzianej rurki, każdy klucz nastawny; odmawiał modlitwę nad swoją torbą hydraulika, układając każdy przedmiot na właściwym miejscu, pozwalając narzędziom przemówić ich własnym językiem.

Tego samego tygodnia w piątek wystroiłam się na umówione z nim spotkanie. Włożyłam niebieską sukienkę, która opinała mnie ciasno z przodu i opadała na biodra i nogi luźnymi kontrafałdami. Do tego zgrabne pantofle. Odrobina szminki. Włosy ujarzmione, choć nie do końca ułożone. Moja mama, siedząc przy stole w kuchni, obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem i zapewniła, że wyglądam bosko, choć dało się wyczuć w jej tonie nutkę powątpiewania. „Każda ma swój bukiet do zaoferowania” — mawiała, aczkolwiek nigdy nie sprecyzowała, co dokładnie miała na myśli w moim wypadku. Obfite kształty? Dobre serce?

Zamiłowanie do słów określane przez nią jako niewyparzona jadaczka? Czy coś z tego w ogóle można nazwać bukiecikiem? A jednak w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat dorobiłam się tyłu bukietów, że mogłabym zapełnić niejedną kwaciarnię. Bukietów, z których istnienia wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy. Gdyby żyła, powiedziałabym jej o tym; powiedziałabym, że są gruszki, które dojrzewają dopiero w grudniu.

Bill przywitał mnie w progu zdenerwowany i nieśmiały. Na potańcówce zatańczyliśmy niepewnie razem. Jego palce, choć nie trzymał w nich żadnych zaworków, nieustannie się poruszały. Pamiętam kamienną twardość jego ciała, gryzącą ostrość marynarki, do której przykładałam policzek, delikatną woń naftaliny, ubrań niezbyt często wymowanych z szafy i wkładanych. Zapach mydła do golenia, które skapnęło mu na kołnierzyk koszuli. Oto mój mąż, cały wyszorowany. Już to wiedziałam i choć wiedza ta nie przyniosła podniecenia, przyniosła spokój.

Pobraliśmy się w kościółku pod wezwaniem Świętego Jakuba; oboje w nowych pantoflach podarowanych przez panią Trewitt. Moje stopy w bucikach na niewysokim obcasie, z paskiem wokół kostki zapinanym na elegancki guzik, nogi zdumione w cielistych cienkich pończochach. Czy to nie dziwne, że pamiętam takie szczegóły ubioru, a za nic nie mogę sobie przypomnieć swojej nocy poślubnej? Tort weselny, upieczony przez panią Coleman z Albert Road, był ustrojony malusimi pączkami róży dookoła, kroiliśmy go razem; ja mówiłam do Billa, żeby pamiętał, iż nie wolno nam go przeciąć do samego spodu, bo to przynosi pecha, a on odpowiadał mi, od kiedy to sposób pocięcia tortu na kawałki może cokolwiek zmienić w czyimś życiu. No właśnie, od kiedy to.

Nasz pierwszy dom, a w gruncie rzeczy nasz jedyny dom — na Porter Street — najpierw wynajmowaliśmy, a po paru

latach kupiliśmy na własność. Znajdował się na krańcu szeregu domków i dlatego miał ścieżkę wiodącą do drzwi frontowych i dalej wzdłuż muru na tyły. Obok tylnego wejścia podparta na czterech ceglach stała beczka na deszczówkę, w której zbierała się też woda z rynny. Tamtędy wchodziło się od razu do kuchni z niewielkim piecem kaflowym nakrytym czarną żeliwną płytą z fajerkami. „Nie będzie się przynajmniej brudzić” — stwierdziła moja mama. W ten sposób wszystko wówczas oceniała, podobnie jak ja. Czystość jako prawie pobożność. Wtedy.

Nieduży salonik. Dwa fotele kupione z drugiej ręki u Manny'ego Solomona. Przepaściste, ceglasczerwone, z zaokrąglonymi wyłogami na oparciu i szerokimi podłokietnikami. Bill uśmieł się, kiedy usiadłam w jednym po raz pierwszy. „Marto Fraser, te fotele powstały z myślą o tobie” — powiedział. Nie w Italii. W żadnym egzotycznym miejscu. Najpewniej w Leeds.

Na górze dwa pokoje, wygodka na zewnątrz za domem, prowadziła do niej wydeptana w ogródku ścieżka. Wiele lat później Bill zrobił nam łazienkę z prawdziwego zdarzenia w domu. Dwa chlewiki w dole ogrodu, za którymi zaczynała się skarpa kolejowa będąca granicą działki. Całe życie, leżąc w łóżku, słyszałam przejeżdżające w pobliżu pociągi. Zimą otulałam się ciaśniej pościelą, podniesiona na duchu myślą, że donikąd nie muszę jechać; latem wręcz przeciwnie, stawałam się niespokojna, rozmyślałam o podróży, o tym, że zobaczę miejsca, do których ja nigdy nie dotrę. W ten sposób zaczęły się moje marzenia o podróżach, ubarwiające moje sny i znikające wraz z przebudzeniem, gdyż na dole czekały już na mnie sterty koszul do prasowania. Powoli ogarniało mnie uczucie, że moja deska do prasowania, która gdy stała pionowo, bardzo przypominała pień drzewa, jest na dobre zakorzeniona w ziemi, a moje stopy w trakcie pracy wypuszczają korzonki, które

przeciskają się przez podłogę i zagłębiają w glebie. Że moje ramiona zamieniają się w gałęzie. Nieustannie wygładzając. W czasie wojny nabrałam przekonania, że świat także potrzebuje solidnego wygładzenia. Że Panu Bogu znudziły się zmarszczki i fałdy.

Nasze małżeństwo określone z marszu. Przez jego opinię, że większość z tego, co chce się powiedzieć, lepiej przemilczeć; że to co się mówi, to na ogół puste trajkotanie. Stąd milczenie. Upojna cisza. Jak pomiędzy wołu i osiołkiem stojącymi w stajni; spokojnymi, przyjaznymi. Przez wszystkie te lata ani razu nie widziałam go nagiego ani on nie patrzył na mnie gołą. Spętani przez przystojne oczekiwania. Po prostu spółkujący, po cichu, w ciemności, bez emocji.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym, rok po naszym ślubie, stałam się jeszcze grubsza. Obnosiłam z dumą swoje nowe kształty, wiedziałam, że starczy we mnie miejsca dla nas wszystkich, cieszyły mnie zamaszyste kopnięcia. Przy porodzie spisałam się jak stara wyga, poradziłam sobie tylko z pomocą Rose Black. Pamiętam, jak mi powiedziała: „Można by pomyśleć, że ta urodziła już czwórkę dzieci”. Parę pchnięć, głośniejszych sapnięć i poczułam śliskiego nurka, zobaczyłam mokrą, przypominającą dół szczotki główkę, skurczone paluszki i okrągłe, szeroko otwarte usteczka, już wrzeszczące, by dać im cyca. Przygarnęłam go do siebie podparta o poduszkę jak różowa, tłusta maciora. Wszystko to było automatyczne, odruchowe, proste.

Bill przyszedł na górę, po tym jak Rose już sobie poszła; czubkiem kciuka gładził mankiet koszuli, jakby był zdziwiony, że zadałam sobie dla niego tyle trudu. Patrzył na swego syna, trzymał go ostrożnie na rękę, pozwalając małej łapce objąć swój palec. Nazwaliśmy chłopaka John; potem, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim urodził

nam się drugi, tego ochrzciliśmy Peter. Po co komplikować sobie życie? Wystarczą stare, dobre imiona apostołów.

Kochałam obu chłopców, wprost przepadałam za nimi; uwielbiałam ich pulchniutkie dziecięce nóżki i rączki, a potem wysmukłe kończyny młodzieńców. Uwielbiałam ich psotne oczy, ich żarty i bałaganiarstwo. To, jak pachnieli tuż po kąpieli. To, jak wyglądali, śpiąc w swoich flanelowych pasiastych piżamkach. Ich krótko obcięte włoski i wydatne czoła. Lubiłam nawet znajdować paprochy wśród skarbów zgromadzonych w ciągu dnia po kieszeniach, a w ogrodzie rozkopane mrowiska, przepołowione dżdżownice i pułapki zastawione na krety. Ale nie poddałam się im całkowicie, nie stałam się Martą milczącą cierpiętnicą macierzyństwa, Martą z szeroko rozłożonymi ramionami. Nie zamieniłam się też w Maudie wiecznie nadającą, nawet w czasie sprząwania, gotowania, a potem znów gadającą jak najęta, w każdej chwili gotową przytulić do serca, wziąć na kolana i opowiedzieć o czymś. Najczęściej przeganiałam chłopców spod nóg, dla efektu wymachując kijem od szczotki.

Kiedy podrośli, zaczęłam pracować po parę godzin dziennie. Sprzątałam u trzech rodzin, czyściłam cudze brudy. Umiałam popatrzeć na czyjś dom i przejrzeć właściciela na wylot, ale nie miałam nic przeciwko ładnym przedmiotom. Z przyjemnością spoglądałam na chińskie lampiony, dotykałam miękkich pokrowców na fotelach, woskowałam mahoniowe kredensy z uchwytemi wyłożonymi masą perłową, odkurzałam perskie dywany mające tyle barw, że nie umiałabym wymienić nawet połowy, strzepywałam delikatne narzuty na łóżko ze starej francuskiej koronki. Pamiętam, że u kogoś w domu była narzuta z pogniecione-go aksamitu obszytego po bokach kryształowymi łezkami, które dźwięczały czysto, gdy poprawiałam rogi. Godzinami mogłam podziwiać etażerki zastawione najlepszą porcelaną. Polerować kieliszki, które brzęczały przy najlżejszym

dotyku. Szczotkować kaszmirowe płaszcze. Cieszyć palce ich miękkim dotykiem.

Poza tym codziennie w porze obiadu i przez trzy wieczory w tygodniu pomagałam w pubie Working Man przy Bower Street. Napełniałam kufle piwa i ścierałam blaty; klientami byli prawie wyłącznie mężczyźni, tyle że wbrew nazwie tego przybytku, mało który miał stałą pracę. Większość zajmowała się piciem i plotkowaniem. Umieali używać słów, ale nie mieli wiele do przekazania. Smutki i stracone nadzieje topili w alkoholu i zgniatali razem z niedopałkami w popielniczkach. Tylko czasem zdradzały ich oczy; kiedy wypili za dużo i przestali mieć się na baczości, wyzierali z nich znów mali chłopcy pragnący przytulić się do mamy choć na minutkę. Młode oczy w starych, napuchniętych, zmęczonych twarzach, w których nie pozostał cień zdecydowania. Otaczał ich kwaśny odór strawionego piwa, zdradzały przygarbione plecy. Zwolnieni z kotwicy, mając niewiele do roboty, czuli, że niewiele mogą zdziałać. Lecz nie rozmawiali o tym. Niektórzy przypominali mi zawadziackie koguciki, zawsze skorzy do żartów i przekomarzanek, w których nie było wesołości. „Marta, aniołku. Marta, kwiatuszku” — mawiali. A ja potem, wycierając po nich sedesy i glazurę, myślałam sobie, że gdyby nauczyli się trafniej celować, świat byłby odrobinę lepszy.

Przy zamknięciu pomagałam ruszyć tych, którzy się zasiedzieli, nie wylewając za kołnierz; ciągnęłam ich za łokieć, ustawiałam do pionu i wysyłałam w dalszą drogę. Rzeńskie powietrze ich otrzeźwiało, zachłystywali się zimnem, ze zdziwienia mrugali oczami. Marta słuźebnica, myślałam sobie, bo choć nie przypominali Pana Jezusa z obrazka Maudie, On musiał gdzieś w nich być. A jeśli zabierali się do bójki, odwoździłam ich od tego pomysłu, wytrącałam z bokerskiej postawy przyłożeniem dłoni do napiętego ramienia. Być może prezentowałam się troszkę

wojowniczo, biuściasta barmanka ze zbyt czerwoną szminką na wargach, przede wszystkim chyba przypomiinałam im matki. Łajałam ich i przykazywałam wracać do domu i kłaść się do łóżka, po czym opróżniałam przepełnione popielniczki. Pamiętając, że błogosławieni są ci, którzy wprowadzają pokój, myślałam, że może nawet Jemu coś umknęło. Zaprowadzanie porządku. Podnoszenie. Naprawianie. Wygladzanie. Składanie. Odnawianie. Łagodzenie. Sprzątanie. Wycieranie smarków. Czysto kobiece zajęcia. Radzenie sobie i parcie dalej do przodu.

Kiedy wracałam do domu w soboty po przedpołudniowej zmianie, wiedziałam, że zastanę Billa przy chlewikach. Hodowaliśmy dwie wielkie różowe maciory rasy angielskiej o rudej szczecinie. Za każdym razem tam był, drapiąc je po grzbiecie, przyglądając się, jak pochrzokują i ryją w korycie, gdy zrywał dla nich jabłka z dzikiej jabłoni rosnącej na skarpie i wrzucał je do czarnego poobijanego wiadra z zepsutym uchwytem. Używał tego samego wiadra do przynoszenia im wody z beczki na deszczówkę. Wszystko to robił w absolutnej ciszy. Czasem tylko rzucił jakieś pojedyncze słowo, gdy odpychał je nogami, chcąc dobrze wygarnąć obornik, a one namolnie pchały w jego stronę ryje. Idąc za dom, słyszałam chrupanie jabłek w potężnych szczękach, szum wody spływającej do koryta. Ich nóżki zdawały się czarne i lśniące jak skorupa po małżu, czyściutkie na tle klepiska. Odganiając sprzed twarzy senne muchy, także nachylałam się nad zagrodą, choć zdawałam sobie sprawę, że mój tyłek niewiele się różni od świńskich zadów. Płaski. Szeroki. W sam raz, by w niego klepnąć. Pytałam, czy dobrze mu minął dzień. „Taa”. Czy naprawił pompę do prysznicza u pani Chapman. „Taa”. Nie zadawałam więcej pytań, nie zagajałam rozmowy, tylko stałam przy nim dla towarzystwa w milczeniu. Nie dlatego, że nie potrzebowałam słów, lecz dlatego, że on ich u mnie nie szukał.

I zastanawiałam się, czy byłby szczęśliwszy, robiąc właśnie to, uprawiając kawałek ziemi i hodując zwierzęta, trzymając stado bydła; chodząc po polach zaoranych na kształt brązowych tabliczek czekolady, wydychając obłoczki pary w mroźny poranek. Raz go nawet o to zapytałam, czy wolałby coś takiego od rur, złączy i kolanek, i pomp. Przez chwilę wisiała pomiędzy nami gęsta cisza. Wreszcie powiedział, dosyć stanowczo, że ludzie na ogół dostają od życia to, o co proszą. Pamiętam, że w duchu się z nim zgodziłam; że nawet gdyby odpowiedział na moje pytanie twierdząco, nie umiałabym go sobie wyobrazić, jak maszeruje miedzą na pewnie rozstawionych nogach i przeczesuje dłonią kłosa pszenicy, by zobaczyć, czy już dojrzała. Hodowla świń przy domu to jedno, ale nie mogłam zapominać o tym, że porządek w jego torbie hydraulika dawał mu prawdziwy spokój. Każda rurka na swoim miejscu. Każda śrubka naoliwiona jak należy. Klucze ułożone według wielkości. Idealny ład. Nie dlatego, że krył się za nim jakiś głębszy sens, lecz po prostu dla niego samego. Równy. W oddzielnych przegródkach. Wszystko będące odrębną, samowystarczalną całością. Zupełnie jak on. Poczciwy mężczyzna, dla którego miłość oznaczała przyzwoite traktowanie i koleżeństwo.

W niedzielę rano chodził zawsze nad kanał łowić ryby. Wstawał wcześniej, szykował sobie kanapkę z bekonem na później; czasami coś złapał, czasami nie. Najczęściej okonia albo parę płotek, które ostrożnie zdejmował z haczyka i wypuszczał z powrotem do wody. Siadywał na składanym niebieskim zydelku, który trzymał w pakamerze pod schodami razem z płócienną torbą na haczyki i przynęty. Zimą wkładał wełnianą czapkę i naciągał ją głęboko na oczy. Bywało, że opowiadał potem, co widział; że woda znowu zdawała się oleista, że tak jak kiedyś przyleciała czapla i przysiadła na mostku. Popołudniami kopał w ogródku warzywnym; troszczył się o swoje marchewki, brukselkę

i fasolę szparagową, o kartofle, dynie, czasem zielony groszek. Wszystko w schludnych rządkach, z paroma nagietkami pośrodku. Przy szopie ustawiał sobie czasem drewniany leżak i kładł się na nim. Parę razy poprosiłam go o warzywa na obiad. Kartofle zawsze były mączyste, ale żadne z nas nie powiedziało tego na głos.

W trakcie posiłków siedzieliśmy obok siebie przy stole nakrytym biało-niebieską ceratą. Nowoczesne i wygodne rozwiązanie; z takiej powierzchni łatwo wszystko się ściera, nie ma potrzeby szorować. Sztućce zdawały się ginać w jego wielkich dłoniach, gdy posługiwał się nimi niewprawnie. Nieraz pomyślałam, że przypominamy świnię w chlewiku przeżuwające w ciszy jedna przy drugiej. Nie byliśmy sobie obcy, ale czuliśmy się obco w swoim towarzystwie.

Moja mama umarła na udar, który najpierw na krótko upośledził lewą stronę jej ciała. Wargi miała wykrzywione, drżały jej silnie, kiedy bełkotała; nie umiała sama jeść, trzeba ją było myć i ubierać. Przez cały czas wiedziałam, jak bardzo z tego powodu cierpi, że najbardziej ze wszystkiego chciałyby móc wyskoczyć z łóżka i doczyścić się z ferworem wilgotną flanelą, jakby dopiero co wróciła z kopalni. Łazarz w spódnicy. Pragnęłyby zetrzeć, zedrzeć, wydrzeć z siebie bezużyteczność, domyc się z grzechów i być gotowa na walkę z brudem na progu bramy świętego Piotra. Wreszcie zasiadłam przy jej łóżku po raz ostatni; trzymałam ją za zdrową, prawą rękę. Nie padły między nami żadne słowa mądrości. Mnie wciąż zdumiewały jej oczekiwania w stosunku do mnie; ją chyba dziwiło, że czystość to jednak nie zbawienie. Ja byłam gotowa rzucić jej w twarz stworzone przez nią wyobrażenie ogólnego poważania, ona na krawędzi łez, łapiąc kurczowo przykrywając ją prześcieradło, odarta z godności podczas używania basenu.

Maudie także odeszła na zasłużony odpoczynek. Na jej pogrzebie powietrze było gęste od zapachu kadzidła, duszące i egzotyczne. Zupełnie jak Italia. Różaniec w jej dłoniach w trumnie, koraliki wygładzone od wieloletniego obracania w palcach, zebra Pana Jezusa mniej wyraźne niż kiedyś. Po pogrzebie poszłam do jej domu pomóc przy sortowaniu rzeczy, spytałam, czy jeśli nikomu innemu na nim nie zależy, mogę sobie wziąć obraz Pana Jezusa z żółtkową aureolą, z porażonymi, zmęczonymi oczami. Zabrałam go potem do domu i powiesiłam w naszej sypialni, a kiedy Bill zainteresował się, skąd to się tutaj wzięło i na co w ogóle, nie zdołałam mu odpowiedzieć jak należy, nie wyznałam, że tak właśnie wygląda mój Pan Jezus.

John i Peter pożenili się, urodziły im się dzieci. Powtórzyło się to całe przytulanie, przesiadywanie z małym dzieckiem nad puszką z guzikami. Złote marynarskie guziki z kotwicą; kanciaste wielobarwne guziki z przezroczystym środkiem; chabrowe, cięte jak diament, wypolerowane i lśniące; klonowe przetyczki; rżnięte kulki z matowego perłoworóżowego szkła... Grzechotanie dużymi w dłoniach i przesypywanie małych przez palce. Kolorowe smugi; świszczące i klekoczące dźwięki. Cienkie głosiki i krótkie nóżki dyndające w powietrzu, potrącające moje kolana. Wyliczanie: „Aniołek, fijołek, róża, bez, konwalia, balia, wściekły pies”. Śpiewanie: „Jedzie pociąg z daleka, na niego nie czeka, hopsasa!”. A potem spotkałam Roberta.

Też w środę, tyle że czterdzieści jeden lat później, czekając na autobus, ale nie siedząc na przystanku, bo niedawno padał deszcz i koło krawężnika zebrały się kałuże, które rozpryskiwały przejeżdżające ulicą samochody; zatem czekając na autobus na dziedzińcu kościoła naprzeciwko, siedząc na szerokiej drewnianej ławce z bali i trzymając zakupy przy nogach, i wyciągając szyję, żeby zobaczyć nad niewysokim murkiem, czy podjeżdża mój numer.

Na kościelnym dziedzińcu jak zawsze panowała martwa cisza. Siedziałam w otoczeniu dawno zmarłych, przypatrując się rudzikowi, który przycupnął na szczycie nagrobka i pomimo kiepskiej pogody próbował zaśpiewać. Mech, jadowicie zielony, kędzierzawił się i podwijał na krańcach kamienia, w zagłębieniach wyrytych liter kryły się rudawo-żółte porosty. Nigdy nie czułam się źle na cmentarzach; nie przerażała mnie świadomość, że wieczna gonitwa, podnoszenie i dźwiganie, że wszystko tutaj się kończy. Że całe to zamieszanie można podsumować paroma nutkami śpiewu rudzika i promieniem słońca przesuwającym się po omszonym kamieniu, i może jeszcze kilkoma oszczędzonymi słowami, krzyżem i datą, żeby się nie wyróżniać.

Tamtego dnia rozkoszowałam się widokiem kwitnących na wiosnę kwiatów. Aubrieta i Alyssum kryły się nieśmiało za schronieniem muru, Pulsatilla i Primula o jedwabistych główkach wygrzewały w znów przebijających przez chmury promieniach słońca, prężyła się dumnie bladoniebieska Veronica. Weronika, ona też mnie fascynowała. Maudie opowiedziała mi historię jej chusty, którą Pan Jezus otarł sobie twarz, pozostawiając na materiale odbicie swego oblicza. Weronika, jeszcze jedna z nas; wycierająca i niosąca ulgę. Pamiętam, że kiedy to usłyszałam, na równi zdumiało mnie, iż można było dotknąć Pana Jezusa, jak i że pozostawił na chuście swój ślad. Tamtego wiosennego dnia dopiero miałam zrozumieć, że coś takiego — lub bardzo podobnego — jest możliwe. Że można zostać w ten sposób naznaczonym. Że można kogoś dotknąć i odejść nie ze śladami na ubraniu, lecz na duszy. Że istota drugiego człowieka może przeniknąć do głębi, do szpiku. Zostać wyryta na dnie duszy.

Na razie jednak tylko patrzyłam na kwiaty, słuchałam śpiewu rudzika i czułam coraz mocniej przygrzewające słońce na swoich kolanach. Myślałam o tym, jak miło mieć

niezmarznięte kolana, o kobietach sprzed paru wieków, które podróżowały wspaniałymi powozami z kobiercami narzuconymi na podołki i włosami ufryzowanymi w niesłychanie kunsztowne wzory, o kobietach o bladej cerze strzeżonych przez pieszą gwardię podążającą za karetą. I właśnie wtedy kątem oka zauważyłam mężczyznę stojącego po wschodniej stronie kościoła, trzymającego w ręku jakąś książkę i popatrującego na dach. Przyglądałam mu się, choć wiedziałam, że nie powinnam, gdy obchodził bryłę budynku dokoła, nie przestając zerkać do książki i przerzucać kartek. Wystarczyło mi nań tylko spojrzeć, bym wiedziała, że nie należy do typu mężczyzn spędzających całe dnie w pubie przy Bower Street; miał na sobie marynarkę z dobrej jakości tweedu złamanego lekko trzema barwami: wrzosu, błękitu i zieleni, tak samo eleganckie buty, a nosił się prosto, nie garbiąc. Jego ręce pewnie trzymały książkę, jakby były do tego przyzwyczajone. Skórę miał zdrowo zaróżowioną od rześkości wiosennego dnia, nie zaś ogorzałą od słońca i wiatru, których nie sposób uniknąć, pracując na dworze. Nie mogłam też nie zauważyć, że odwzajemnił moje spojrzenie, i nie zastanowił się z przestrachem, co zobaczył. Może tylko starszą kobietę o grubych łydkach, siedzącą na szerokiej ławce z bali i trzymającą siatki z zakupami obok nóg. Natychmiast zdziwiła mnie ta myśl, przecież dawno już minęły czasy, kiedy mężczyźni stanowili dla mnie tajemnicę. Czy raczej tylko tak mi się wydawało.

Zatem zdumiało mnie, iż tak bardzo mi zależy, co zobaczy ów dobrze ubrany mężczyzna z książką na dziedzińcu kościoła w majowy dzień, z rudzikiem śpiewającym w tle i autobusem linii numer piętnaście jak zwykle nie przyjeżdżającym na czas. Nie wiedziałam też, czemu nie odwróciłam wzroku, czemu odwzajemniłam uśmiech. Kiedy do mnie podchodził, ledwie opanowałam chęć, by zrobić mu miejsce na ławce, co byłoby jawnym zaproszeniem, żeby

przysiadł się na chwilę, i mimo że ponad niskim murkiem zza zakrętu właśnie wyjechał mój autobus, ani drgnęłam, tylko nadal tam siedziałam bez ruchu, patrząc, jak zbliża się do mnie z książką w jednej ręce i całym moim życiem w drugiej.

Dwuspadowy dach, powiedział. Wspaniały przykład dachu dwuspadowego, pokazał mi w swojej książce, przytykając palec do otwartej strony, na której widniał rysunek takiego dachu. Oprócz niego dostrzegłam idealnie równo obcięte paznokcie, białe i czyste; brązowy obciągnięty skórą guzik przy mankiecie jego marynarki, dotykający karteł książki, i dach, dwuspadowy dach, na który podniosłam teraz wzrok, po raz pierwszy umięjąc go nazwać. Dowiadując się, że jest to dach o dwóch połaciach i że jego inna nazwa brzmi dach siodłowy, bo tworzy nad ścianami budynku trójkątne szczyty przypominające kulbakę. Zapytałam, jakie jeszcze są rodzaje dachów, i usłyszałam, że występują również dachy jedno- i czterospadowe; dachy namiotowe, w których wszystkie płaszczyzny zbiegają się w jednym punkcie; dachy hełmowe najczęściej będące zwieńczeniem wieży o konstrukcji drewnianej; dachy kopulaste, przyczółkowe i łamane. Całkiem nowa litania. Krokwie, więźby, kalenice, belki poprzeczne, belki oczepowe, płatwie, wiązary, zastrzały, murłaty. Dachy pogrążone, odprowadzające wodę za pomocą skomplikowanego systemu rynien, dachy pulpitowe, płaskie jak stół, dachy wieżowe, wysokie i spiczaste, wywyższone, zmuszające, by wznieść oczy ku Panu Bogu. Różaniec dachów.

Wieża dzwonów znajduje się po zachodniej stronie, powiedział. „Wieża dzwonów”, kolejne nowe określenie, połączenie, które z jakiegoś powodu sprawiło, że pomyślałam o ptakach, o nutach w postaci białych gołębi wylatujących ze środka. Wstałam i przeszłam z nim pod tę wieżę; mijając okno, zauważyłam u jego szczytu kamień w kształcie kli-

na, umieszczony pośród podobnych cegieł tworzących łuk, i spytałam, czy i on ma swoją nazwę. Głodna jego głosu. Odpowiedział, że to zwornik. Spodobał mi się ten dźwięk. Natychmiast skojarzył mi się z sypialnią, śliską miękkością, puchatością poduszek i otwartymi szeroko ustami. To słowo, w przeciwieństwie do pozostałych klińców, zdawało się zachęcać do czegoś, a nie tylko nazywało kawałek kamienia. Zewrzesz się ze mną? Tak, pragnę się z tobą zewrzeć.

Zwróciliśmy się ku sobie pod krzakiem bzu, białe kwiaty otoczyły nas chmurą upojnego zapachu, jego słowa zaczęły się o gałązki i przywierały do płatków, a ja patrzyłam na niego, patrzyłam i zdawałam sobie sprawę z ogarniającej mnie namiętności, po raz pierwszy w życiu, i to przy moich latach! Wiedziałam, że to nie tylko pożądanie, że to również pragnienie, by usłyszeć wszystkie te słowa, które jeszcze nie padły. Wymienić się wszystkim tym, czym jeszcze się nie podzieliliśmy. Czułam, że jestem — także po raz pierwszy w całym swoim życiu — częścią przynależną innej części, doskonale pasującej; i tak zsuwaliśmy się ku sobie, zwieraliśmy się z cichym kliknięciem tam, pod krzakiem białego bzu. Gdzie on mieszka. Gdzie ja mieszkam. Że on ma żonę. Że ja mam męża. Że on jest lekarzem. Że ja jestem prasowaczką. Powiedział mi, gdzie leży jego gabinet, że opiekuje się mieszkańcami wiosek na obrzeżach miasteczka. Pomyślałam, że on też będzie miał torbę; skórzaną torbę lekarską ze stetoskopami, termometrami, antybiotykami, bandażami. Że zajmuje się naprawianiem hydrauliki ludzkich ciał. Wyjawił, że kocha stare kościoły, interesuje się architekturą i zwiedza zabytkowe budynki ze swoją książką w każde śródowe popołudnie, gdy jego gabinet jest zamknięty. Podziwia gzymsy, kwiatony, żebra sklepienne i pinakle. Postukuje mury, aby się przekonać, czy zostały tylko ogacone gliną wymieszaną ze słomą zebraną przed wiekami na okolicznych polach. Ta myśl także do

mnie przemówiła. Od razu wyobraziłam sobie lipiec sprzed wielu, wielu lat i sierp koszący trawy, i męskie ręce wiążące słomę w baloty, a potem mieszające wyschnięte źdźbła z gliną i obrzucające nią szczeliny w murze. Jakby wszystkiego było trzeba po trochu, żeby powstał kościół; podobała mi się ta ciągłość, to domykające się koło i ten mężczyzna ostukujący ściany, aby odkryć przeszłość.

Stałam tuż przed nim, szacując jego sylwetkę. Wysokość, szerokość w barkach; zmarszczki na czole, kurze łapki w kącikach oczu. Jego włosy, gęste i szpakowate, poprzetykane siwizną brwi. Błękitne oczy, modelowo niebieskie, jak z pudełka akwarel; przejrzyste i jasne. Przyglądając mi się badawczo jak ja jemu; widziałam swoje miniaturowe odbicie w jego źrenicach i czując zawrót głowy, kręcąc się i kręcąc bez końca, zapadałam się w jego bezdennym spojrzeniu. Nie tonąc — szybując. Oto mój łabędzi śpiew. Bez zastanowienia zgodziłam się z nim spotkać w tym samym miejscu w następną środę.

A potem wróciłam do domu i obrałam kartofle na obiad. Stałam przy zlewie i skrobałam skórki do cedzaka; rozkrawałam bulwy na ćwiartki; przełożyłam mięso na patelnię i przykryłam pokrywką. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam chmurę tak grubą, że można by z niej oderwać kawałek, jak z głowy cukrowej waty. Nastawiłam żelazko, gotowa zabrać się do prasowania rzeczy z koszyka pani Collins. Usiłowałam wejść w rytm domowego życia, dostroić się do nadchodzącego wieczoru. Odnaleźć spokój w zwyczajności przedmiotów w moich dłoniach, rączki patelni, rączki żelazka; w zwyczajności dźwięków, obierek z płaskiem opadających na dno wiadra dla świń. Wyszłam przed próg, oparłam się o beczkę z deszczówką; zagłębiłam paznokcie w mech porastający drewno i metal. Przed oczami miałam idealnie białe półokrągłe paznokcie dotykające mchu gdzie indziej. Początki.

Wiedziałam, stojąc tam i rozcierając drobinki rdzy między kciukiem i palcem wskazującym, że mogłabym przesiedzieć czas pozostały do następnej środy przed tamtym kościołem, byle znów się z nim spotkać. Przesiedzieć tydzień w wiosennym deszczu i słońcu niczym głupiec. Przesiedzieć bite siedem dni na dworze, żeby zobaczyć zagłębienie jego szyi, wewnętrzną część nadgarstka, linię ust. Żeby wyryć go sobie w pamięci. Żeby zostać wrytą. Znowu.

Zanim udałam się na spotkanie w następną środę, przysiadłam na brzegu łóżka i zapatrzywszy się na obrazek Pana Jezusa, który „rozpaczliwie pragnie usiąść”, skoncentrowałam się na swoim starym, galaretowatym ciele. Na ciężkich piersiach, krwiaku na łydce, szorstkiej skórze łokci. Nagle przed oczami stanęła mi pani Trewitt — za czasów mojej młodości będąca mniej więcej w tym samym wieku co ja teraz — mówiąca mi, że na szorstkie łokcie najlepsze są połówki cytryny. Trzeba przeciąć owoc na pół, wydrążyć miąższ i przyłożyć świeże skórki do obu łokci. Mają ponoć zbawienny, zmiękczająco-wybielający wpływ na cerę. Nie mogłam się teraz nie zastanowić, dla kogóż to pani Trewitt utrzymywała swoje łokcie świetliste i gładkie. W który dzień tygodnia poświęcała tej części ciała wyjątkową uwagę. Na jakie jeszcze partie kierowała swój wzrok i jak często; jakimi metodami. Czego innego mogłam się od niej nauczyć, gdybym pilniej słuchała. Znienacka panią Trewitt zastąpiła moja mama. Wkładała właśnie do ust miąższ cytryny, odrzucony przez moją byłą pracodawczynię, i jak zwykle skrzywiona ganiła mnie, że oczywiście znów za dużo sobie wyobrażam. Lekarz, do tego żonaty; akurat. A jednak i moje obawy, i matczyne zwątpienie opadły zaraz niczym rozpęknięta kolczasta torebka kasztana, pozostawiając mi w dłoni nasiono: lśniące, gładkie, wprost zachęcające do tego, by je possać. Znów usłyszałam to ciche kliknięcie na dziedzińcu kościoła i wiedziałam, że nic poza tym nie ma

znaczenia. Wiedziałam, że zobaczę się z nim, będę z nim rozmawiać, słuchać go i kochać. Zrozumiałam, że tego co Robert we mnie dostrzegł, czego ode mnie pragnął, Bill nigdy nawet nie przeczuwał.

Podniecenie i niepokój. Świadomość, że cokolwiek zajdzie pomiędzy mną i Robertem, nic się nie zmieni dla Billa. Że porządek dnia mojego męża pozostanie taki jak zawsze. Będzie dostawał obiad po powrocie z pracy i jadł przy stole nakrytym biało-niebieską ceratą. Będzie grał w rzutki w pubie Pod Koroną. Będzie łowił ryby w kanale w każdą niedzielę. Nic z tego nie ulegnie zmianie; to co się zmieni, zachowam przed nim w tajemnicy i choć nie będę w stanie tego usprawiedliwić, i tak to zrobię. Wiedząc, że wedle wszelkich standardów postępuję źle. Zdradliwie. Nieuczciwie. Ale w ostatecznym rozrachunku tak jak trzeba; dobrze. Właściwie. Właściwiej niż kiedykolwiek w życiu. I że prawdopodobnie spędzę resztę tego życia, żałując, że nie spotkałam Roberta, kiedy miałam dwadzieścia lat; że nie patrzyłam później, jak co rano pakuje swoją lekarską torbę. I że nie będę roztrząsać za i przeciw, przyczyn i skutków. Zamiast tego po prostu wysiądę z autobusu i udam się na kościelny dziedziniec. Drżąc lekko.

Znalazłam go czekającego na mnie przy cmentarnej bramie, obok małego kamiennego anioła. Anioł miał wzrok uniesiony ku niebu; Robert spuszczony, wbity w ziemię, lecz podniósł na mnie oczy, kiedy podchodziłam, i uśmiechnął się. A ja szłam ku niemu z pustymi rękami, niosąc mu siebie.

Tamtego dnia wybraliśmy się na spacer; od kościoła, na drugą stronę drogi i na trakt wiodący na przełaj przez pola. Ta trasa także wryła mi się w pamięci; nawet teraz, gdy mam osiemdziesiąt parę lat, wciąż widzę, jak rozwija się przed nami, na wieki utrwalona pewnego majowego popołudnia. Biel i zieleń. Głogi obsypane białym kwieciami;

sprężyste gałązki, intensywnie zielone liście. Drobne koronkowe roślinki płożące się u podstawy żywopłotów. Zając stający słupka i zrywający się do biegu, pędzący zakosami; nawet z tej odległości widoczna ciemniejsza plamka na jego pyszczku, przerażone oczy, a poza tym tylko skoki i łapki.

Zapytałam Roberta, skąd u niego to zauroczenie budowlami sakralnymi, dlaczego spędza popołudnia na oglądaniu iglic, ołtarzy i kropielnic, czy dlatego, by być bliżej Pana Boga, czy raczej by lepiej zrozumieć ludzi; czy do kościołów przyciąga go Najwyższy, czy Jego stworzenie wznoszące Mu domy. To, do czego człowiek jest zdolny, jeśli tylko dać mu kuksańca i popchnąć we właściwą stronę. „Wznoszę swe oczy ku górom: skądże nadejdzie mi pomoc?”. Chciałam też wiedzieć, jak wygląda jego Pan Jezus, Pan Jezus lekarza nieraz bezradnego w obliczu cierpienia drugiego człowieka, któremu niczyja ręka nie jest w stanie pomóc. Ani Jego, ani jego. Ciekawiło mnie, do czego to prowadzi. I myślałam sobie, że może do miłości do kamieni. W pewnym momencie Robert przystanął i czubkiem buta ugniatając kępkę trawy, przyznał, że choć trudno powiedzieć, co Pan Bóg lubi najbardziej, najwyraźniej nie przeszkadzają mu zmarszczki na materii świata. Zmarszczki, których nie sposób wygładzić ani uprasować za pomocą nie wiedzieć jakiej ilości dobroci. Zmarszczki opierające się jakimukolwiek wytłumaczeniu, poczuciu sprawiedliwości. Dlatego budynki kościołów wydawały mu się przy tym wszystkim prostsze. Budowniczo wie starający się być przyzwoitymi ludźmi. Pracowicie ozdabiający zwieńczenia sterczyn i archiwolty portali detalami w kształcie pączków i zwiniętych listków, osadzonych na łodyżce i odchylających się na zewnątrz. Trudzący się nad kopułami. Rzeźbiący kartusze. Pomimo wszystko. A to wszystko było niekiedy tak piękne, że człowiek omal nie potykał się z wrażenia. Jak ten trakt w majowy dzień,

cały biały i zielony; jak zając przecinający zakosami łąkową rzeżuchę.

Później pochyliłiśmy ku sobie głowy, zetknęliśmy się czołami, jakby chcąc oddychać jedno drugim. Jego dłonie obejmowały delikatnie moją twarz, jakby odnalazły coś cennego. Czekałem na ciebie, powiedział, czekałem tak długo... Choć czułam to samo, nic nie mówiłam. Wcześniej, na dziedzińcu, sięgnął do kieszeni marynarki i podał mi zapakowany podarunek. Książkę, „Przewodnik po budow-
lach sakralnych Anglii”, taką samą jak jego. Pomyślałem sobie, że może ci się spodoba, rzekł, że może zaczniemy zwiedzać co środą razem.

I tak to się zaczęło. Nasze środowe chodzenie i zwiedzanie kościołów. Budynków wzniesionych z krzemienia, żółtawego wapienia oolitowego wydobywanego w kamieniołomach na wzgórzach Cotswold, z marglu, z czerwonej cegły. Oglądanie strzelistych wież i łuków, maswerków i prezbiteriów, słupków okiennych ciągnących się od posadzki po sklepienie. I rozmowy; niekończące się wyrzucanie z siebie tego, co nigdy nie zostało powiedziane, co z nikim nie było dzielone. Aż dotąd. Albo cisza; siedzenie w ławce plecami do siebie, przyglądanie się płaskorzeźbom, wizerunkom bardzo z siebie zadowolonych rycerzy, rozpaczających płaczek z boków sarkofagów, ognistym krzakom zrobionym ze szkła i kamienia. Nade wszystko jednak umiłowanie słów. Wkłęski, kroksztyny, ostrołuki, sklepienia wachlarzowe... Wiecznie na języku; zmuszające do myślenia o klejnotach, o fikuśnych broszach wpiętych w bogate średniowieczne szaty, przenoszące mnie w czasie o stulecia wstecz. Tak różne od moich zwykłych roboczych słów — określenia na fragmenty budowli, błyskające i migocące niczym szlachetne kamienie. Robert z uśmiechem nazywał mnie szperaczem, twierdził, że zbieram wyrazy jak inni ludzie skarby wyrzucone przez morze podczas przyboju i zabieram je ze sobą do domu.

Kochałam się z nim po raz pierwszy w małym hoteliku w czerwcowe popołudnie niosące powietrze łagodne dla skóry; gwałtownie, z wzajemnym nienasyceniem. Poznawałam jego kształty, jego zarys, jego zapach i czułam, jak moje ciało miota się i rozluźnia, rozplywa niczym woda, i po raz pierwszy zrozumiałam sens tego wszystkiego. Powód całego zamieszania. Przyczynę zawrotów głowy i topnienia w środku. Ani na chwilę nie spuszczać wzroku z jego błękitnych oczu, widząc, jak moje ciało zmniejsza się i zmniejsza, aż zginęła granica, gdzie ja się kończyłam, a on zaczynał. Było tak samo jak wtedy pod krzakami bzu, plus nasze ciała. A potem śmialiśmy się razem, niezdolni pojąć, że to niesłychane spełnienie stało się naszym udziałem. A jeszcze później po prostu leżeliśmy w swoich ramionach. Znaczysz dla mnie wszystko, powiedział, a ja nic nie mówiłam, bo miałam łzy w oczach. I po raz pierwszy czułam się wewnątrz taka żywa.

Krótkie opowieści, to jeszcze nas połączyło; przebitki na życie, które mogliśmy razem przeżyć. Dzieliąc przekonanie, że cała prawda o życiu, o jego wadze, tkwi w szczególe. Że egzystencja każdego człowieka składa się z niezliczonych drobiazgów. Patrząc na nagrobek dziecka, które dawno temu zmarło w wieku ledwie dwunastu lat, wyobrażaliśmy sobie matkę, która wyszywając, wkłuwa igłę w materiał i kaleczy się w palec, porusza zeszywniałą szyją i wygląda za okno, gdzie bawi się obręczającą pociecha. Niepokoił nas kwiecisty wzór haftu, biblijny wers, opuszka zalana krwią; drożdżowy zaczyn rosnący obok niej na piecu.

Albo patrząc na gargulca, zastanawialiśmy się, kto go wyrzeźbił. Czy kiedy kamieniarz pracował, dziecko przyniosło mu posiłek, chleb i ser lub rosół z gołębia. Czy mężczyzna siedział przed kominkiem, na którym płonęło czereśniowe drewno. Czy na podwórku zapał biały kogut z pojedynczym czerwonym grzebieniem.

Niemal równo w rok od naszego pierwszego spotkania leżeliśmy pod gołym czerwcowym niebem na polu kukurydzy. Patrząc przez półprzymknięte powieki, widziałam skowronka, wylatującego w powietrze nad naszymi głowami z donośnym „prrrit”, i Roberta wyjmującego z kieszeni garść kwiatnych płatków, najniebiestszych z niebieskich, ostróżki. Zerwałem je zeszłej nocy dla ciebie, powiedział, obsypując mnie nimi całą, po piersiach, ramionach, twarzy i włosach. Leżąc tam, pod lazurowym niebem, na tle zieleni kukurydzy, wśród wyniosłych łądyżek maków i z płatkami ostróżki wszędzie na skórze, czułam, że moje ciało zaczyna śpiewać. A potem, w domu, rozbierając się wieczorem, znalazłam w ubraniu ostatni, zawieruszony płatek. Szybko ukryłam go w zaciśniętej dłoni, wraz z przeżytym popołudniem, jego światłem i radością, po czym włożyłam pod poduszkę, by delektować się tym wspomnieniem także podczas snu. Myśląc sobie, że jeśli kiedyś, gdy od dawna będę martwa, jakaś zakochana para zacznie snuć opowieść na mój temat na przykościelnym cmentarzu, żadne z dwojga nigdy nie wpadnie na to, że przykładałam głowę do poduszki leżącej na płatku ostróżki, który rozgrzało ciepło piersi wcześniej muskanej dłonią kochanka.

Któryś upalny lipcowy dzień spędziliśmy na pokazie ogrodniczym, pod osłoną wielkiego namiotu rozstawionego przez Towarzystwo Rolnicze. Obejrzeliśmy wystawę warzyw, gdzie każda kategoria została skrzętnie opisana. Ziemniaki „Jersey Royal”, 5 sztuk. Czosnek askaloński, 12 sztuk (idealny do marynat). Marchew, odmiana purpurowa. Poza tym słoiki z marmoladami i przeróżnymi sosami, również z nalepkami; ciasta upieczone według tradycyjnych przepisów. Isobel byłaby zachwycona, powiedział do mnie, poczułaby się tu jak w niebie. W jego głosie dosłyszałam nutkę krytyki, choć wcale mi na tym nie zależało. Najczęściej po prostu nie wymienialiśmy ani imienia Iso-

bel, ani imienia Billa; unikając wyjaśnień, podawania motywów i powodów, w zamian tworząc świat, w którym byliśmy tylko my oboje, niczym nie skrępowani, wolni. Później siedzieliśmy na beli siana, jedząc cielece kiełbaski w bułce i oglądając skoki konne; robiąc zakłady, który z zawodników odpadnie, a który przejdzie dalej. Niczym dwoje starych bogów na szczycie góry, zauważył Robert. Nie muszący tłumaczyć się przed nikim. Bezpieczni.

Kiedyś podczas zwiedzania starego klasztoru złapał nas ulewny letni deszcz; przemokliśmy do suchej nitki, zanim schroniliśmy się w galerii położonej na jego terenie. Akwarelowe pejzaże, łodzie kołyszące się na falach przy brzegu, martwe natury na kuchennym stole i nagle pusta skorupka jajka, wybrana do czysta, doskonała w swej prostocie. Spojrzałam na zapatrzonego w nią Roberta i niespodziewanie dla samej siebie poczułam, że go pragnę. Później w samochodzie siedzenie rozłożyło się ze szczękiem, kierownica wpijała mi się w biodra. Szyby zaparowały od naszych oddechów, z ubrań dolatywał zapach wilgoci. Całowaliśmy się jak szaleni, ja mruczałam wtulona w jego skórę, bojąc się, że serce stanie mi od tego szczęścia.

Innym razem, w spokojny bezwietrzny dzień, wynajęliśmy łódkę; tafla wody była gładka i zielonkawa, brzegi stawu stanowiły barierę gęstej szuwarowej roślinności nie do przebycia. Robert zacumował przy długim drewnianym pomoście, którym dostaliśmy się na ląd; na łąkę jaskrawą od kwitnącego kąkolu i ruty. Po jakimś czasie wyjął z torby książkę o malowaniu aktów i szkicownik. Prezenty od Kate, wyjaśnił, teraz będę mógł cię namalować. Więc usiadłam na trawie, rozczochrana, cierpliwa, z prostymi plecami i rozstawionymi szeroko nogami, czując na twarzy ciepło słońca. Mam wrażenie, powiedziałam mu, że powinnam siedzieć na zydłu przy zatoce, z wiadrem małyży u stóp obutych w chodaki, i nożykiem w drewnianej ręko-

jeści i o srebrzystym ostrzu otwierać muszle. Ani na chwilę nie spuściłam oczu, patrzyłam mu w twarz śmiało, odważnie. Zatem tak właśnie cię namaluję, odpowiedział. Tak po prostu.

Znacznie później, wysiadając z samochodu na końcu ulicy i idąc w górę do domu, wiedziałam, że Bill albo już wrócił z pracy, albo lada moment wróci. Wygładzałam i otrzepywałam sukienkę, poprawiałam dłonią włosy. Doprowadzałam się do ładu, równocześnie myślami wciąż błądząc po łące porośniętej kąkołem i rutą; zachwycona, zaróżowiona od spełnienia, zadowolona niczym tłusty kot, który najadł się śmietanki. Zabierając się do szykowania podwieczorku, jajek na twardo z piklami i plasterów pomidora na liściach sałaty, unosiłam się nad ziemią, a w duszy mi grało; nogi wciąż miałam sztywne i wygięte w pałąk, od niego.

Pewnego ranka zadzwonił telefon i w słuchawce rozległ się ostrożny kobiecy głos, zupełnie mi nie znany; dowiedziałam się, że gosposia wzięła wolne, a w domu jest pełno koszul do prasowania. Dzień zapowiadał się piękny, więc postanowiłam, że ustawię deskę za domem; powietrze już było ciepłe, wśród kwiatów suchodrzewu roiły się pszczoły, astry zwracały swoje głowy ku słońcu. Robert śmiał się, gdy mu kiedyś powiedziałam, że czasem prasuję w ogrodzie. I zaraz dodał, że namaluje mnie po kostki w trawie, z aureolą motyli dokoła, prasującą przy beczce z deszczówką. I dotrzymał słowa. Szkic nosił tytuł „Afrodyta z żelazkiem”.

Zapukała do drzwi od frontu, co mnie zaskoczyło. Frontowe drzwi były dla policjantów, poborców podatkowych, grabarzy; wszyscy inni wchodzili zawsze od tyłu. Przeszłam przez dom i zaczęłam otwierać; zasuwa się zacięła, futryna lekko napuchła, ale w końcu włożyłam do zamka klucz zabrany po drodze z puszek stojącej na obramowaniu

kominka. Przez cały czas, gdy starałam się jak najszybciej otworzyć drzwi, słyszałam, jak po drugiej stronie ktoś szura stopami i z rzadka pokasłuje, dochodziło mnie też po-brzękiwanie kluczy, najpewniej samochodowych. A kiedy wreszcie udało mi się poruszyć skrzydło, napierając na fu-trynę lewym barkiem i ciągnąc prawą ręką, boleśnie przy-trzasnęłam sobie palec, więc koniec końców otwarałam jej z dłonią przyłożoną do ust.

Nic specjalnego. Przynajmniej wtedy. Kobieta w mniej więcej moim wieku, może nieco młodsza, zgrabna i szczu-pła, z siwiejącymi włosami zebranymi w na poły koczek, na poły warkocz przytrzymywany przez szylkretowy grzebyk. Pi razy oko mojego wzrostu, ale jakby sporo mniejsza ode mnie, może dlatego, że stała stopień niżej, a ja na progu. Zdawałam sobie sprawę, że lustruje mnie wzrokiem, tak naprawdę przeszywając na wylot, i że nic nie mówi, więc pomyślałam, że ładnie muszę się prezentować z tym palcem w ustach, i poczułam nagle chęć, by zakląć od serca, ale się powstrzymałam. Odchrząknęła, żeby coś powiedzieć, nie odezwała się jednak i tylko w milczeniu przekazała mi worek z rzeczami. Zauważyłam, że paznokcie ma ładne, zadbane, i że na serdecznym palcu nosi pierścionek. Pomy-ślałam, pamiętam, że jej prasowaczka jest niezła w swoim fachu, bo biała bluzka, którą miała na sobie, ze sztywną stójką wyszytą nicią w fikuśny wzór, była bez zarzutu. Przy-głądałam się gładziuteńkiemu materiałowi, gdy mówiła, że jej gospościa odbierze uprasowane rzeczy pojutrze. Głosem czystym i pewnym, choć z odrobiną drżenia gdzieś z tyłu, co jednak nie wywołało we mnie żadnych podejrzeń.

Potem w ogrodzie, ustawivszy drewniany stelaż służą-cy mi za przenośny wieszak, na który odwieszałam wypra-sowane rzeczy, i stanąwszy przy desce, włożyłam rękę do worka i wyjęłam pierwszą koszulę. Zwykłą, białą. Z mięsi-stego, miłego w dotyku materiału i z porządnymi guzikami;

jakby lekko znajomą. Następnie niebieską z podwójnym mankietem na spinkę, krytą plisą na guziki i marszczonym karczkiem z tyłu — i już zrozumiałam, oczami wyobraźni zobaczyłam, jak ściagam ją z Roberta dłońmi spragnionymi dotyku jego skóry. Moja pierwsza myśl była taka, że jego koszule na mojej desce do prasowania to pewien rodzaj daru; niezamierzonego, ale jednak daru. Możliwość dotykania tego, co będzie dotykało jego ciała. Możliwość ucałowania każdego szwu, wewnętrznej strony kołnierzyka i mankietów, wszystkich po kolei guziczków. W nadziei, że nawet gdy będzie stał w swojej sypialni i ubierał się, ja będę razem z nim; będziemy się kochać. Dostanie moje pocałunki składane w ogrodzie na jego koszuli.

Równocześnie czułam, jak stosowne to jest. Marta prasowaczka w końcu prasuje mu rzeczy. Po tych wszystkich ubraniach, które przeszły przez moje ręce, po przeróżnych materiałach, które wygładzałam żelazkiem, nareszcie dotykam jego koszul. Robię to, co umiem najlepiej, jakkolwiek by to było nieistotne, i robię to dla niego. Ze świadomością, że nawet to rozjaśnia moją duszę. Ze świadomością, że na co dzień by tak nie było; nie drżałabym, tak jak drzę teraz, myjąc po nim brudne kubki i ścieląc łóżko, lecz nieoczekiwanie ta codzienność, ta zwyczajność podniosła głowę i stała się uświęcona. Wiedząc tam, w ogrodzie, z powiewającą na letnim wietrze niebieską koszulą zawieszoną na drewnianym stelażu, że zostałam obdarowana — nieumyślnie, ale jednak.

Później, gdy na stelażu zawisło wszystkie osiem koszul, przysiadłam na schodku z kubkiem herbaty w rękach i zastanawiałam się, co teraz zrobi Isobel. Czy jej zamiarem było rzucić mi wyzwanie na progu mojego domu. „Znasz go? Kochasz go?”. Lecz chyba nie to dojrzałam w jej oczach; może szła do mnie z takim zamierzeniem, ale potem, kiedy mnie zobaczyła, górę nad emocjami wzięło zdziwienie, że

jej mąż mógł pokochać kogoś takiego jak ja, że mógł mnie pożądać. Zdumienie moją przeciętnością, gdy niezręcznie ssałam skaleczoną kostkę. Zdumienie, że można chcieć kogoś takiego. Wiedziałam, że nie umiałabym jej odpowiedzieć; zaprzeczenie traciłoby fałszem, przyznanie się do winy złośliwością. Miałam też na uwadze Billa, to, że przez cały czas usprawiedliwiałam swoje milczenie i swoją niewierność tym, że jego świat pozostał taki jak zawsze, jego życie dokładnie takie, jakiego pragnął. Chyba. Zamknięty w sobie i spokojny; przyzwyczajony do mnie i do rytmu naszych dni. Musiałam liczyć się z tym, że Isobel wytrąci go z tej przyjemnej równowagi; zdenerwowana pomyślałam: a niech ją wszyscy diabli, czemu nie pójdzie z tym do Roberta, czemu musi przyłązić do mnie, do mojego domu, uzbrojona w wiedzę i idealnie wyprasowaną białą bluzkę?

Opowiedziałam o wszystkim Robertowi i razem czekaliśmy, co się dalej stanie. Jej gosposia przysłała odebrać koszule, odruchowo korzystając z wejścia od tyłu. Niosła je, a rękawy trzepotały na wietrze. Moje serce się do nich wyrывało. Ale nadal nie padło ani jedno słowo. Nie przy ich stole jadalnym, nie w ich małżeńskim łóżku; nie było żadnych pytań, żadnych oskarżycielskich spojrzeń. Zupełnie nic. Jak gdybyśmy czekali na burzę, która międli się i międli, lecz nie nadciąga. Na to, by ptaki zamarały w bezruchu i ciszy. By niebo przybrało ołowiany, posiniaczony odcień, by ostatnie promienie słońca przecinały chmury srebrzystymi ostrzami. Nadaremno.

Zachowuje się inaczej? pytałam. Czy coś się w ogóle zmieniło?

Nie, nic, odpowiadał zagubiony jak ja. Wszystko jest, jak było.

Jakiś tydzień później doznałam olśnienia. Składając mi wizytę, wcale nie chciała wstrząsnąć posadami naszego świata, rzucić mi prawdy w oczy i zmusić, by któreś z nas

się przyznało, tylko nadać oblicze swoim podejrzewaniom, zwiększyć sumę własnej wiedzy. Nawet przez myśl jej nie przeszło, było dla niej nie do pojęcia, że rozpoznam jego koszule po dotyku, dzięki wspomnieniom i fizyczności tego, co nas przede wszystkim połączyło. Nie wpadła na to, że będę wiedzieć, kim jest, ani trochę nieanonimowa z koszulami mojego kochanka.

Zarazem musiałam przyznać, że nie mam pojęcia, co ona czuje. Może koszule Roberta były dla niej tym, czym dla mnie koszule Billa — rzeczami, które trzeba utrzymać w czystości i ładzie i rozwieszać równo w szafie. Może przeniosła na nie swoją nienawiść; patrzyła na wnętrze szafy, na ich puste powłoki, wiedząc, że jego ciało, znajdując się całym gdzie indziej, właśnie ją zdradza. A może mięła ich materiał i przytykała do twarzy, wspominając wydarzenia z przeszłości, wydarzenia, które wcale by mi się nie spodobowały, zdarzenia pełne namiętności. Albo nie czuła zupełnie nic, może przepełniała ją błoga obojętność i po prostu chciała wiedzieć, na czym stoi, gdzie indziej szukając swego spokoju i pocieszenia.

Często się zastanawiałam, czy Isobel i ja mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. W końcu kochałyśmy tego samego mężczyznę, choć prawdopodobnie z innych powodów. O ile ona go kochała. Ale przecież musiała go kiedyś kochać, prawda? Ciekawe, co sprawiło, że przestała. Co nagle utraciło dla niej całą atrakcyjność, a zaczęło ją irytować. Kiedy to co znajome, dobrze znane, nagle stało się nudne. Kiedy zakradł się smutek. Podejrzewałam, że z nimi było inaczej niż ze mną i z Billem, którzyśmy zaczęli z tak małym bagażem, że nie bardzo mieliśmy co gubić po drodze. Myślałam sobie, tak jak z pewnością myślałaby moja mama, że ludzie tacy jak oni są mądrzejsi, rozumują w odmienny sposób. Niespętani przez terminy wypłat tygodniówki, drobne wygrane na loterii, udziały w kooperatywie, czynsz wiszący

nad głową; jakby żyjący w przejrzystszej atmosferze umożliwiającej podejmowanie lepszych decyzji. Ale potem doszłam do wniosku, że jednak nie, że to nie może być prawda; że ludzie aż tak się nie różnią.

Tylko raz spędziłam z Robertem całą noc. Pewnego kwietniowego słonecznego dnia pojechaliśmy razem do Devonu. W ciągu czterech wspólnych lat, któreśmy dostali od losu, tylko przy tej jednej okazji od nowa napisaliśmy swoją historię, wtedy, tamtej nocy, kiedy dzieliliśmy łóżko. Leżeliśmy po ciemku, wyobrażając sobie, jak by to mogło być. Nazajutrz wybraliśmy się na plażę, z chrzęstem stąpając po kamykach pod stopami i przyglądając się kołującym wysoko mewom, rozwrzeszczanym i kłótliwym, przecinającym zniecka powietrze nad naszymi głowami i białą chmurą opadającym ku szarej wodzie. Przysiadłam na skale i sięgnęłam ręką po żwir, czując na wargach morską sól, mrowienie skóry od wiatru, zimno ciągnące od kamienia, mleczny blask słońca wychylającego się zza chmury; oddechem rozgrzewając czubki palców i chwytając wypadające mi z dłoni otoczaki.

Marta syreną, zaśmiał się Robert. Wabiąca mężczyzn ku ich przeznaczeniu, a przynajmniej mnie ku mojemu. Chyba dodam ci ogon, opalizujący na błękitno i różowo.

Dobrze, odparłam. Tylko nie proś, żebym zaśpiewała.

Siedziałam sobie, a moje buty powoli zamieniały się w płetwy. Kiedy skończył szkicować, stanęliśmy nad samym brzegiem wody, trzymając się za ręce, a ja wspominałam uczucie, które ogarnęło mnie tego ranka, gdy otworzyłam oczy i zobaczyłam jego twarz na poduszce obok siebie. Morze u naszych stóp mieniło się szaroniebiesko. Kamyki uwiecznione na obrazie przy każdym ruchu pobrzękiwały w mojej kieszeni. Kiedy zaciskałam na nich dłoń, czułam, jak zostawiają ślady na moim ciele. Świadcowie chwili, świadcowie nieskażonego szczęścia.

Wszystko kiedyś się kończy, wszystko musi się skończyć. Wiem to, tak jak wiedziałam wtedy, lecz wiedza nie jest równoznaczna z akceptacją. Akceptacja oznacza przełknięcie czegoś przykrego, tak jak połyka się twardą, gorzką pigułkę. Życie dalej po tym, jak coś dobiegło końca, jest najtrudniejsze ze wszystkiego. Myśląc o tym w swoim fotelu w domu opieki, dopuszczam do siebie ironię porównania z rundą autobusem. Czyżbym odmierzała swoje życie takimi rundami? Życie składające się niemal wyłącznie z robienia zakupów, przynoszenia, zanoszenia, odnoszenia i jeżdżenia autobusem, z kłopotami u stóp i na kolanach. Zatem to nie przypadek, że tak wiele z tego, co zapamiętałam z czasów, gdy Robert i ja byliśmy razem, kojarzę z autobusami. Może takie będzie moje epitafium: Marta, która kochała Roberta i korzystała ze środków transportu publicznego.

Tamtego dnia siedziałam w autobusie za dwiema kobietami, z których jedna miała na głowie chustkę w rozmazany, mgławki wzór, zawiązaną pod brodą jak u nieboszczyka albo jakby chciała zapobiec wydobywaniu się z jej ust słów. Druga trzymała w rękach gazetę i wybrane fragmenty czytała koleżance o zaciśniętych szczękach. Przypominały mi dwie stare wrony dziobiące rozpląszczone na jezdni zwłoki królika. Nagle usłyszałam: „Patrz tylko, Robert Lawrence, ten, który był kiedyś lekarzem mojej siostry, miał atak i umarł na miejscu w swoim gabinecie, tak tutaj piszą. Rozległy zawał serca. Co za śmierć dla doktora. Pewnie w poczekalni było pełno pacjentów...”. Dziob, dziob, dziob.

Pochyliłam się do przodu nad pomalowaną na srebrno rurką służącą do trzymania się podczas jazdy, druk na stronie gazety rozmazywał się, niknął i na powrót stawał się wyraźny. **ROBERT LAWRENCE NIE ŻYJE**, nie żyje, jest martwy. Poruszyłam się niespokojnie na swoim siedzeniu, czując, że natychmiast muszę wyjść z tego autobusu.

Przepraszam bardzo, wymamrotałam do kobiety siedzącej obok mnie, bliżej przejścia, ale będę musiała tutaj wysiąść. Przepychałam się między stojącymi ludźmi, z torbami w dłoniach, z kłębkami strachu w gardle. Podniosłam rękę, by nacisnąć dzwonek, już kawałek za przystankiem, ale co z tego, i gdy to robiłam, pękła jedna z plastikowych toreb, zakupy rozsypały się po podłodze. Głowa kapusty łup, łup, tocząca się w dół po schodkach, karton mleka dziabiący mnie ostrym kantem w nogę, rozdzierający mi rajstopy. Konduktor krzyczący za mną: „Proszę pani, proszę pani! Pani zakupy!...”. Nie zatrzymując się, wypadłam przez otwarte drzwi i biegłam przed siebie, godna pożałowania i nierówno obciążona, kolebiąc się na niewysokich obcasach.

Nie przystanęłam ani na chwilę, zanim nie dobiegłam do kościółka, na którego dziedzińcu spotkaliśmy się po raz pierwszy tamtego majowego dnia przed czterema laty. Do ławki z drewnianych bali, dwuspadowego dachu i krzaku bzu. Tam zaczęłam płakać; pozwoliłam ogromnym, wykręcającym wnętrzości spazmom nabrać kształtu w gardle, nie zważając, że ugniatają mi tchawicę i odcinając dopływ powietrza, wywołują zawroty głowy, aż byłam jak pijana z żalości. Dotoczyłam się do kościoła i tuż przed nim opadłam na klęczki, czołem dotykając zimnego kamienia, pod kolanami czując chłód ścieżki. Łkałam, krzyczałam i waliłam dłońmi w mur, pomiędzy szlochami powtarzając jego imię, jak gdybym samą siłą woli mogła sprawić, że się koło mnie pojawi. Jakbym chciała wyczarować go idącego ku mnie od bramy, biorącego mnie w ciepłe ramiona, przytulającego do szorstkiej marynarki, otulającego swoim zapachem. Ale był tylko szorstki mech wciskający mi się w policzki i kwaśna wilgoć starego kamienia. I ja — sama pośród zapadającego zmierzchu.

Klęczałam tam wiele godzin. Zmrok ogarnął budowlę i mnie, smutek przepełnił serce, któremu nie ulżył płacz.

Najgorsze ze wszystkiego, nie do zniesienia, było wyobrażanie sobie, jak to się stało. Wyobrażanie go sobie w gabinecie; czy był sam czy z pacjentem, czy szedł właśnie do poczekalni czy wypisywał przy biurku receptę. Jak bardzo go bolało, ile to trwało, czy był przytomny. O czym myślał. Czy spotkało go upokorzenie, czy ktoś ingerował w jego ciało. I jeszcze świadomość, że wszystkie te szczegóły przypadną w udziale Isobel, że to jej ktoś przekaże informacje o ostatnich minutach życia Roberta. Ze być może zdążyła znaleźć się koło niego, usiąść obok, patrzeć, jak wycieka z niego dusza, podczas gdy mnie nie było to dane.

Po zmroku młody niezgrabny wikary przyszedł zamknąć drzwi kościoła. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, pociągnął mocniej nosem, doszukując się śladów alkoholu, popatrzył na rzucone na ziemię torby, z których jedna, nadarta, całkiem się otworzyła, ukazując zawartość. Pewnie próbował ocenić, czy jestem łachmaniarką, śmieciarą czy pomyloną parafianką. A ja chciałam mu powiedzieć, gdy tak stał niezdecydowany z kluczem w rękach, że oto jest prawda. Nie Pan Jezus w niebieskiej pelerynie, sięgający dłonią do dzieci o twarzach cherubinów, zachęcający, by przyszły do niego czyste, pachnące mlekiem i wanilią, tylko stara gruba kobieta na dziedzińcu kościoła, z paczkami kiełbasek i potłuczonymi jajkami wokół, i rozgniecioną kostką margaryny, powalona na kolana przez żałość. Wikary postąpił krok w moją stronę, spytał, czy może jakoś pomóc, czy ma sprowadzić pastora, czy po prostu upadłam czy przeżyłam jakiś wstrząs i chciałabym o tym z kimś porozmawiać. A ja odpowiedziałam, że nie, nie trzeba, proszę nie robić sobie kłopotu. Już gramoląc się i podnosząc na nogi, upychając paczki z kiełbaskami do ocalałej torby, kartonowym pudełkiem po jajkach zbierając potłuczone skorupki; sprzątając po sobie. I wikary odszedł, pewnie myślał, że najlepiej pozostawić mnie w rękach Pana Boga.

Pewnie wołał smutek, któremu można zaradzić, siedząc na miękkiej kanapie i poklepując schludną staruszkę po suchej dłoni, od tego... bałaganu.

Idąc na piechotę do domu, hołubiłam w sobie swój smutek; nieprawny, samotny, sekretny. Czułam się jak przepołowiona nie tylko z powodu straty, tęsknoty, żalu i — tak — wciąż niewiary w to, co się stało, lecz także dlatego, że nie wolno mi było odezwać się słowem, pokazać niczego po sobie. I dlatego, że przez resztę życia miałam pozostać sama, gdyż jego już nie było.

Dziwne, ale myślałam też o Isobel, o tym, co ona myślała i czuła. Czy leżała bezsennie albo czy spała jak kamień po tym, jak podano jej środki uspokajające, czy może raczej siedziała otoczona przez góry jego rzeczy. Opłakując swojego męża, wszystkie te lata wypełnione znajomymi wzorami, nawykami, wspomnieniami i domami; pamięcią pokojów, w których najpierw na ścianach leżała taka tapeta, a potem inna. Przeglądając stare, czarno-białe zdjęcia zrobione polaroidem, z malutką Kate siedzącą na ich kolanach. Rozmyślając o tym, czym dla niej był, czym mógł być; o tym, jak to teraz z perspektywy czasu widziała. Być może ogarnął ją gniew na niewiernego męża i opłakując go, zgrzytała zębami, że nigdy się nie przyznał, nie poszukał u niej rozgrzeszenia.

Jej mąż, mój kochanek. Musiałam schylić głowę przed należnymi Isobel prawami do niego, przed więzami, które go z nią krępowały, przed właściwością tego, co ich łączyło. Noc po nocy, kiedy jedno miało kaszel i nie dawało drugiemu spać, kiedy rozmawiali ze sobą nad ranem. Dzień po dniu, kiedy Isobel przygotowywała wymyślne obiady i skomplikowane sosy, ceramicznym tłuczkiem ugniatając w moździerzu zioła z ogródka, kiedy wołała go później na posiłek. Lecz i ja miałam do niego swoje prawa. Ramię przy ramieniu na kościelnym dziedzińcu, serce przy sercu wśród

łąk i pól. Żałowałam, że też nie umarłam i nie możemy zostać pogrzebani razem, w jednym grobie, gdzie nasze ciała stopiłyby się w jedno, stopy pacierzowe przylegały równo do siebie, kości równocześnie zamieniły się w proch.

Rozpaczałam, ponieważ nie miałam żadnych rzeczy po nim, żadnych fotografii, żadnych ubrań, nic, co mogłabym wziąć do ręki, czego mogłabym się przytrzymać. Za jego życia nie przyszło mi do głowy, że mogą mi być kiedyś potrzebne. Umierając, jakby zupełnie zniknął. Całą pierwszą noc po tym, jak dowiedziałam się o jego śmierci, przeleżałam, nie zmrzywszy oka; zmartwiała. Nawet teraz nie przychodzi mi o tym łatwo myśleć.

W dzień jego pogrzebu siedziałam na ławce na dziedzińcu kościoła, ubrana w swoje zwykłe rzeczy, i trzymałam w dłoniach książkę, tak że gdyby ktoś na mnie w ogóle zwrócił uwagę, pomyślałby, że czekam na kogoś albo przyświeca mi jakiś inny cel.

To był ponury, szary październikowy dzień. Większość liści spadła już z drzew i leżała na ziemi w niechlujnych kupach zdmuchniętych pod mur. Wraz z wiatrem siekła drobniutka mżawka, taka, która zdaje się nienamacalna, a jednak jest zdolna przemoczyć na wskroś. Gdy z kościoła zaczęli wychodzić żałobnicy, wbrew sobie dostrzegłam, jak bardzo są dystygowani; elegancko obute kobiety miały apaszki na szyi i skórzane rękawiczki sięgające za nadgarstek. Wypatrzyłam Isobel, bladą i sztywną, ukrytą pod szerokim rondem czarnego kapelusza. Trumna, udekorowana późnymi różami, na ramionach karawaniarzy wolno przesuwiała się aleją w stronę cmentarnej bramy. W pewnym momencie była tak blisko mnie, że gdybym się nachyliła i wyciągnęła rękę, mogłabym jej dotknąć. Jednakże siedziałam nieruchomo, z paznokciami wbitymi w wewnętrzną część dłoni, mimo że szaleństwo zmieszane ze smutkiem pchały mnie, by zerwać się i podbiec, zrzucić wieko,

wziąć ciało Roberta w objęcia i wyć jak zwierzę. Ale ani drgnęłam; z szacunkiem zdając sobie sprawę, że to należy do Isobel. Tylko nie zdołałam powstrzymać gorących łez płynących po twarzy, kiedy z cmentarza dobiegły mnie słowa hymnu zaintonowanego nad świeżym grobem. Tamta chwila, tamten dzień, tamto posępne uczucie pustki, poczucie straty już nigdy miało mnie nie opuścić.

Widziałam, że grób znajduje się po zachodniej stronie kościoła. Obok wykopanego dołu wznosiła się wysoka kupa ziemi, brązowej i mokrej. Deszcz wzmógł się, padał ciężkimi, wstrętnymi kroplami. Zapłakałam głośniej na myśl o nim złożonym w tej zarobaczonej, przejmująco zimnej wilgoci. Uświadamiając sobie, że to, jak go postrzegałam (jego oczy barwy wiosennego nieba, pod którym zobaczyłam go po raz pierwszy), tak wiele miało wspólnego ze światłem, z ostrózkowolazurowym blaskiem naszych dni; po prostu nie byłam w stanie znieść myśli, że znajdzie się w ciemności, przywalony zwałami brudnej ziemi. Chociaż powtarzałam sobie w duchu, że to tylko jego ciało, że to, czym naprawdę był, jest teraz całkiem gdzie indziej, nie umiałam się z tym pogodzić. A także w przypływie drobnotkowości obruszyłam się, że nikt nie pomyślał, by pochować go po wschodniej stronie; ja wiedziałam, jak bardzo lubił patrzeć na okno rozetowe bocznej nawy.

Widziałam, jak Isobel i Kate rzucają na wieko trumny garści ziemi, ale byłam za daleko, by usłyszeć uderzenia grud w drewno. Isobel była w tym momencie jeszcze bledsza, lecz otulona przez współczucie innych, przez ich słowa. Ja jednak nie potrzebowałam tych słów. Potrzebowałam tylko jego. Chciałam móc zamknąć oczy i otworzyć je podczas pogrzebu obcej mi osoby. Chciałam, aby Robert siedział obok mnie, czekając, aż nabożeństwo żałobne dobiegnie końca, żebyśmy mogli wejść do środka i zobaczyć łuk prezbiterium albo ambonę w kształcie łodzi lub naprze-

mienny rząd okien romańskich, górą półkuliście przesklepionych, i wcześniejszych, strzelistych, w ścianach korpusu nawowego. Chciałam móc z nim po cichu rozmawiać, czuć jego ramię obejmujące mnie nisko w pasie, z mozołem odczytywać inskrypcję na nagrobku zmarłego przed wiekami dziecka, które uczyło się ryć litery na tabliczce i nosiło kaftanik z sukna. Chciałam widzieć to wszystko zamiast tego; zamiast ostatniego kościoła Roberta.

Siedziałam i patrzyłam, aż grabarze zasypali mogiłę, aż Robert znalazł się pod kopczykiem świeżej ziemi, z wszystkimi kwiatami i wieńcami ułożonymi na szczycie, aż znów byliśmy tylko ja i on. Nie przyniosłam ze sobą kwiatów ani żadnych słów, uklękłam więc, przemarznięta i z zastanymi kolanami, i umieściłam swoją książkę, „Przewodnik po budowłach sakralnych Anglii”, głęboko w ziemi, żeby razem z nim obróciła się w proch. Bo to było wszystko, co miałam, wszystko, co mogłam ofiarować. Każda strona tej książki niosła ze sobą wspomnienie popołudnia spędzonego z Robertem; naszych twarzy zwróconych ku sobie w słońcu, śmiechu pośród listopadowej szarżyzny, wiecznych rozmów o czymś. Poczucia przynależności do drugiej istoty.

Policzki znów miałam mokre od łez. Powtarzałam szepem słowa „moje kochanie, kochanie moje” do kopczyka ziemi. Wiedząc, tak jak wiem teraz, że resztę życia spędzę, odtwarzając w myślach wspólne cztery lata.

Po tym wszystkim moje życie z Billem nie uległo większej zmianie. Ogień w piecu buzował wyżej każdej jesieni, oboje coraz dotkliwiej odczuwaliśmy zimno i wilgoć w powietrzu, zakradający się przez szpary chłód. Ja w snach prowadziłam niekończącą się rozmowę z Robertem, mając przed sobą jego ciało żywe i ciepłe; dobieraliśmy się do siebie pośród strzępków wspomnień i niewygasłego pożądania. Czasem śniłam koszmary; o tym, że go zgubiłam, że

zagłębił się pomiędzy grobowce i wołał mnie, aby coś mi pokazać, lecz ja nie umiałam do niego znaleźć drogi. Albo łąpałam zły autobus bądź wsiadałam do złego samochodu i biegnąc mu na spotkanie, kończyłam zawsze w złym miejscu. Nie brakowało w tych snach obiektów dnia codziennego; trzymałam w ręku swoje żelazko albo buty Billa, a raz nawet tłuczek i móżdżierz, które jak wiedziałam, nie należały do mnie, które powinnam była komuś zwrócić.

Zrozumiałam, że moje życie to nie łańcuch wydarzeń, lecz zapętlony krąg, przezroczysty i nakładający się na siebie. Nic nie odchodzi tak łatwo, jak by się chciało. Dotarło do mnie, że nie umiałabym ubrać tego w słowa, opowiedzieć, jak było; wiedziałam tylko, co czułam tamtego pierwszego dnia, wiedziałam, że musiałam pozwolić sobie na miłość do Roberta. Gdybym tego nie zrobiła, gdybym go nie pokochała, szłabym przez życie z zamkniętymi oczami, jak we śnie, jak w koszmarze. Uparcie wierzyłam, że Pan Bóg także dostrzeże w tym coś dobrego; odrobinę dobroci pośród morza wyrządzonego zła. Przypominałam sobie dawno zapomniane modlitwy i psalmy. Panie, zmiłuj się nad nami. Chryste, zmiłuj się nad nami. Usłysz nas... I kiedyś pomyślałam, że może jego utrata to kara dla mnie. Że moja utrzymywana w tajemnicy żałoba, moje niewysłowione cierpienie to sposób odpłaty Panu Bogu. Że muszę dożyć swych dni, spłacając dług. Niczym poczwarka w wiekowym cieple, staruszka w rozczłapanych butach ze wspomnieniami, które są jedwabście gładkie.

Przede wszystkim pozostałam dobra i łagodna dla Billa, darowałam jemu ten okruch serca, który mi pozostał. Wracając do domu, zastawałam go drzemiącego w fotelu przy kominku z obwisłą skórą policzków ocierającą się o kołnierzyk koszuli, z dłońmi splecionymi na brzuchu, delikatnie pochrapującego. Świszczący wdech i gwizdzący wydech, nowy rytm jego dnia. Najpierw dopadła go cu-

krzyca, potem wysiadły mu nerki, aż w końcu musiał iść do szpitala z brązową walizeczką wypełnioną piżamami i pudełkiem puzzli. Siedział na skraju łóżka, kiedy ją pakowałam, jak chłopiec wysyłany do szkoły z internatem. W którymś momencie powiedział z wahaniem: „Niezbýt tego wiele, co?”. Jego całe życie sprowadzone do trzech piżam, niebieskiego ręcznika, kapci, szlafroka i pudełka puzzli. Nie miałam pojęcia, co chciał ode mnie usłyszeć. Czy w ogóle chciał coś usłyszeć. Czy potrzebował wtedy słów, które uczyniłyby wszystko łatwiejszym, prostszym albo które wszystko by naprawiły. Albo przynajmniej sprawiły, że poczułby się mniej samotny. Nie miałam pojęcia, czemu zdecydował się na słowa teraz, wyrzucając je z ust, jakby to były małe, twarde białe kamyczki z rzeki. Pac, pac, upadały na łóżko pomiędzy nami, gdy składałam schludnie piżamy, dłonią wygładzając zagięcia materiału. Wyczuwając jego niepokój i wiedząc, że nie mogę zrobić nic ponad to; nic ponad składanie i zwijanie szlafroka w ciasny rulon otoczony ręcznikiem. Zamykając walizkę z metalicznym kliknięciem, wyrzesałam przez firankę na ulicę, po której właśnie jechał na rowerze jakiś dzieciak, telepiąc się na kostce brukowej, wskakując na krawężnik i z niego spadając, zygzakując i pedałużając zawzięcie; z tyłu, w dole poły płaszcza, widniała plama zaschniętego błota od rozpryskiwania co rusz kałuż. Nieruchomy Bill, nie mogące ustać w miejscu dziecko i firanka delikatnie powiewająca na wietrze wpadającym przez uchylone okno. Odstawiłam walizkę na podłogę i poprawiłam narzutę łóżka, zauważając, że Bill ani na moment nie odrywa wzroku od moich dłoni. Przelotnie zastanowiłam się, czy kiedy o mnie myślał, zawsze widział mnie z jakimś materiałem w rękach, podobnie jak ja wyobrażałam go sobie nieustannie przebierającego w uszczelkach. Nie zapytałam o to jednak. Wiedziałam, że mógłby to uznać za zakłócenie, i uznałam, że lepiej trzy-

mać się odwiecznego wygładzania i porządkowania. W ciszy. Milczałam więc, kiedy szedł, powłócząc ciężko nogami i patrząc przed siebie.

Przez cały czas wiedziałam, że to swego rodzaju pożegnanie. Nie to ostateczne, ale nasze prywatne, w zaciszu sypialni. W pokoju, w którym przez tyle lat zaczynaliśmy i kończyliśmy dzień, ubieraliśmy się i rozbierali, wstawali i kładli, leżeli i spali obok siebie. Z uchylonym oknem latem i pod dodatkowym przykryciem od października począwszy. Zażyłość i odrębność pospołu. Nawet wtedy przemknęła mi przez głowę myśl, jak mnie i Robertowi udałooby się wykorzystać taką szansę. Szansę na pożegnanie w lawinie słów i płataninie nóg i rąk. I wiedziałam, że bym go trzymała, trzymała, trzymała w ramionach, niepomna dziecka na ulicy, niepomna drżącej na wietrze firanki, ślepa na pogniecioną pościel. Pragnąc, by nie bał się, by nie cierpiał, by nigdy nie zaznał bólu. Bym mogła być z nim, w nim, na zawsze.

Otrząsnęłam się i nim jeszcze zamknęłam wieko walizki, rozejrzałam się, by sprawdzić, czy nie zostało coś z rzeczy Billa, co powinnam mu spakować; coś, co uczyniłoby jego izolatkę w szpitalu przytulniejszą. Myśląc przy tym, że jego życie w większości cechował zarówno brak rzeczy, jak i brak słów. Że niemal zupełnie pochłaniała go zawartość jego poprzecieranej skórzanej torby, jego worka z wędkarskimi akcesoriami, zestaw do gry w rzutki i stare wiadro dla świń. Kiedy zeszłam na dół, znalazłam go za domem opartego o beczkę z deszczówką, zapatrzonego na kraniec ogrodu, na nasyp; ze wzrokiem wbitym w opadłe, zbrązowiałe fragmenty roślin, wystające z ziemi krawędzie płaskich kamieni, kałuże wody zebrane w nocy na metalowym dachu chlewika, potem także w wirujące wysoko na niebie stado ptaków. Bezwiednie uciskał stopą poduchę mchu wyrastającą spomiędzy płyt chodnika. W dalszym ciągu nic

nie mówił, odebrał po prostu z moich rąk walizkę i wszedł na ścieżkę okrążającą dom. Idąc za nim, nie mogłam nie dostrzec zgarbionych silniej pleców, wywołanego bólem stawów znużenia w jego kroku. Dławiona współczuciem zaczęłam wspominać świniaki. Wypuszczałam na zimne lutowe powietrze parę z ust razem z opowieścią o różowitkach, rudogrzbietych maciorach i wrześnieowym cieple, i promieniach słońca odbijających się od metalowego dachu, i zapachu jabłek, i wielkich zadach ocierających się o tylną zagrodę chlewika, i o Billu zamiatającym łopata obornik z rękawami podwiniętymi do łokci i czapką przekrzywioną na bakier. Oboje uśmiechaliśmy się, mijając chłopca na rowerze; połączeni wspomnieniem znajomych ryjów i racic.

Odwiedzałam go w szpitalu co dzień. Siedziałam przy nim przez całe popołudnie, podczas gdy lekarze badali go, pobierali próbki, zwoływali konsylia. Podłączali jego ciało do rurek i przewodów. Usiłowali naprawić mu hydraulikę. Patrzyłam na dłonie Billa, spokojne i posłuszne, leżące na wywiniętym na wierzch prześcieradle. Takie duże i słabe, i czyste; czasem koniuszkami palców wodził po krawędzi białego prześcieradła. Przyglądałam się, jak śpi; nakrywałam jego rękę swoją. Wspominałam go młodego, ze zręcznymi rękami, dawno temu w sklepie pani Trewitt, gdy montował umywalkę; pod wieloletnim osadem wciąż gdzieś tam taki był. I myślałam o tym, co potrafią ludzkie ręce. Wznosić budynki. Pisać książki. Grać na instrumentach. Odkrywać i wynajdować. A mimo to ręce Billa nie były ani trochę gorsze. Zrobił, co miał do zrobienia. W ciszy i spokoju, wierny sobie.

Zastanawiałam się, czy miał przede mną jakieś tajemnice. Choć jedną. I co jego zdaniem robiłam przez tamte cztery lata. Czy domyślił się czegoś, czy o czymś wiedział, czy było mu czegokolwiek żal. Ani przez moment nie prag-

nać wyznać mu prawdy. Prawda mi nie ciążyła. Nie chciałam, by zaciążyła jemu na łożu śmierci. Tylko się zastanawiałam. Co on o tym wszystkim myślał.

Któręś ranka w marcu Bill odszedł po cichutku; umarł we śnie, nie robiąc wokół siebie zamieszania. Jakby wyszedł po coś z pokoju, nie mając potrzeby tego rozgłaszać, tak zwyczajnie. Kiedy zjawiłam się w szpitalu, pielęgniarka czekała na mnie przy wejściu na oddział. „Pani Fraser, muszę z panią porozmawiać” — powiedziała. Z twarzą napiętą z zakłopotania poprowadziła mnie do dyżurki. Pewnie sądziła, że się rozkleję, i ta perspektywa wcale jej nie cieszyła, zwłaszcza że oddział był przepełniony i miała masę roboty. Poinformowała, że próbowała do mnie zatelefonować, żeby przekazać wiadomość, ale choć odczekała paręnaście dzwonek, nie podnosiłam słuchawki, bo byłam na targu po owoce dla niego. Słuchałam jej słów i wyobrażałam sobie brzęczący aparat na stoliku w pokoju na dole, raz po raz przerywający ciszę. Rozważałam, czy i w ten sposób go zawiodłam; czy mogłam jakoś mu pomóc samą swoją obecnością, czy powinnam była. Znów skupiłam się na słowach pielęgniarki; mówiła właśnie, że to stało się we śnie, bardzo szybko. Serce przestało bić, mimo że nerki wciąż działały.

Nie płakałam. Nie uroniłam ani jednej łzy. Po prostu siedziałam na krześle w dyżurce pielęgniarek, słuchałam i próbowałam sobie wszystko poukładać. Zostałam wdową, ale że moje pierwsze, sekretne wdowieństwo wciąż było świeże jak otwarta rana, nie mogłam płakać, gdyż opłakiwałabym ich obu, a to nie byłoby uczciwe wobec żadnego z nich. Poszłam za to do jego izolatki; łóżko zostało już oddzielone od reszty pomieszczenia parawanem. Rurki i przewody były odłączone od jego ciała, umyte i odłożone na bok. Z całą pewnością w należyтым porządku. Zgodnie z różańcem kogoś innego. Oczy miał zamknięte, a ręce

skrzyżowane na piersi. Pochyliłam się i ucałowałam je ze łzami. Wiedziałam bowiem, że będę za nim tęsknić; nie z cierpieniem w duszy jak po utracie Roberta, ale z sentymentem, wdzięcznością i pamięcią tego, co było. Z poczuciem, że przebyliśmy razem kawał drogi. Ze świadomością, że rzadko która droga jest łatwa, że w czasie wędrówki idącym targa wiatr i uwierają go buty. Przysiadłam obok mego zmarłego męża. Obok mężczyzny, z którym spędziłam większość swoich dni: przy stole z biało-niebieską ceratą, pod puchową pikowaną kołdrą, na ceglasczerwonych fotelach po Mannym Solomonie; obok mężczyzny, który rok w rok narzekał, że wiosna znowu się spóźnia; który co Boże Narodzenie usiłował przywrócić do życia choinkowe lampki, kręcąc wte i wewte kolorowymi, spiczasto zakończonymi żaróweczkami.

Z którym spędziłam lata, poznając go na wylot. Wiedziałam, że nie lubił mielonego mięsa. Ani żartów. Jakiej używał pasty do zębów. Że wełniane swetry podrażniały mu skórę, chyba że wkładał je na gruby bawełniany podkoszulek z długim rękawem. Że w mroźną styczniową noc, gdy przebudził się z kaszlem, prosił o natarcie mu piersi kamforą i o pastylki do ssania z eukaliptusem i miętą. Jaki miał charakter pisma, tak samo nieporadny na ostatnich kartkach urodzinowych do chłopców, jak na starych rachunkach za naprawy w domu klienta, jakby nigdy do końca nie przyzwyczał się do pióra trzymanego w palcach, jakby zawsze zdumiewała go sącząca się ze stalówki linia atramentu.

Zanim wyszłam ze szpitala, pielęgniarka podała mi jakieś dokumenty do podpisania. Na zewnątrz od razu skierowałam się na przystanek autobusowy; wiatr przeszywał mnie na wskroś, a narcyzy dzielnie opierały się podmuchom i zaciągniętemu szarości niebu. W oczy kłuła ich żółtość i badylasta nagość czarnych gałęzi drzew. Konary

drapały o dach wiaty. Silniejszy podmuch szarpnął lecącym krukiem; ptak rozdarł się przeraźliwie w proteście. Zapinając płaszcz pod samą szyję, w środku czułam dziwny spokój. Opłakiwałam Billa, ale byłam pogodzona z jego śmiercią. Nogi nie zgięły mi się w kolanach, jak po śmierci Roberta; nie targała mną żałość, nie wyłam w głębi duszy. Czułam ulgę i wdzięczność, że nie cierpiał; że mogłam opiekować się nim do samego końca; że dane mi było przejrzeć jego rzeczy i zorganizować pogrzeb taki, jakiego by sobie życzył. Robiłam to z miłością, nie z obojętnością obcej osoby, która podnosi ubrania dwoma palcami i bez cienia uczucia wsuwa zegarek czy fotografię do brązowej koperty, co jak wiedziałam, stanie się kiedyś udziałem przedmiotów pozostałych po mnie.

Na pogrzeb przyszło paru jego kolegów z pubu Pod Koroną i współpracownicy ze spółdzielni usługowej. Jakaś kobieta z pubu, która zajmowała się organizowaniem turniejów gry w rzutki. Wyglądająca trochę jak ja, ale niezupełnie; używała ostrzejszego makijażu, miała bardziej zacięte usta. Nosiła buty na nieco wyższym obcasie, z paskiem wrzynającym się w kostkę. Obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem z góry na dół, powiedziała, że był dobrym człowiekiem, ale z wyższością, jakbym mogła nie zrozumieć, o czym mowa. „Czy to nie dziwne” — dodała — „tyle lat, a ani razu pani u nas nie widziałam”. Rzeczywiście, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby wybrać się do pubu z Billem. „Powiadał, że jest pani zajęta swoimi sprawami. I to bardzo”. Oczywiście lekko rozbłysły przy ostatnich słowach, a ja rozważałam możliwość, zaledwie przez ułamek sekundy, że coś ich kiedyś łączyło. Rozważałam możliwość, że stoi przede mną opancerzona w swoją wiedzę, w swoją część wiedzy, co bynajmniej mi nie przeszkadzało, ponieważ zmniejszyłoby to moją winę. Ale zaraz odrzuciłam tę myśl, wiedząc, że to niemal nieprawdopodobne; że Bill przeżył swoje ży-

cie w zgodzie z ogólnie przyjętymi zasadami, podczas gdy Robert i ja stworzyliśmy własne na swoje potrzeby.

Nawet teraz, mając ponad osiemdziesiąt lat, wszystko to pamiętam dokładnie, jakby działo się wczoraj. Wspomnienia nigdy mnie nie opuszczają. Mieszkałam na swoim jeszcze dwa lata temu, ale w końcu dałam sobie spokój. Znalazłam dom starców z dużymi tarasowymi oknami, żebym mogła widzieć, co jest na zewnątrz. Nawet jeśli cała się posypię, jeśli zawiodą mnie nogi albo głowa, będę mogła tutaj siedzieć i wyglądać na świat, chłonąc jego światło. Jak na razie wszystko ze mną w porządku, grywam w wista i w domino i czytam książki. Wciąż jeszcze natrafiam na nowe słowa i każdorazowo obracam je na języku niczym pyszny skarb. Wysłuchuję chóru dziecięcego śpiewającego kolędy albo muzyki z taśmy. Daję się czesać fryzjerce w czwartki. Nie przeszkadza mi ustalony porządek dnia; kawa o jedenastej wtaczana na barku na kółkach, letnie mleko ze zbierającym się na wierzchu kożuchem. Przynajmniej gotują tu lepiej niż ja. Ale wszystkie swoje rzeczy prasuję nadal sama, nie mam zamiaru z tego rezygnować, póki zdrowie pozwala. Pastor od Świętej Agaty zagląda do nas raz na tydzień, poklepuje po dłoniach i zagaduje na różne błahe tematy. Moim zdaniem czuć od niego szmalcem i niedosmażonymi jajkami.

To znaczy, tak było aż do dzisiaj; teraz mój pokój wypełnił się obecnością Roberta. Rozłożona na narzucie spoczywa nasza odtworzona przeszłość. Przedmioty tak dobrze mi znane; przedmioty, których nigdy nie widziałam. Swego rodzaju błogosławieństwo udzielone przez Isobel z chwilą, gdy przekazała mi to wszystko po tylu latach.

Nasze „Przewodniki po budowłach sakralnych Anglii”; swojego egzemplarza nie widziałam od tamtego dnia, kiedy wetknęłam książkę w ostro pachnącą ciemną ziemię mogiły. Na pierwszej stronie skreślone pochyłym pismem:

Dla Marty z miłością, Robert. Atrament zdążył zblaknąć przez lata, które upłynęły od pewnego majowego dnia. I te wszystkie obrazy; żadnego z nich nigdy nie widziałam, tylko pierwsze szkice robione w tamte dni, w tamtych miejscach. Wydaję się sobie olśniewająca, srebrzystoróżowa, obsypana lazurowymi płatkami, z klejnotami w dłoniach. Ja, zwyczajna kobieta o grubych łydkach i szerokich biodrach, jestem syreną na plaży z rubinami w wyciągniętej ręce, z berłem żelazka pobłyskującym na piasku.

Na ten widok wzbierają mi łzy pod powiekami. Prowadzony przez niego pamiętnik zapewnia o jego miłości do mnie. Jakbym znów słyszała głos Roberta. Tamtej nocy, po tym jak dowiedziałam się o jego śmierci, nie miałam czego się chwycić, by utrzymać się na powierzchni. Teraz, tyle lat później, moje ręce są pełne.

Czuję wielką wdzięczność dla Isobel, że zdobyła się na coś takiego. Że mając wybór, zdecydowała się przekazać mi to wszystko. Odnajduję dzięki temu swego rodzaju spokój. Jestem pewna, że nie uczyniła tego w gniewie, lecz z wiarą. Że być może chociaż ja kochałam go całą sobą. Bo do czegoż innego w gruncie rzeczy sprowadza się moje życie?

Chcę, by pochowano mnie z tymi przedmiotami; chcę trzymać je przy piersi, gdy będę rozsypywać się w proch. Nie mam nikogo, komu mogłabym je zostawić, nikogo, komu mogłabym o wszystkim opowiedzieć. Nikogo, komu nie przysporzyłabym tym bólu. Kiedy umrę, ta akurat pielęgniarka, której przypadnie zadanie przejrzenia moich rzeczy, znajdzie jasno spisane instrukcje z moją wolą. Jestem niemal pewna, że rzuci okiem, że zobaczy mnie nagą, obsypaną ostróżkami, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, pośród dojrzewającej kukurydzy. Prawdopodobnie pokręci z niedowierzaniem głową, pytając, jak to możliwe. Opowie koleżankom podczas przerwy. „Pomyśleć tylko. I to kto? Marta Fraser...”.

Marta Fraser. Mową i uczynkiem, myślą i ciałem. Kochałam i byłam kochana — tylko to mam na swoje usprawiedliwienie, tylko to tak naprawdę zrobiłam. Pulsowałam miłością, która wypełniała mnie po brzegi.

I tyle tylko powiedziałam, gdy zjrzała do mnie Sheila, nocna pielęgniarka. Moje życie rozpoczęło się wraz z tą miłością.

ROZDZIAŁ 5

Sheila

Czysta od wszelkiego grzechu śmiertelnego

Co za bezwstyd, ktoś mógłby powiedzieć. Z całą pewnością nie tego człowiek się spodziewa, zaglądając do pokojów przed zgaszeniem świateł, sprawdzając, że wciąż sprawni fizycznie już włożyli koszule nocne i piżamy, że na nocnych stolikach nie ma gorących napojów, które mogłyby wylać się i oparzyć rękę sięgającą do włącznika lampki do czytania, że wszyscy są czysti i pachnący, a zniedołężniali podmyci i zabezpieczeni na noc. Muśnięcie okiem, tak lubię o tym myśleć; nie kontrola przeprowadzana we wścibski czy nadto władczy sposób. Wyłącznie fachowość zamaskowana z lekka miłym słowem, ciepłym uśmiechem; upewnienie się, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Sprawiają mi przyjemność te nocne obchody, uważne i taktowne w moim wykonaniu. Dlatego, wypatrując kubka z kakao ustawionego na krawędzi blatu albo kabla od lampki zwisającego luźno i grożącego upadkiem w środku nocy, poczułam się doprawdy zaskoczona, gdy mój wzrok padł na obrazy, do tego akty, olej na płótnie, ukazujące w tak jawny sposób pożądanie i poznanie; na nagość, którą mogę określić tylko mianem niemedycznej. Nie jestem pruderyjna, przynajmniej taką mam nadzieję. Aczkolwiek nie mogłabym z czystym sumieniem powiedzieć, że ten aspekt

życia jest mi dobrze znany, z całą pewnością nie należę do świętoszek.

Lata temu, gdy jeszcze pracowałam w szpitalu położniczym, byłoby może inaczej. W pewnym sensie czuło się tam seks w powietrzu, i to na okrągło, bo przecież w przeciwnym razie skąd brałyby się te wszystkie ciężarne kobiety? Tam nie było niedomówień; obrzmiałe kobiece ciała, wypełnione płynami i krwią, pulsujące, prące i skręcające się z bólu. Poznawało się, nawet jeśli człowiek tylko zmienił prześcieradła na łózkach, że głównie chodziło o seks, o życie, krew i różowość. Tam zapewne obrazy takie jak te nie zwróciłyby niczyjej uwagi, nie pośród tego wszystkiego.

Ale tutaj, w domu starców? Opieka geriatryczna to coś zgoła odmiennego. Czasem zdaje mi się pośród panującej tu powszechnej bladeści, że tamta możliwość w ogóle zniknęła. Co dzień patrzę na wargi zblakłe do barwy herbacianych róż, na wodniste oczy nieokreślonego koloru otoczone przez białe obwódki niczym żółtko kurzego jajka, na sine żyły przypominające kreski wyblakłego atramentu albo przykurzone dżdżownice. Czeszę włosy przeredzone, przygaszone do siwizny albo mleczej bieli. Myję pachy, których trzyma się ostatnia kępka włosków. Natłuszczam szorstką skórę, która dawno przestała być różowitką, zamieniła się w pergamin. I trudno mi sobie wyobrazić te skurczone, wysuszone ciała mężczyzn i kobiet — nawet tych, którzy wciąż potrafią od czasu do czasu zażartować albo uraczyć mnie oklepaną opowieścią wydobywającą się spomiędzy pomarszczonych od powtórzeń warg — trudno mi je sobie wyobrazić takie, jak na wspomnianych obrazach. Pracuję tutaj z zanikającymi, tak lubię o nich myśleć; zanika najpierw ich fizyczność, potem umysł, a wreszcie samo życie. A te obrazy, o, one nie są wcale o zanikaniu. Nawet ja potrafię to dostrzec.

I pewnie dlatego rozłożone w wachlarz rzeczy Marty tak mną wstrząsnęły. Nie chodzi zresztą tylko o nagłe zrozumienie, że wszyscy pensjonariusze byli kiedyś innymi ludźmi, pełnowymiarowymi osobami, ale również, przyznaję, o jej wiek (gdyż to nie kto inny jak ona) na obrazach. Wygląda na nich na sześćdziesiątkę, czyli miałyby wówczas pięć lat mniej niż ja teraz. To dało mi najbardziej do myślenia. Zazwyczaj siedzę sobie w dyżurce, błędząc bezmyślnie wzrokiem po tablicy ze światełkami, czekając, aż któreś się zapali, by wezwać mnie do potrzebującego, albo aż rozlegnie się sygnał dzwonka przypominającego, że trzeba obrócić na drugi bok chorych po udarach, żeby nie dostali odleżyn. Tak, zazwyczaj na nocnym dyżurce panuje cisza i spokój. Trwam na posterunku przy biurku — choć niektóre pielęgniarki wybierają miejsce na fotelu, ja nigdy nie ulegam pokusie, gdyż łatwo wtedy wpaść w objęcia Morfeusza, nie zauważyć światełka lub przegapić dzwonek, i rankiem przekonać się, że popełniło się błąd w sztuce, zobaczyć, jaki jest efekt niewielkiego, niezamierzonego zaniedbania wynikłego z tego, że człowiek poddał się miękkości starego wyściełanego fotela — zatem siedzę przy biurku, najczęściej z kubkiem dobrej herbaty, czasami z robótką na drutach, bardzo rzadko z układanką bądź krzyżówką. Doświadczenie nauczyło mnie, że na nocnej zmianie bardzo ważne jest, aby utrzymać mózg w gotowości, aby myśleć jasno i szybko, wtedy gdy to będzie potrzebne (jak na przykład wówczas, kiedy pani Walker przewróciła się i złamała sobie biodro, i dzięki mnie znalazła się na izbie przyjęć szpitala w ciągu kwadransa od upadku).

Tymczasem dzisiaj rozmyślam o Marcie. Co za niespodzianka, w gruncie rzeczy cała masa niespodzianek. Przede wszystkim dlatego, że Marta zawsze wydawała mi się skryta; jest raczej milcząca, a już na pewno nie papie na lewo i prawo o swoich intymnych sprawach, mimo to

jednak nakryłam ją, jak patrzyła na siebie w roli syreny, i to tak, jakby chciała wchłonąć każdą plamkę farby z jej starych, belowatych nóg zmienionych w połyskliwy rybi ogon. Spoglądała na ten obraz, zupełnie jakby nigdy wcześniej go nie widziała albo może jakby przeniosła się za jego sprawą do tamtego dnia, kiedy został namalowany, do miejsca, gdzie został namalowany, a najpewniej do osoby, która go namalowała. Siedziała na swoim łóżku, sprawiając wrażenie, że czuje smak słonego wiatru wiejącego od morza, i zdawała się od tego jaśnieć. Przypatrywałam się i jej, i równocześnie obrazowi, zastanawiając się, dlaczego pośród kamieni na plaży leży żelazko, ale nie takie zwykłe, tylko srebrzyste i naprawdę piękne, przypominające raczej berło aniżeli przedmiot służący do prasowania. Płótno ociekało erotyką, odbierałam to przez skórę, bo nie należę do osób z wyczulonym okiem na sztukę, i było w nim coś jeszcze, poznanie, tak, to chyba było to, dogłębne poznanie. Czasem zdarza mi się oglądać w telewizji programy, w których goście analizują przez dziesięć minut jakiś obraz — zawsze jest w nim więcej, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka — i na ogół prędzej czy później pada parę słów o tym, czy malarz znał modelkę, czy to była obca mu osoba albo na przykład córka. Cóż, nie mogłabym wziąć udziału w takim programie, ale wiem jedno. Ten kto namalował te obrazy, znał Martę, i to tak, że raczej nie sądzę, by byli małżeństwem przez czterdzieści lat, przyzwyczajeni do swojego widoku co rano przy wkładaniu ubrań i zawiązywaniu sznurówek butów.

Szczególnie że sama powiedziała do mnie: „Moje życie rozpoczęło się wraz z tą miłością”, i to tak pewnie, jakby wszystko co było przedtem, zblakło, utraciło znaczenie. Usiłuję wyobrazić sobie ten nowy początek wtedy, teraz, w moim wieku, podczas gdy ja wykluczyłam go już przed wielu laty. Kiedy rozważam siebie, swoje małżeństwo

z Henrym, to co robimy, co ja lubię robić, wydaje mi się nie do pomyslenia, niemożliwe nawet, wyobrażenie, żebym leżała z płatkami ostróżki na starych piersiach albo trzymała w dłoniach misę z jędrnymi, błyszczącymi wiśniami jak jakaś istota z greckiego mitu. Zwłaszcza teraz, kiedy najbardziej ze wszystkiego lubię zasiąść przed telewizorem z kubkiem herbaty i pooglądać „Coronation Street” albo wybrać się na spacer po parku z papierową torebką landrynek i patrzeć, jak na koniec Henry starannie zwija ją w kulkę, nim włoży do kieszeni. A latem pojechać na całodniową wycieczkę na Brownsea Island, popłynąć promem z Poole, trzymając na kolanach koszyk piknikowy z kanapkami poprzekładanymi równiutko pociętymi pomidorami, plasterkami szynki i majonezem i ciasno zapakowanymi w sreberko, podwinięte i pomarszczone na brzegach. Nie myślę o tej części swego życia jak o końcu, ale z pewnością też nie jako o początku, przynajmniej nie w tym znaczeniu, które miała na myśli Marta. Raczej jako o zwieńczeniu, o kresie drogi, którą przebyliśmy razem z Henrym.

Myślę, że nasze początki nie mogły się bardziej różnić. W gruncie rzeczy w moim życiu zawsze był tylko Henry. Przed nim całowałam się tylko z jednym mężczyzną; zapamiętałam z tego kłującą brodę, przetrawioną whisky i wydatną dolną wargę. Patrząc z perspektywy, sędzę, że to przelotne wrażenie znacznie ułatwiło sprawę Henry'emu.

Spotkałam go w parku podczas przerwy, kiedy jeszcze uczyłam się na pielęgniarkę. On pracował już wtedy w biurze w okolicy i miał w zwyczaju jeść drugie śniadanie, siedząc na ławce nad stawem, skąd mógł obserwować pływające kaczki. Ja przysiadłam na innej ławce, najczęściej w towarzystwie mojej koleżanki Rosemary, z którą zaśmiewając się, opowiadałyśmy sobie o starszawych lekarzach i surowych siostrach przełożonych ze szpitala, gdzie odbywałyśmy praktyki; zauważyłam, że on siedzi zawsze sam,

czasem czyta gazetę, a kanapki ma zawsze starannie owinięte w gruby papier śniadaniowy.

Najbardziej jednak rzuciło mi się w oczy, jak bardzo jest schludny w swoim gabardynowym prochowcu, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami. Przechodząc w pobliżu jego ławki, dostrzegłam, że ma niezwykle czyste dłonie, bez śladu żałoby za paznokciami, i nie mogłam się nadziwić, że nieodmiennie składa po wielekroć otłuszczony papier, po czym umieszcza go spokojnym ruchem w koszu na śmieci. Po raz pierwszy odezwał się do mnie, kiedy Rosemary nie przysłała na zajęcia, bo złożyła ją przeziębienie. Był bardzo uprzejmy; spytał, czy nie miałabym ochoty przespacerować się z nim dokoła stawu. Pamiętam, że rozmawialiśmy o kaczkach krzyżówkach i o tym, że tego roku liście wcześniej zaczęły opadać z drzew.

Opowiedział mi trochę o sobie — że mieszka tylko z matką, a jego ojciec umarł w młodym wieku — i już tydzień później zaprosił mnie do domu na niedzielny obiad, zapewniając, żebym niczym się nie martwiła i po prostu przysłała, z pustymi rękami. Otworzyła mi jego matka i natychmiast obrzuciła mnie spojrzeniem z góry na dół, z rodzaju tych, które przewiercają człowieka na wylot. Nie powiem, żeby miała się do czego przyczepić. Gdybym dostała zadanie, by opisać siebie z tamtych lat, zaczęłabym od tego, że byłam prawie ładna, zawsze porządnie ubrana i że największą wagę przywiązywałam do butów. Zresztą do tej pory pantofle, które noszę, kosztują więcej, aniżeli powinny. Przywitała mnie dość sztywno, po czym zaprosiła do środka, gdzie zdumiałam się panującym półmrokiem, grubością firan i liczbą roślin w donicach; długie, ciemnozielone z jaśniejszym pasem liście zielistki zdawały się zaduszać pomieszczenia, czyniąc je jeszcze ciemniejszymi.

W kuchni Henry uśmiechnął się do mnie na powitanie, nie przerywając nakrywania do stołu. Nie uszło mojej

uwagi, z jaką precyzją układała sztuce, dotykając trzonków łyżek, noży i widelców opuszką kciuka, aby sprawdzić, czy znajdują się we właściwej odległości od siebie i od krawędzi stołu. Zapytałam, czy mogę w czymś pomóc, i w odpowiedzi usłyszałam, że mogłabym przyrządzić sos do mięsa, gdyż — jak się wyraziła matka Henry'ego — nie ma przydatniejszej umiejętności nad umiejętność zrobienia dobrego sosu do obiadu. Przypuszczam, że w tym stwierdzeniu jest więcej mądrości, aniżeli byłam skłonna przyznać wtedy, w jej kuchni.

Stałam więc przy piecu, rozgniatając cebulkę, na której dusiło się mięso, dolewając do rondla wodę z kartofli i mieszając wszystko drewnianą łyżką. Po obiedzie Henry i ja poszliśmy na spacer tylko we dwoje, a kiedy zbierałam się do powrotu do domu, pocałował mnie na pożegnanie w policzek. Jak układnie, oceniła Rosemary, gdy nazajutrz jej o wszystkim opowiedziałam. Z perspektywy czasu wiem, że nie była taka mądra i doświadczona, jak jej się wydawało.

Henry poprosił mnie o rękę w dwa miesiące później, gdy siedzieliśmy na jego ławce w parku pewnego chłodnego listopadowego dnia, a ja pomyślałam sobie tylko, kiedy mi się oświadczył, jak przyzwoitym jest człowiekiem, jakim czystym i nieśmiałym. W przeciwieństwie do mojego hałaśliwego ojca, który pojawiał się w domu pod wieczór śmierzący piwem i moczem, także w wolne dni, co widząc moja matka wzdychała i szeptem powtarzała mi, bym bez względu na wszystko za nic w świecie nie poślubiła mężczyzny z pociągiem do alkoholu. Być może, aczkolwiek nie jestem tego pewna, myślałam, że kimkolwiek jest Henry, nie okaże się alkoholiczkiem. Na razie był dla mnie mężczyzną w schludnym gabardynowym prochowcu, pachnącym mydłem i pastą do butów, lubiącym, by sztuce leżały równiutko na stole.

Powiedziałam „tak”, podczas gdy wiatr hulał wokół ławki, a moje palce, splecione ciasno na podołku, siniały z zimna, zobaczyłam bowiem przed sobą schludne, bezpieczne życie; Henry'ego z szyją owiniętą szalikiem w zimowe dni, sos sporządzony wedle receptury jego matki polewany na niedzielne pieczenie przez lata, klapę toalety, jak przypuszczałam, zawsze suchą i opuszczoną.

Nie miałam pojęcia, czego dokładnie się spodziewać w noc poślubną; aczkolwiek wiedziałam dość, by zdawać sobie sprawę, że to co zaszło, nie było naturalne. Gdyż, mówiąc wprost, nie wydarzyło się zupełnie nic. Spoglądając wstecz, nie dziwię się swojej niepewności. W tamtych czasach — była końcówka lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku — dochodziły nas słuchy o ludziach żyjących w sposób, by tak to ująć, bardziej nowoczesny, ale myśmy się do nich nie zaliczali. Nie, my po prostu leżeliśmy obok siebie pod kołdrą okrytą zieloną żakardową narzutą, ja czekając w ciemnościach z rękoma ułożonymi płasko na brzuchu, z wyschniętym na wiór językiem, z głową lekko obróconą ku Henry'emu, mając nadzieję, że będzie wiedział, jak zacząć. Jako pielęgniarzka orientowałam się, jakich znaków wypatrywać, toteż zerkałam w jego stronę, na środek łóżka, próbując ocenić, czy to już. Lecz nie. Henry przysunął się bliżej, objął mnie i zaczął całować ze złączonymi wargami, dość jasno dając do zrozumienia, że nie powinnam się obawiać niczego bardziej inwazyjnego. Pamiętam, że sięgnęłam pod kołdrę i dotknęłam go tuż ponad gumką od spodni piżamy, myśląc sobie, że okaże mu, iż nie przerazi mnie, gdy sprawy potoczą się w tym kierunku, ale zaraz poczułam, jak wciąga brzuch i odsuwa się ode mnie, tak wyraźnie ode mnie odsuwa, że zaraz cofnęłam rękę i pozwoliłam się dalej całować w sposób, który przypominał mi dwa konie szturchające się pyskami ponad ogrodzeniem na pastwisku; była to styczeńność swego rodzaju, ale raczej nie

to, na co kobieta ma nadzieję, leżąc w najlepszej małżeńskiej nocnej koszuli, czyściutka jak łąza.

Co noc ta sama niezręczność, ten sam spokój, to samo „Dobranoc, kochanie”, po którym czuł się zwolniony z dalszej rozmowy i uważał, że może natychmiast zasnąć. Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach jest inaczej; nie potrafię sobie przypomnieć, by ktoś nagabywał Sarę, czy jest już w ciąży, kiedy ona i Michael spodziewają się powiększyć rodzinę. Myślę, iż wszyscy jesteśmy świadomi, że para może właśnie przechodzić terapię in vitro albo że kobieta stawia ponad życie rodzinne swoją karierę zawodową, i zwyczajnie krępujemy się pytać otwarcie. Ale wtedy nikt nie bawił się w subtelności; pół roku po ślubie i podobne pytania były na porządku dziennym. Mogłam stać w sklepie, z torbami pełnymi kartofli i brukselki, i nagle usłyszeć, jak ktoś mieszkający przy tej samej ulicy dopytuje, czy mam już dobrą nowinę, albo napomyka o malusich bucikach, bądź kątem oka zauważyć, jak spogląda na mnie z ukosa fachowym, wiele mówiącym spojrzeniem. Za każdym razem (z jakiegoś powodu wszystkie te wspomnienia pachną gotowaną brukselką, choć rzadko kupowałam to warzywo) uśmiechałam się grzecznie i odpowiadałam: „Ależ nie, nie, skądże...”, chichocząc z zażenowaniem i wciąż czując na skórze tynkturę minionej nocy, oschłej jak wszystkie.

Któregoś wieczoru Henry w roztargnieniu wszedł do łazienki, gdy brałam kąpiel. Wstałam szybko, nietaktownie, chyba zamierzałam sięgnąć po ręcznik, a że akurat miałam okres, pod wpływem nagłego ruchu kropla ciemnej, gęstej krwi spadła mi na udo. Po wyrazie twarzy Henry'ego widziałam, że go to zbulwersowało. Przytknął dłoń do nosa, jakby chciał zapobiec przedostaniu się do nozdrzy mojego zapachu, w oczach miał trwożę, jakby właśnie zobaczył, że wyslizgują się ze mnie wnętrzności. Równoległe z narastającym szokiem usiłował ze wszech sił maskować swoją reak-

cję; niezdarnie szukał całków do paznokci czy czegośkolwiek innego, co go tam przywiodło akurat w tej chwili, po czym pośpiesznie opuścił łazienkę, starając się, by nie wyglądało to na ucieczkę. Cóż z tego, skoro zdażyłam dostrzec wyraz jego twarzy, odruchowy gest obrzydzenia, przerażenie w oczach. Nazajutrz, siedząc tylko z Rosemary w dyżurce i popijając kawę, na czubku języka miałam pytanie, czy i jej mąż patrzy czasem na nią tak, jakby go od niej odrzucało.

W lutym, kiedy byliśmy małżeństwem prawie półtora roku, udałam się do doktora Hartleya, naszego lekarza rodzinnego. Siedziałam w jego poczekalni, zastanawiając się, jak mam ubrać to wszystko w słowa: swój wstyd z powodu nijakich, mdłych nocy walczący z pragnieniem posiadania dziecka, pragnieniem nagłym i natrętnym niczym młody pęd. Potem zasiadłam przed lekarskim biurkiem i mnąc rękaw swetra, wyrzuciłam z siebie ciche słowa, które ze stukotem upadły na ziarnistą fakturę blatu: „Chodzi o to, panie doktorze, że bardzo chciałabym mieć dziecko, a tymczasem nic się nie dzieje, mija miesiąc za miesiącem, a ja nie jestem w ciąży”. Tak jak było do przewidzenia, zapytał, czy nie ma „żadnych problemów na froncie pożycia”. Otrzymałam szansę, by wyrzucić z siebie resztę, opowiedzieć o skubiących, suchych pocałunkach, o odwróconych do mnie plecach Henry'ego, o tym, że mąż odsuwa się ode mnie, ilekroć próbuję go dotknąć w łóżku. Miałam możliwość odsłonić przed lekarzem prawdę (stawianie namiotu, tak nazywałyśmy to z koleżankami na oddziale; miałam możliwość powiedzieć doktorowi Hartleyowi, że Henry i ja nigdy nawet nie dotarliśmy do tego etapu), a zarazem czułam opór, gdyż jak mogłabym wyjawić coś takiego i nie naruszyć godności mojego męża? Zwłaszcza że co noc, leżąc w łóżku bez ruchu, czując coraz większą frustrację i łaknienie dotyku na skórze, byłam pewna, że słyszę czułość, miłość w głosie Henry'ego, gdy życzył mi dobrej

nocy, czasem także trzymając mnie za rękę podczas zasypiania. Odnosiłam wrażenie, że zasiadłam naprzeciwko doktora Hartleya, mając na kolanach przeciekający tobół wstydu, wstydu, który kapał mi na nogi, brudził delikatną skórkę moich pantofli. Nic dziwnego więc, że usłyszałam siebie, jak wyraźnie, spokojnie, pewnie mówię kłamstwo, które opuściło moje gardło niczym nieostrożnie połknięty obły kamyk: „Nie, panie doktorze, na tym froncie wszystko w porządku, zastanawiałam się raczej, czy może coś jest nie tak z jednym z nas”. W odpowiedzi lekarz poradził mi, żebyśmy próbowali przez kolejne sześć miesięcy, i zaprosił do siebie za pół roku. „Wtedy porozmawiamy, gdy nadal nie będzie efektu” — obiecał.

Wciąż trzymam gdzieś swoje zdjęcie z mniej więcej tamtego okresu, zrobione w zakładzie fotograficznym, jak należy. Zdaje się, że był to prezent urodzinowy od Henry'ego. Jestem na nim ubrana w cytrynową sukienkę — co zdumiewa mnie za każdym razem, gdy patrzę na tę młodszą siebie. Fotografia jest czarno-biała, więc oczywiście nie widać na niej koloru, ale ja mam dobrą pamięć. Wyglądam na niej jak landrynka, tyle że bez płynnej słodyczy w środku. Włosy mam skręcone w drobne loczki, dłonie ułożone na podołku, a patrzę gdzieś w lewo, chyba imitując pozę przybieraną na fotosach przez moje ulubione aktorki. Kiedy teraz czasem spojrzę na to zdjęcie, myślę sobie, że przedstawiona na nim dziewczyna wydaje się niezwykle schludna i mała. Mała nie w znaczeniu wielkości, tylko kobiecości. Zdecydowanie żadna femme fatale, tak chyba można by to ująć. Bez obfitego biustu, który by zapowiadał plenność i upojne noce. Tak wyobrażam sobie dziewczynę, którą każda matka powitałaby chętnie jako synową, gdyż nie stanowi ona zagrożenia, nie przywołuje natychmiast obrazów rodem z sypialni, wygibasów giętkiego ciała, splątanych kończyn i drgających bioder. Po prostu miła, rozsądna młoda

kobieta ze starannie ułożoną fryzurą i w skromnej, chociaż niefortunnie cytrynowej sukience. Co najważniejsze — puste naczynie, w które można przelać przepis na tradycyjny sos do mięsa. Teraz wiem, że jeśli w tamtych czasach człowiek urodził się starszym rodzicom, mając szesnaście lat kończył dzieciństwo i od razu zaczynał wiek średni. Moi rodzice wprawdzie tylko wyglądali jak staruszkowie z książeczek dla dzieci, ale moje piersi w okamgnieniu nabrały rozmiarów w sam raz, by zmieścić się w przyzwoitego rozmiaru bluzkę. Kiedy widzę dzisiejszych nastolatków, w džinsach, które ledwie zakrywają im przyrodzenie, z obnażonymi i obowiązkowo przekłutymi kolczykiem pępkami, w obcisłych bawełnianych koszulkach zdających się wyrastać z ich żeber, nie potrząsam z dezaprobatą głową ani nie mówię, jak moja przyjaciółka, Mary Poole, że to hańba i gdzie się podziała cała tajemniczość. Uważam bowiem, że właśnie tajemnica wokół spraw związanych z cielesnością napytała mojemu pokoleniu biedy i że młodzież dzisiaj świetnie sobie radzi bez niej, korzystając z życia.

Pół roku po pierwszej wizycie odwiedziłam gabinet doktora Hartleya ponownie. Pewnego słonecznego sierpniowego dnia usiadłam naprzeciwko niego, usiłując wypchnąć z pamięci wspomnienie sprzed paru tygodni, kiedy przebudziwszy się ze snu w środku nocy, pośród nagrzanego powietrza, jakie zdarza się tylko w jedną czy dwie noce w roku, w czerwcu albo w lipcu właśnie, gdy wszystko wokół zdawało się jedwabiste w dotyku, a moja skóra lekko wilgotna i lepka pomimo otwartych okien, przez które do sypialni wpadały promienie słońca, pomyślałam sobie: teraz albo nigdy, i sięgnęłam do wnętrza jego piżamy, wzięłam go w dłoń, mając nadzieję na jakąś reakcję, na to, że może przygarnie mnie i nareszcie to się stanie. Tymczasem Henry położył tylko rękę na mojej dłoni, delikatnie mnie odpychając, rozwierając moje palce, jakbym była niegrzecznym

dzieckiem w sklepie, które zignorowało tabliczkę z napisem **NIE DOTYKAĆ!**, po czym głosem niemal cierpiącym, przynajmniej mnie taki się zdawał, powiedział: „Sheilo, kochanie...” i już odwracał się do mnie plecami, pozwalając, by zapadła pomiędzy nami cisza przytłaczająca niczym lawina śniegu. Wtedy zrozumiałam, tyle lat temu, że ta część naszego związku nigdy się nie zmieni, że Henry nie seksu ode mnie oczekiwał. Leżąc dalej bezsennie (noc była taka gorąca i parna, że — mogłabym przysiąc — przez okno wpadał do środka zapach kwiatów z ogródka sąsiadów, a w powietrzu czuło się miękkość i słodycz, i dziwny bezruch), zrozumiałam, że w głosie Henry'ego oprócz cierpienia była też miłość — „Sheilo, kochanie...” — tyle że nie ten rodzaj miłości, na który liczyłam, który umożliwiłby mi spojrzenie doktorowi Hartleyowi prosto w oczy i stwierdzenie z dumą, że jednak się udało, że wydaje mi się, iż jestem w ciąży. Nie. Siedziałam przed nim ze spuszczonej oczami, czując tamto wspomnienie oplatające mi skórę niczym pajęczyna, po czym nie podnosząc nań wzroku, powiedziałam, że mam już pewność, iż coś jest z nami nie tak, i zapytałam, co proponuje w takiej sytuacji.

Pomyśleć tylko, jaką niewyobrażalną aktywność by to wzbudziło w dzisiejszych czasach; testy na stężenie i żywotność plemników w nasieniu, badanie poziomu hormonów, zastrzyki pobudzające owulację, sztuczne zapłodnienie, wreszcie terapia *in vitro*. Zwiedziłabym dziesiątki klinik, na których ścianach widniałyby zdjęcia poczętych cudem dzieci. Naoglądałabym się kobiet o zaciśniętych szczękach i dłoniach, z oszalałym spojrzeniem, przychodzących sprawdzić, czy ich zarodki zagnieździły się w ścianie macicy, i czujących się, sądząc, jak sito, gdyby się dowiedziały, że maleńkie cząstki życia przeciekły przez nie i zniknęły bez śladu. Jednakże wtedy nikt jeszcze o tym wszystkim nawet nie słyszał. Doktor Hartley zamyślił się na krótką chwilę,

po czym zadał mi pytanie, czy rozważałam adopcję, a ja uchwyciłam się tej możliwości, jak każdy tonący chwyta się koła ratunkowego obiecującego wybawienie.

Wróciłam do domu i z mety podsunęłam pomysł dotyczący adopcji Henry'emu, nie czując ani cienia zażenowania czy skrępowania, nie robiąc najlżejszej aluzji do tematu, którego nigdy między sobą nie poruszyliśmy. Wyglądał tak, jakby miał odchylić głowę do tyłu i wydać przeciągłe westchnienie ulgi. Zabawne, że są w życiu chwile, kiedy słowa, które nie padną, niosą większe znaczenie niż te wypowiedziane na głos; w tym wypadku oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że wybawiam go na dobre z opresji. „Co za wspaniały pomysł” — powiedziała. — „Jak się do tego zabierzemy?”.

Kościelne i świeckie porodówki zwane szumnie domami narodzin, te straszne miejsca pełne nastolatek, surowych matek i sióstr przełożonych, i korektury. Młode kobiety o twarzach barwy serwatki karane za coś, czego nawet nie rozumiały. Patrzyłam na nie, stojąc w holu przy rejestracji, gdy przesuwały się przed moimi oczami: jedna, z brzuszkiem zwartym i krągłym niczym piłka do koszykówki, szła na górę po schodach, uderzając palcami w każdy słupek balustrady jak małe dziecko wysłane spać; druga, z loczkami jak korkociągi i rumianymi policzkami, wyglądająca jak uosobienie wiejskiej hożej dziewczynki, która powinna chodzić po polu i urodzić na świeżym powietrzu, krzycząc wniebogłosy z bólu i radości, snuła się tam i z powrotem w ciszy i ze smutnymi oczami. Najbardziej ze wszystkiego uderzyła mnie sterylność tych miejsc — ta ironia nie umknęła mojej uwadze nawet wtedy — miejsc zalanych przez produkty niepohamowanej chuci i napakowanych stojącymi grzecznie w kolejce niepłodnymi parami, gotowymi brać zaproponowane im niemowlęta jak leci. Kaloryfery, lampy i ściany, wszystko pomalowane tam było na jasnomię-

towy kolor, w jakiś sposób idealnie pasujący do zamysłu przyświecającego takim przybytkom, do zaciętych twarzy personelu, który bez emocji wypełniał swoje obowiązki, na zmianę przywracając czystość i obdarowując grzeszników, tak przynajmniej ja to widziałam.

Kiedy przyprawdzono do nas tamtą dziewczynę, trzymała niemowlę w ramionach tak mocno, że obawiałam się, czy nie trzeba go będzie jej wyrwać. Zdumiało mnie, jak bardzo była młoda — nie mogła mieć więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Trzęsa się cała, drżała jej dolna warga, którą przez cały czas zagryzała aż do krwi. Pamiętam, że zastanowiłam się, gdzie jest jej matka; gdzie była kobieta, której dziecko stało przed nami w nocnej koszuli i z bosymi stopami, oddając całkiem obcym ludziom krew z jej krwi, kość z jej kości. Ta bezwzględność zwróciła moją uwagę wtedy i przypomina mi się także teraz, aczkolwiek nie wystarczyła, abym wyszła stamtąd bez niemowlęcia na rękę. Trawił mnie głód, tak to rozumiem; ogromne pragnienie, aby trzymać, aby mieć dziecko, które mogłabym nazywać swoim. Często myślę o tym, jak sprzeczną mieszaninę emocji prowokowały tamte miejsca; pragnienie posiadania dziecka z jednej strony, z drugiej zaś przerywanie, często wbrew woli matki, pępowiny z nieplanowanym synem czy córką.

Później, w gabinecie, Henry siedział obok mnie i wyjętym z kieszeni wiecznym piórem wypisywał i podpisywał dokumenty, stosując się do wskazówek siostry przełożonej wypowiedzianych monotonnym, kompetentnym tonem. Nie umiałam spojrzeć dziewczynie w oczy, ale nie umiałam też na nią nie patrzeć. Dostrzegłam, że intensywnie się poci, widziałam rozległe mokre plamy pod pachami na materiale nocnej koszuli; jedna z jej piersi puszczała mleko, które pobrudziło rozpinany przód. Czułam się wyschnięta i mała, i okrutna, i trochę tak, jakbyśmy przybijali jej bosc

stopy do drewnianej podłogi. Jakże musieliśmy się jej wydawać dystyngowani; Henry ze swoim wiecznym piórem i ja w zgrabnym pastelowym kompleciku w kontraście do zapoconej, ociekającej własnym mlekiem młodej matki, którą wszakże odróżniała od nas szczerłość. Jej wspomnienie wciąż wywołuje we mnie ból, gdy o niej myślę, co przyznaję, nie zdarzało się ostatnio zbyt często. Ale dzisiaj, po tym co zobaczyłam w pokoju Marty, wszystko to powróciło do mnie falą, tak że nie jestem w stanie zabrać się do rozwiązywania krzyżówki ani robienia na drutach, ani prawdę powiedziawszy, nie chce mi się nawet przyrządzić sobie kolejnego kubka herbaty.

Dziewczyna odpowiadała na pytania zadane przez siostrę przełożoną nieswoim głosem, coraz ciaśniej obejmując zawiniątko z dzieckiem, tak że widocznie pobiełały jej kłykcie, wystąpiły na wierzch żyły. A potem przekazała niemowlę pielęgniarce, która opatuliła je sprawnie białym kocykiem i wręczyła mnie. Jak torbę z zakupami, pomyślałam, czując się tak, jakbym po odstaniu dłuższego czasu w kolejce otrzymała zapakowane sprawunki, podczas gdy matka dziecka odwracała się i wolno wychodziła z gabinetu.

Kiedy opuszczaliśmy budynek, byłam niemal pewna, że słyszę płacz; że gdybym się obejrzała, zobaczyłabym jej zapłakaną twarz w którymś z okien na piętrze. Dlatego zgarbiłam tylko ramiona i spojrzałam w dół, na małą pomarszczoną twarzyczkę, na kroplę mleka zaschniętą w kąciku ust, na kosmyk czarnych włosów na głowie chłopca. Jest cudowny, szepnęłam do Henry'ego, a on uśmiechnął się, pocałował mnie w policzek i powiedział: „Tak bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa”.

Nadałam mu imię Michael i pozwoliłam zamknąć się w kokonie opieki nad nim, kokonie namotanym niczym pajęczce gniazdo, a otulającym nas troje. Układałam go

pomiędzy nami na łóżku, z maleńką dłonią zaciśniętą na moim palcu, z podeszwami stópek rozpierających się o moją drugą rękę. Jego pojawienie się uwolniło mnie i Henry'ego z pułapki małżeńskich nocy. Nagle nasza czystość, nasza wstrzemięźliwość zaczęła się zdawać jak najbardziej na miejscu, niemal uświęcona, skoro w łóżku pachniało teraz małym dzieckiem, zasypką i świeżo uprasowanymi tetrowymi pieluszkami.

W naszą pierwszą wspólną wiosnę Henry przekopał część ogrodu i założył kwietnik. Nim nastał lipiec, na rabatach zrobiło się kolorowo od masy ostróżek, chryzantem, piwonii, maków. Usadzałam Michaela w wysokim krzeselku i wyglądałam za kuchenne okno, widząc wszystkie rośliny, chłonąc barwy i zapachy, i ruch. Brałam go na ręce i wychodziłam na zewnątrz, by kroczyć wąskimi alejkami, pokazywać różne kolory i nazywać je, od czasu do czasu wypatrując też jakiegoś ptaszka; myślałam, że ze szczęścia pięknie mi serce. Do dziś mnie zadziwia, jak prędko go sobie zawłaszczyłam, uczyniłam własnym. Wydaje się, że tak długo wdychałam jego dziecięcy zapach, przyciskałam go do piersi, przytulałam do skóry, że w pewnym momencie niemal uwierzyłam, iż wydałam go na świat. Dziewczyna z oczami pełnymi przerażenia blakła w mojej pamięci, zacierając się na krawędziach, aż w końcu stała się niewyraźna i nieważna.

Kochałam go, każdy jego centymetr w każdej minucie. Mam co do tego niezachwianą pewność, tak jak miałam ją wtedy. Nie był tylko dzieckiem, zwykłym niemowlęciem; przechylił szalę, tak że wszystko nabrało sensu i zaczęło wydawać się takie, jak trzeba. Umiałam już kochać Henry'ego, cieszyć się jego obecnością bez tego ciągłego uczucia niepokoju, bez podejrzenia, że coś jest nie tak, nie tak, jak być powinno. Michael stał się liną, która utrzymywała konstrukcję naszego małżeństwa w pionie, bodźcem, który

uczynił mój krok znów sprężystym. Stałam z nim w kolejce w sklepie po jabłka i marchew i pozwalałam starszym paniom gładzić go kciukami po pызatych policzkach, uśmiechając się z dumą, gdy mówiły, że zdrowo się chowa.

Wciąż bardzo wyraźnie pamiętam wszystkie ważniejsze chwile; Michael kolebiący się na swoim błyszczącym niebieskim rowerku, Henry biegnący tuż za nim nieco z boku i trzymający za spód siodełka i ja, klaszcząca w dłonie w któryś z chłodnych lutowych poranków, wołająca: „Jedź, jedź, widzisz, już jedziesz sam, bez niczyjej pomocy!” i potem pstrykająca zdjęcie, które mam do tej pory: stoi obok roweru z jednym palcem na dzwonku, w granatowej budrysówce i szaliku, który zrobiłam dla niego na drutach.

Lepszego ojca dla niego niż Henry nie mogłabym sobie wymarzyć. Był cierpliwy i łagodny, wiecznie robił dlań jakieś drobiazgi w szopie, skąd dochodziły odgłosy uderzania młotkiem, a potem znienacka w ogródku zawisało coś w rodzaju podniebnego mostu, duma Michaela, tak że byłabym ucałowała za to Henry'ego z całych sił, gdybym wiedziała, że tego właśnie oczekuje. W piątki zabierał go do biblioteki, skąd wracali z książkami takimi jak „Jaskółki i Amazonki”; potem czytał mu przed kominkiem, trzymając go sobie na kolanach, podczas gdy ja robiłam dla nich gorącą czekoladę i przynosiłam im parujące kubki, myśląc o swoim zapitym, ryczącym ojcu i o tym, jak w piątkowe wieczory walił w drzwi, domagając się, by go wpuścić, a matka chowała nas w spiżarni, chcąc oszczędzić nam jego ciężkiej ręki.

Piątkowe wieczory nieodmiennie kojarzyły mi się z kwaśnym zapachem piwa i gniewu i uczuciem, że wiadro ze szczotką gniecie mnie w stopę, a półka z mąką i cukrem wciska mi się w ucho, podczas gdy matka za drzwiami, poruszając się szybko i zwinnie niczym ptaszek, przemawiając przymilnie, uspokajająco, próbuje zawlec go na górę,

i tylko gdzieś na krawędzi jej głosu pobrzmiwała cienka nuta strachu, a wcześniej, kiedy zamykała za nami drzwi spiżarni, widziałam, jak przykłada dłoń do gardła i na szyi pulsuje jej gruba żyłka, było też coś nerwowego w tym, jak przełykała ślinę. Okrywałam młodszą siostrę kocem i kazałam jej spać, sama zaś siadałam z kolanami przyciągniętymi pod brodę, aż kość zgrzytała o kość, i czekałam, by mama przyszła po nas i zaprowadziła nas z powrotem do łóżka, a w ich sypialni rozległo się wreszcie donośne, odrażające chrapanie ojca. Zatem kiedy szłam z kuchni z kubkami gorącej czekolady i zastawałam ich dwóch przytulonych, Michaela zasłuchanego w głos Henry'ego czytającego o łódkach na jeziorze i kanapkach szykowanych na piknik, byłam gotowa paść na kolana i dziękować za wszystko. Za syna o pyzatyh policzkach i długich rzęsach, chłonnącego opowieść z wypiekami na twarzy, jakby widział wszystko własnymi oczami, za Henry'ego, który był zawsze dla mnie dobry i delikatny i który jakimś cudem wyleczył mnie z koszmarnych wspomnień tym spokojnym czytaniem naszemu dziecku. Potem nagle oboje byliśmy już po trzydziestce, Michael szedł do gimnazjum i trzeba było kupować podręczniki do nauki łaciny i przybory do nauki geometrii w niebiesko-złoty metalowych płaskich pudełkach, i przeprowadzić się do innego domu, gdzie moglibyśmy parkować auto przed drzwiami frontowymi.

Pewnego dnia, kiedy wróciłam do domu po porannej zmianie w szpitalu i rozpakowywałam zakupy, żeby zabrać się do robienia obiadu, na który miała być zapiekanka z mięsa i kartofli, uderzyła mnie myśl, że oto mam trzydzieści siedem lat i jestem wciąż dziewczyną, nie mam pojęcia o seksie i o tym, jak może wyglądać fizyczna bliskość między mężczyzną i kobietą.

Tylko raz był ktoś, noszowy w szpitalu, wielki jak góra mężczyzna zdolny przewieźć najcięższego chorego, pcha-

jąc go jednym palcem i gwizdząc przy tym pod nosem. Kiedyś słałam łożko na kółkach dla pacjenta po operacji, którego właśnie on miał dostarczyć na oddział, i pamiętam, że posłał mi spojrzenie nabrzmiałe obietnicą, było coś w błysku w jego oku, co zachęcało, by odzwajemnić uśmiech, a gdy lekarz odbywający staż dostrzegł to i zapytał: „Ciekawe, dlaczego pacjenci Sheili zawsze są przywożeni w try miga?“, noszowy zaśmiał się tubalnie i odpowiedział, że jestem warta dodatkowego wysiłku. Zastanowiłam się wtedy przelotnie, jak by to było spać obok niego nocą, z jego ręką na mojej piersi, z jego nogą przerzuconą przez moje biodra. Pewnie klepnąłby mnie w tyłek, kiedy wychodziłabym z łożka rano, i zawołał za mną, żebym przyniosła mu herbaty, podpierając się na poduszkach, z owłosioną klatką piersiową i jedną wielką dłonią podłożoną pod głowę. W łazience znalazłabym czątki do paznokci na podłodze i podniesioną klapę sedesu, pomyślałam i uświadomiłam sobie znienacka, że być może pasujemy do siebie z Henrym bardziej, niż przypuszczałam, aczkolwiek nie zapobiegło to mojemu rumieńcowi, gdy noszowy odbierał ode mnie wózek i nasze ręce się zetknęły.

Później przez jakiś czas, gdy spotykałam go w korytarzu, odruchowo przyśpieszałam kroku, mając w pamięci słowa matki, która często powtarzała „Uważaj, żeby ci się marzenia nie spełniły“. Wiedziałam, że najważniejsze dla mnie jest bezpieczne życie z Henrym i Michaeliem. Czasami, kiedy oglądałam w kinie film, czułam gorąco pełnzące mi w górę dekoltu i lepkość skóry, drobny skurcz podniecenia na widok pary bohaterów całujących się na ekranie, lecz poza tym coś takiego pozostawało w sferze marzeń, nie rozglądałam się za tym jakoś specjalnie. Równie dobrze mogłam nazywać się Zacna. Henry i ja zdawaliśmy się przeżytkami niewinnych lat pięćdziesiątych oblanymi lukrem; on nieco bardziej kanciasty i kruchy niż

kiedyś, ja nieco bardziej zaokrąglona, choć też obwisła, z oczami spokojnymi, lecz również zawsze czujnymi. Krótko przed śmiercią moja matka, siedząc w fotelu i obdarzając mnie tym swoim spojrzeniem, które czasem mówiło więcej niż ona sama, powiedziała nieoczekiwanie: „Z Henry'ego jest taka stara baba”, jakby przez cały czas widziała coś, na co ja pozostałam ślepa; to z kolei przywołało w mojej pamięci jej inne słowa, właściwie pytanie, jakie zadała mi przed dobrymi paru laty („Sheilo, dziecko, co takiego robią ci, no, jak im tam, homoseksualiści?”). Dopiero wtedy, krojąc cebulę na zapiekankę, uzmysłowiłam sobie, że nie dopuszczałam do siebie tej myśli, choć prawdopodobnie od początku chodziło właśnie o to.

Dwa lata później wybraliśmy się na nasz pierwszy urlop za granicę, poleciliśmy samolotem do Hiszpanii, przesiadywaliśmy w restauracyjkach nad brzegiem morza i próbowali paelli i sangrii, a któregoś dnia gdy Michael znalazł sobie do towarzystwa rówieśników i poszedł z nimi na basen, zostaliśmy tylko we dwoje. Obsługiwał nas kelner, którego zachowanie określiłabym wtedy jako afektowane; mężczyzna skakał wokół nas, rozkładał nam serwetki na kolanach palcami roztrzepotanymi jak skrzydła motyla, skrzył w słońcu śnieżną bielą uśmiechu i przylizanymi oleistą substancją czarnymi włosami, a jego sposób poruszania się był, cóż, chyba najlepiej oddałoby go słowo „mizdrzący”, chociaż równocześnie wyczuwało się w nim pewność siebie, jakby doskonale czuł się we własnej skórze; wirował koło stolika, przyjmując zamówienie, potem znikąd wyczarował miseczkę oliwek i teatralnym gestem postawił ją na blacie, a ja przez cały ten czas byłam świadoma podenerwowania Henry'ego, jego wzburzenia, widziałam, jak w kąciku ust wyrasta mu czerwona plama, a dłonie, nietypowo dla niego, zaciskają się w pięści. „Jak można tak się ośmieszać” — sarknął, kiedy kelner wreszcie zostawił nas

samych. — „Co za brak samokontroli, co za brak godności. Całkowita żenada”. Pomyślałam sobie: czy to nie dziwne, że Henry zdobył się na ocenę, na krytykę czyjegoś zachowania, że aż tak go rozdrażnił wcześniejszy pokaz kelnera i że potem zdawał się mocno zmieszany, gdy Hiszpan wrócił i serwując zamówione przezeń danie, lekko dotknął jego ramienia.

Wiele lat później, kiedy Michael już studiował, pojechaliśmy we dwoje na lotnisko, żeby odebrać jego i kolegę po powrocie z kontynentu. Michael usiadł ze mną z tyłu i opowiadał o tym, co widział w Rzymie i Florencji, natomiast Neil zajął miejsce na przednim siedzeniu obok Henry'ego, który prowadził i którego twarz wyraźnie widziałam we wstecznym lusterku. Chłopak zasnął z głową przechyloną na jedno ramię, z włosami rozjaśnionymi przez słońce, z niedopiętą na piersi koszulą, a ja zauważyłam, jak Henry raz, tylko jeden raz, rzucił w jego stronę spojrzenie, ukradkowe i pełne wstydu, z lekko wilgotnymi, drżącymi wargami, po czym natychmiast wydał je i niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. To spojrzenie było niczym niewielki, lecz gorący płomień, nawet ja rozpoznałam w nim pożądanie. Nagły jego przyływ, niechciany i czym prędzej okiełznany. Właśnie wtedy, siedząc na tylnym siedzeniu naszego samochodu i słuchając syna opowiadającego o jakiejś włoskiej katedrze, zrozumiałam po raz pierwszy, że przez wszystkie te lata nie chodziło o mnie, że niechęc Henry'ego nie miała osobistego podłoża, że po prostu nawet gdybym stanęła na rżęsach, nie byłam w stanie dać mu tego, czego naprawdę pragnął.

Lawendowe małżeństwo. Tak to się nazywa, jak dowiedziałam się z jakiegoś czasopisma, kiedy mężczyzna żeni się z kobietą, traktując ją jako zasłonę dymną dla swej orientacji seksualnej. Z perspektywy czasu patrząc, sama się sobie dziwię, że nie ułożyłam klocków tej układanki

wcześniej; było pozornie bez związku pytanie mojej matki, uwaga Henry'ego na temat hiszpańskiego kelnera, jego spojrzenie rzucone w chwili słabości Neilowi podczas podróży samochodem. Z początku zaintrygowało mnie, dlaczego ktoś wybrał akurat słowo „lawendowe”. Czy chodziło o intensywny zapach, który ukrywa inne i może posłużyć za maskę? Czy może raczej o właściwości lecznicze, kojące i uspokajające? Dlaczego, zastanawiałam się, nie nazwano takich małżeństw różanymi albo stokrotkowymi? Jednakże im dłużej o tym myślałam (choć nie jestem psychologiem, uważam, że jeśli jakieś słowo stanowi zadrę, a tym bardziej jeśli ma się odnosić do ciebie, powinieneś przyjrzeć mu się ze wszystkich stron jak drzazdze, która utkwiała w twoim ciele, delikatnie trącić z tej i tamtej strony, aż w końcu pozwolić mu z tobą pozostać, wchłonąć je i zaakceptować), tym bardziej byłam przekonana, że określenie jest właściwe. Rozważałam tę kwestię, ścieląc łóżka, gotując, zmywając, aż z wolna zaczęłam dostrzegać całą masę wyjaśnień. Bo lawenda, gdyby ktoś nie wiedział, zakwitnie na najuboższej, najsuchszej glebie. Przetrwa niemal w każdych warunkach. I jak na roślinę jest niezwykle przemyślna, gdy chodzi o kamuflaż; jej wygląd i faktyczny charakter nie mogłyby mieć mniej wspólnego: słodka siła aromatu jest ukryta nie w kwiatach, lecz w zdrewniałej sztywnej łodyżce. Mimo że niemal zupełnie pozbawiona soków, jest zdolna dać, wskutek suszenia i wyciskania, silny i długotrwały zapach. Woń, która pomaga ludziom zasnąć, która zawieszona w garderobie w lnianych saszetkach odstrasza mole, która wreszcie jest symbolem domowej atmosfery, odnajdywana pośród dawno nie wietrzonych gościnnych pościeli utrzymywanej dzięki niej w idealnej świeżości.

Jestem prawie stuprocentowo pewna, że Henry nie prowadzi drugiego życia. Nie wydaje mi się, aby odwiedzał toalety przy parkingach, zaglądał do barów położonych przy

bocznych uliczkach czy choćby czytywał magazyny tylko dla panów. Sądzę, że zakopał tę część swojej osobowości tak głęboko, że teraz — kiedy ma siedemdziesiąt dwa lata — przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Ale ciekawi mnie, czy kiedy śni, jest wolny czy może raczej pełen żalu albo tłumionej wściekłości. Zwiłżony pomięty ręcznik przyłożony do bolącego miejsca. Którejś nocy w sypialni, będzie już dziesięć lat wstecz, zapytałam go pośród ciemności: „A gdyby tak, no wiesz, może inny mężczyzna?...”, na co odparł mi głosem oschłym i łamiącym się, jakby z trudem hamował łyż: „Nie. Ani teraz, ani nigdy. Jestem żonatym człowiekiem. To mi wystarcza”. Zrozumiałam, czym było nasze lawendowe małżeństwo dla niego: masztem, do którego się przywiązał i który utrzymywał go w pionie i poprawności; który pozwalał mu co rano patrzeć w lustro i napotykać wzrok żonatego mężczyzny. Sięgnęłam ku niemu i ujęłam go za rękę, składając pocałunek na jego skroni; myślałam przy tym o „Jaskółkach i Amazonkach” i o gorącej czekoladzie sprzed iluż to już lat, o kopaniu ziemi na rabaty, o przyborniku majsterkowicza, dzięki któremu powstały podniebne mosty, karuzele i kolejki, a także — zupełnie jak teraz — że są różne rodzaje intymności, różne rodzaje więzi. Od tamtej pory nie wracaliśmy do tego tematu, podobnie jak nie poruszyliśmy nigdy kwestii tego, że nasze małżeństwo de facto nie zostało skonsurowane. Moja wiedza pochodzi ze ścinków rzeczywistości, z przetrzymywanych w sercu wrażeń, nigdy nie ubranych w słowa, a jej tłem niczym płótno w atelier są nasze czyste noce.

Kiedy Michael okazał się tak otwarcie heteroseksualny, odetchnęłam, przyznając, z wielką ulgą. Chyba nie ma niczego dziwnego w tym, iż życzyłam swojemu synowi łatwiejszej drogi. Gdy przedstawił mi Sarę, od razu wiedziałam, że jest dlań tą jedyną; poznałam to po tym, jak na nią

patrzył, jak się do niej zwracał, jak wodziła za nim spojrzeniem. Spytałam go raz, czy powiedział jej, że jest adoptowanym dzieckiem. „Wspomniałem o tym” — odparł, jakby nie miało to większego znaczenia. Obawiałam się trochę, że Sara zacznie inaczej się do mnie odnosić, że uzna mnie za mniej prawdziwą, mniej ważną, nic takiego jednak nie nastąpiło.

Gdy któregoś razu wpadłam do nich wcześniej rano, Sara wciąż spała w ich łóżku z ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, z kolanami podciągniętymi do piersi. Michael zrobił dla nas kawę i zaniósł jej kubek, po czym — widziałam to przez półotwarte drzwi — zanim wyszedł z sypialni, pogłodził ją delikatnie po twarzy, a potem spontanicznie nachylił się i pocałował tę część stopy, której nie okrywała pierzyna, a uczynił to z takim afektem, z taką czułością wobec jej ciała, po prostu z zachwytem dla jej istoty, że później, kiedy się obudziła i dołączyła do nas w kuchni, w pomiętej koszulce nocnej i jego ciepłych skarpetach, i cmokając mnie w policzek, przeprosiła, że taki z niej śpioch, wciąż wyglądała jak kobieta mająca świadomość tego, że jest kochana i pożądana; a mnie ogarnęła radość, prawdziwe szczęście, że nie będzie skazana na sztywne zasuszone łóżko. Gdy zaszła w pierwszą ciążę, jej ruchy stały się płynniejsze, bardziej kocie. Byłam dumna z niej i z tego, że sprawia wrażenie, jakby to było takie proste.

Bardzo dobrze pamiętam ten dzień, kiedy poszłam do szpitala, gdy urodził się Rory. Wchodząc na salę, gdzie leżała, nie mogłam powstrzymać się przed myślą, jaką moja synowa jest szczęściarą. Choć wykończona i wygłodniała, całą uwagę poświęcała swojemu dziecku, widać było, że szaleją w niej emocje, co wydawało mi się takie naturalne i właściwe. Nieoczekiwanie dla siebie samej poczułam smutek; sięgając, aby wziąć niemowlę na ręce, żałowałam, że podobna chwila nigdy nie była moim udziałem, że Michael

nie był mój od swoich pierwszych chwil. Zarazem jednak, całując Rory'ego w czołko, zrozumiałam, że dzięki Michaelowi przeżywam ten moment, że gdyby nie on, nie otrzymałabym wnuka w darze. Obie jesteśmy szczęściarami, sprostowałam w myślach, oddając jej noworodka i uśmiechając się do Henry'ego, który właśnie zaprotestował, że absolutnie nie może wziąć na ręce czegoś tak maleńkiego. To nigdy nie była kwestia czyjejś winy, co do tego nie mam i nie miałam wątpliwości.

Nie myślałam o biologicznej matce Michaela od lat, lecz wtedy, przy łóżku Sary, raz jeszcze się zastanowiłam, jak to musiało wyglądać z jej perspektywy, gdy jej ciało wciąż roniło krew i mleko po porodzie, ja zaś zabierałam dziecko. Sara powiedziała w pewnej chwili: „Chyba nazwiemy go Rory”, a ja natychmiast się przeraziłam, że Michael otrzymał od swojej matki jakieś inne imię, imię, które zginęło w mrokach niepamięci, ponieważ nikt go nawet nie zapisał. Stojąc przy łóżku Sary, pozwoiliłam swoim ręką od-ruchowo, profesjonalnie poprawiać i wygładzać prześcieradło, utykać je pod spodem materaca. Choć czułam się częścią ich rodziny, byłam zarazem poza nawiasem i — tak to widzę teraz — zajmując się czymś prozaicznym, zdołałam opanować cisnące mi się do oczu łzy żałości nad nami obiema. A jednak pomimo wszystko dziecko Michaela niemal natychmiast stało się moim najprawdziwszym wnukiem, oddalając mnie tym samym od własnych początków na drodze macierzyństwa. Troszczyłam się o Sarę, robiłam wokół niej i dziecka zamieszanie, pragnęłam ochronić oboje przed zewnętrznym światem zarówno dla ich dobra, jak i po to, aby przegonić obraz pierwszych godzin Michaela. (I znów stanęła mi przed oczami tamta samotna dziewczyna i w mojej głowie rozległo się ponownie pytanie o to, gdzie wtedy była jej matka, dlaczego nie poprawiała pościeli i nie proponowała, że posmaruje tost masłem?).

Wraz z narodzinami kolejnych wnuków stawałam się coraz pewniejsza, coraz bardziej zaangażowana; narastały warstwy wzajemnych powiązań, które utrzymują nas razem jak najprawdziwszą rodzinę.

Pamiętam taką piosenkę śpiewaną przez uśmiechającego się szeroko komika, który akompaniował sobie na ukulele, tę o czyścicielu okien i o tym, co za nimi widział; śpiewałam ją do wtóru radia, mogłam mieć wtedy co najwyżej czternaście lat. Jedna linijka była o piżamach leżących obok siebie. Obecnie zastanawiam się, czy tak właśnie mógł spędzić życie Henry i czy boli go ta świadomość, dzisiaj, kiedy nikt nie łączy z homoseksualizmem pojęć takich jak wstyd i grzech, podczas gdy on musiał żyć, wyrzekając się siebie i swoich najgłębszych pragnień. Ja w tym czasie byłam żoną i matką, i krzaczkiem lawendy; osobą stojącą nogami na ziemi, zakorzenioną, mającą wsparcie w człowieku, który niezachwianie pozostał mi wierny i dla mnie dobry. Sądzę, że każdy w którymś momencie życia dochodzi do ładu ze sobą i przyjmuje z pokorą wiedzę o tym, co jest dla niego najważniejsze i co musi mu wystarczyć.

Moje małżeństwo — a gdy siedzę tutaj, przy swoim biurku na nocnym dyżurze, widzę je jasno niczym mapę nieba z poszczególnymi gwiazdami wyraźnymi jak lampki — składa się wyłącznie z przyjemnych wspomnień; było miłe, spokojne i nie pozbawione radości. Zazwyczaj jemy śniadanie razem i na ogół udaje nam się przy stole rozwiązać całą krzyżówkę. Uwielbiamy wypróbować nowe przepisy na kiełbaski podawane z tradycyjnym sosem matki Henry'ego. W święta Bożego Narodzenia robimy sobie grzane wino, a jesienią chodzimy zbierać jeżyny, gdy obrodzą w okolicy. Dyskutujemy, jakiej rasy psa byśmy przygarnęli, gdybyśmy kiedyś zdecydowali się trzymać zwierzę w domu. Przesiadujemy w parku i przyglądamy się, jak się bawią nasze wnuki, potem Henry czyta im przy kominku, a ja przyrzą-

dzam dla wszystkich gorącą czekoladę, zupełnie jak wtedy gdy Michael był mały, i dziwię się, kiedy moje dłonie tak się postarzały. Odwiedzamy Michaela i Sarę co weekend na niedzielnym obiedzie, Sara zawsze uśmiecha się miło i prosi, żebym zrobiła ten sos, za którym przepadają dzieci, a który robiła ich prababcia. Henry klęcząc na dywanie, wznosi mistrzowskie budowle z klocków lego i duplo, wnuczęta wspinają się po nim, a mnie ogarnia spokój i poczucie spełnienia, pogodzenia z życiem.

Teraz, gdy mam sześćdziesiąt pięć lat, a Henry siedemdziesiąt dwa, mój niegdysiejszy niepokój, swędzenie skóry pod zakardową narzutą wydają się nieistotne, niemal nie do wyobrażenia. Właściwie nasza wstrzeźliwość nie pozostawiła żadnego widocznego śladu, nie umiałabym wskazać palcem i powiedzieć: oto cena, jaką zapłaciłam. Dziewictwo wciąż mi nieco ciąży i niewykluczone, że je po mnie znać, gdy ktoś zada sobie trud i przyjrzy mi się bliżej, ale lubię myśleć, że wyglądam krzepko jak starszawa zakonnica, u której wieloletnią czystość zastąpiła mądrość nabywana tylko z wiekiem.

Nikt mnie nigdy nie poządał. Wiem o tym i akceptuję to. Nie leżałam w ramionach mężczyzny i nie dowiedziałam się, o co w tym wszystkim chodzi, ale trzymałam na rękę dziecko i kochałam je, i byłam zamężna z przyzwoitym człowiekiem.

Chciałabym wiedzieć, czy Marta dzisiaj położyła się spać i jeśli tak, gdzie odłożyła swoje nowe rzeczy. Czy czuwa przy nich czy może raczej śpi lekkim snem, co rusz ich dotykając. Pamiętam, że będąc małą dziewczynką, raz uparłam się, by spać w nowych butach, po czym daśałam się na matkę przez pół następnego dnia, ponieważ rano znalazłam je nie na stopach, tylko w pudełku ustawionym obok łóżka. Wciąż mam przed oczyma te portrety, kobiecy tułów przechodzący w rybi ogon, piersi obsypane płatkami

mi kwiatów, żelazko lśniące niczym żywe srebro na linii brzegu i morza. Wciąż czuję rezonującą z jej namalowanego ciała miłość, seks i zuchwałość. „Moje życie rozpoczęło się wraz z tą miłością” — powiedziała mi; dokładnie takich słów użyła. Nie są to moje słowa, będę musiała je dopiero znaleźć. Nie czuję się nieistotna w świetle tego, co zobaczyłam dzisiejszego wieczoru; z całą pewnością, siedząc tu, przy swoim biurku, nie czuję się wyschniętym próchnem. Jestem jak najbardziej materialna, krągła i stabilna niczym gliniana misa. Mogę położyć się na ziemi i przez kolejne warstwy planety dotrzeć do płynnego jądra. Moje małżeństwo było spokojne, ciche i oszukańcze w swej czystości, lecz było też kochające, radosne i pełne przyjaźni. Darzę miłością Henry'ego. Darzę miłością Michaela. Darzę miłością Sarę. Darzę miłością swoje wnuki.

Czuję się opoką, kamieniem węgielnym życia ich wszystkich. Każde z nich kocha mnie inaczej, lecz to uczucie jest nie mniej ważne niż namiętność. Przepełnia mnie szczęście i potrafię patrzeć na swoją przeszłość i przyszłość z pogodą ducha. Oto co wiem, siedząc tutaj, przy swoim biurku, podczas nocnego dyżuru. Mam swoją prawdę, tak jak Marta ma swoją.

ROZDZIAŁ 6

Judyta

Owoc swego łona ku zbawiennemu pożytkowi

Zajęcia odbywające się w ramach wieczornego kursu rozszerzającego wiedzę na temat Imperium Rzymskiego zainteresowały mnie bardziej, niż mogłam przypuszczać. Przyciągnął mnie obraz starożytnego Rzymu, nieskazitelnie biały w mojej wyobraźni, ze świątyniami i kolumnami wzniesionymi idealnie symetrycznie pod czystym, niebieskim włoskim niebem, z togami, które marszczą się i układają jak ślady fal na przybrzeżnym piasku. Właśnie dlatego zapisałam się na ten kurs, już dawno wyzbywszy się przekonania, że każda decyzja powinna być podparta racjonalizmem. Zaczęłam uczęszczać na zajęcia z powodu bieli i lazuru, i fałd, i może jeszcze odległego wspomnienia łacińskich słówek, które kojarzyły mi się z porządkiem, rozsądkiem i przejrzystymi końcówkami; upatrywałam w tych wykładach źródła potencjalnej cichej fascynacji.

Prowadzący rozpoczął cykl od Greków, co było dla mnie zaskoczeniem. W ogóle o nich nie myślałam, nie miałam wyrobionej opinii. W ramach swego rodzaju wstępu usłyszeliśmy od wykładowcy o Atenach i Sparcie i dowiedzieliśmy się, że nie wolno nie doceniać fundamentów, na których powstało Cesarstwo Rzymskie.

Spartanie, według słów naszego profesora, mieli następujący sposób na płaczące nocą z zimna niemowlę: nakry-

wali je kołderką z ostu i pokrzyw; rośliny, drażniąc skórę, powodowały, że dziecko zaczynało się wiercić i drapać, aż jego ciało robiło się zaczerwienione, a krew w żyłach płynęła szybciej. Zatem tak teraz widzę mieszkańców Sparty — jako ludzi wytwarzających ciepło pod przykryciem z kolców i igieł. Ponoć również gdy jakaś kobieta urodziła słabowite niemowlę, porzucali je na zboczu góry na zatrącenie. O tym akurat w ogóle wolę nie myśleć, toteż ucieszyło mnie, kiedy wykładowca przeszedł wreszcie do Rzymian.

Zaskakujące, jak szybko zburzył moje poukładane wyobrażenia o nich. Jeju, ależ oni byli przesądni; chyba z każdą sferą życia wiązał się jakiś rytuał. I to właśnie zaabsorbowało mnie najbardziej ze wszystkiego, nie biel, lazur i fałdy, nie sandały z plecionej skóry jak z ilustracji do książki o Androklesie i lwie, którą czytałam w dzieciństwie, bynajmniej. Najbardziej zafascynowały mnie te ich czary-mary, ci ichniejsi pomniejsi bogowie i boginie, każde ze ściśle przypisaną rolą. Obrządki i ceremonie, które jak się domyślałam, pozwalały przeciętnemu Rzymianinowi wyjść z domu o poranku i udać się równym krokiem na targ albo na Forum Romanum, nie tracąc nic ze spokoju i pewności siebie.

Dość szybko też zdałam sobie sprawę, jak wiele nas łączy ze starożytnymi, że nasz świat jest równocześnie szalenie odmienny od ich i niemal identyczny, rozpoznawalny w przejawach codziennego życia i ludzkich troskach. Rzymianie, starający się zapewnić sobie bezpieczne, szczęśliwe życie i dojrzeć w nim sens, nie różnią się tak znowu bardzo od nas, współczesnych.

Wszystko to, co było przed nami, wciąż gdzieś tam jest, tak uważam. Pokłady przeszłości leżą jakby zatopione pod powierzchnią wody i wystarczy tylko je dojrzeć, by nagle stały się wyraźne i niemal na wyciągnięcie ręki. Myślę też, że czas to wymysł nie mający solidnej podbudowy. Coraz

częściej wydaje mi się, że nie ma oddzielonej wysokim murem przeszłości ani hermetycznie zaspawanej przyszłości, pozostających w nienaruszonym stanie, tylko wszystko dzieje się naraz; te same chwile wyposażone w inne parafernalia. Dlatego łatwo przychodzi mi wyobrazić sobie siebie przy celtyckim ogniu, ubraną w strój z juty, ze skołtunionymi włosami, albo na wiktoriańskim szezlongu z buteleczką soli trzeźwiących w dłoni, z dekoltem przesłoniętym muślinem i koronką. Naturalnie jestem świadoma, że na tym najpewniej zasadza się mój problem; nic nie zdaje mi się wystarczająco solidne, nie mam czego się uchwycić, postrzegać jako absolutnie swojego. Życie, które mogłoby być — tam nie wolno mi się zapuszczać; zamiast tego będę koncentrować się na drzwiach i zawiasach.

W zeszłym tygodniu dowiedziałam się bowiem o istnieniu bogini Cardei, zwanej również Carną. Czuwała ona nad drzwiami i wszystkimi zamknięciami, a przez implikację także nad domem i życiem rodzinnym. W dłoni trzymała magiczną gałązkę kwitnącego bobu, która niweczyła moc zaklęć rzuconych po to, by otworzyć drzwi domostwa.

Urzekł mnie pomysł, że jednym machnięciem kolczastej gałązki można odpędzić od drzwi wszelkie złe moce. Przyjrzałam się zawiasom i zamkom swoich drzwi frontowych, jakbym widziała je po raz pierwszy w życiu, doceniając ich prostotę i niezawodność. Mój respekt nie przetrwał tygodnia, gdyż na następnych zajęciach dowiedziałam się o Forculusie, bogu całych podwoi, a potem, jakby sprawy nie skomplikowały się dostatecznie, o Fortunusie, którego atrybutem był klucz, a domeną szczęśliwe przejścia i który stał się opiekunem portów dopiero z chwilą, gdy pierwotne znaczenie słowa uległo zmianie. Co więc z Cardeą i jej magiczną gałązką? Ile miała swobody w decydowaniu, czy drzwi pozostaną zamknięte czy z łatwością się otworzą?

Co działo się w sytuacji, kiedy Forculus razem z Portunusem dochodzili do wniosku, że wpuszczenie danej osoby do środka jest wskazane, zmuszając Cardeę i zawiasy do ulgłości, podczas gdy gałązka żałośnie drgała w jej dłoni? Nie umiem dojść do tego, jak to wszystko się odbywało; najbardziej chciałabym wiedzieć, kto decydował o czym. Byłoby miło móc myśleć, że to Cardea panowała nad wszystkim, jednakże to raczej mało prawdopodobne. Zastanawiam się, czy ta władza nie władza wywoływała w niej frustrację i bezradne potrząsanie różdżką. Nie patrzę już na swoje drzwi wejściowe z podziwem, ledwie je zauważam. Bo czyż większości kobiet nie wydaje się tylko, że mają władzę i możliwość wyboru, podczas gdy tak naprawdę są ich pozbawione?

Weźmy na przykład rodzenie dzieci. Rzymianie i o tym pomyśleli. Desygnowali aż dwadzieścia cztery bóstwa! Były dwa tuziny nadprzyrodzonych istot, z których każda ponosiła odpowiedzialność za jakiś aspekt narodzin. (Mogłabym wspomnieć o tym na zajęciach, sporządziłam bowiem szczegółową listę, ale coś mi podpowiada, że wykładowca uznałby to za przejaw menopauzalnego huraoptymizmu, więc chyba lepiej zostawić ten temat do samodzielnych przemyśleń).

Znalazłyby się bóstwa, które należało przebłagać w wypadku, gdy dziecko przyszło na świat stópkami lub pośladkami. Bogini Morta wkraczała do akcji, kiedy dziecko było martwe. Sentia nadawała rodzącemu się dziecku świadomość, zaś inny bóg, Wagitanus, prowokował pierwszy krzyk. Rumina chroniła oseski i matki karmiące piersią, a Potina czuwała nad dzieckiem, żeby się nie zachłysnęło. Dewerra opiekowała się położnicą i noworodkiem i zapobiegała dokuczliwym psikusom Sylwanusa. Podczas położu aż troje ludzi musiało stać przed domostwem, zamiatając próg miotłą i uderzając w odrzwia tłuczkiem i trzonkiem

siekiery, żeby go odpędzić. Edusa uczyła dziecko jeść, a Statulinus siadać i stawiać pierwsze kroki.

Wszystkie te bóstwa, wszystkie rytuały służyły temu, by sprowadzić dziecko na świat, z łona aż w dorosłość. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z dziećmi. Z tego co się orientuję, obecnie podczas ciąży chodzi się parę razy do lekarza, poddaje badaniu ultrasonograficznemu, po czym przez kilka dni z rzędu po porodzie przyjmuje wizyty położnej rejonowej sprawdzającej, czy nie powstały jakieś problemy.

Zdecydowanie bardziej przemawia do mnie wizja położnicy dogłądanej przez akuszerki o rozpuszczonych włosach i stroju pozbawionym supłów i szwów. Podoba mi się pomysł zamiatania progu miotłą i uderzania w drzwi tłuczkiem i trzonkiem siekiery. Niemal czuję ich solidność i ciężar w swoich dłoniach i doskonale rozumiem, czemu właśnie one zostały wybrane jako broń przeciw złu. Nie mam nic przeciwko bóstwu, którego jedyną rolą jest czuwanie nad pierwszym łykiem mleka niemowlęcia, ani takiemu, co upewnia się, że pierwsze próby stanięcia na własnych nogach kończą się sukcesem. Przypadła mi do gustu ta dbałość o szczegóły starożytnych Rzymian, to, że mieli odrębnego boga przejmującego obowiązki w zależności od tego, w jakiej pozycji płód był ułożony w macicy, i że nie łączyli funkcji nadawania świadomości z nauką płaczu.

Co podoba mi się jeszcze bardziej, zakładając, że matka dziecka nie byłaby w stanie opiekować się nim samodzielnie, wiąże się z wianuszkiem bóstw powołanych specjalnie po to, aby zajmować się każdym aspektem życia nowego człowieka, parających się wprowadzaniem go w arkana zwykłej, codziennej wiedzy. Tak więc gdy wyobrażam sobie małego chłopca siedzącego przy stole, na który podano, powiedzmy, bitki wołowe, tłuczone kartofle, fasolkę szparagową i sos do mięsa, a wszystko to na kremowej por-

celanie z tradycyjnym niebieskim paskiem, zatem gdy wyobrażam go sobie samego, ponieważ jego mama nie mogła z nim być, żeby delikatnie wmusić węń warzywa i nakłonić, by skończył kartofle, nim włoży czapkę i rękawiczki, nim wybiegnie na dwór (gdyż nie wyobrażam sobie go takiego, jaki byłby dzisiaj, w workowatych dżinsach luźno zwisających na biodrach i zbyt obszernej bluzie z kapużą, z przenośną konsolą do gier w dłoni, tylko raczej widzę chłopca w schludnym gabardynowym płaszczyku, w wydzierganym na drutach swetrze i kraciastej flanelowej koszuli), otóż gdy tak go sobie wyobrażam, lubię myśleć, że w zastępstwie jego mamy byłby cały panteon, który by się nim opiekował. Że Abeona i Adeona czuwałyby nad jego krokami, a Edu-sa pilnowała, aby zjadł wszystko do czysta.

Próbuję chyba powiedzieć, jak zachwycająco spójne wydaje się tamto życie. Zwłaszcza kiedy, patrząc z perspektywy takiej jak moja, widzi się to, jak bardzo rozpryśnięta na poszczególne elementy jest dzisiejsza egzystencja. Kobiety na przystankach autobusowych, pchające wózki z dziećmi; dzieci piją soczek z plastikowej butelki, matki mają napięte twarze, kąciki ust opuszczone w obronie przed wszechobecnym zimnem. Sądzę, że niezwykle pokrzepiające byłoby mieć rytuały i wzorce odpowiednie na każdą okazję, otulające szczelnie niczym wygodny sweter. Imiona przypisane określone mu zakresowi odpowiedzialności, ceremonie umożliwiające bezpieczne przeprowadzenie dziecka od chwili narodzin do wejścia w dorosłość. Nie wydaje mi się, żeby mogło to zastąpić kilka wizyt położnej rejonowej bądź ulotka zatknięta między futrynę i skrzydło drzwi, informująca o możliwości wypożyczenia z lokalnej biblioteki zilustrowanego filmem poradnika, jak nauczyć przedszkolaka bezpiecznego przechodzenia na drugą stronę jezdni. (Ulotka w moich drzwiach nie miała szans spotkać się z zainteresowaniem, a jednak wywołała we mnie myśl, jak

by to było: trzymać w swojej dłoni małą, obleczoną w rękawiczkę maleńką łapkę; może też odebrała całą chęć, by samotnie kiedykolwiek znów przechodzić na drugą stronę jezdni).

Jestem też świadoma, na co wskazują te liczne szczegóły — na niebezpieczeństwo przypisane każdej najdrobniejszej nawet czynności, jak picie, jedzenie, stanie, gdy istnieje ryzyko zachłystnięcia się, udławienia, przewrócenia i uderzenia głową w marmurową posadzkę. Wszystko to dowodzi, jak bardzo niebezpieczne może być życie i że koniecznie trzeba być świadomym czającego się zewsząd zagrożenia. Nikt nie musi mi o tym przypominać. Chodzi mi tylko o to, że lubię wyobrażać sobie tamtego chłopca całego i zdrowego. Nie narażonego na zranienie, ból, chorobę czy jakąkolwiek inną krzywdę, jaka mogła go spotkać, gdy na moment spuściło się zeń oczy.

Równą skrupulatność jak do spraw życia Rzymianie przykładali do śmierci. Z wielkim zainteresowaniem dowiadywałam się o ich zwyczajach pogrzebowych. Rzecz jasna, było specjalne bóstwo. Nenia, bogini żalu i skarg, i lamentów wyśpiewywanych podczas uroczystości żegnania zmarłego. Zwłoki chowano w ziemi bądź kremowano, co zawsze stanowiło część rytuału. Z tego co mi wiadomo, wszyscy martwi trafiali pod ziemię lub do grobowca, gdyż trzeba ich było chronić przed bóstwami, te bowiem nie chciały mieć do czynienia z umarłymi. Pomyśleć tylko, jak ostateczne to było, jak kompletne odłączenie.

Pochówek wiązał się z darami grobowymi. Bogaci otrzymywali naczynia pełne napitków i dobrego jedzenia, co znaczniejsi także złoto mające świadczyć o ich statusie również po drugiej stronie. Wszyscy trzymali w ustach złotą monetę, zapłatę dla przewoźnika mającego dostarczyć ich na przeciwległy brzeg. Myśląc o tym, czuję ciarki i chłód metalu w ustach.

Aby uniknąć profanacji (cóż za skuteczne połączenie pragmatyzmu z duchowością), zmarłych grzebano poza murami miasta, na wydzielonych terenach zwanych nekropoliami. Jedyny wyjątek stanowiły noworodki, którym przysługiwało miejsce w obrębie murów miejskich.

Ciekawi mnie, kto zadekretował ten obyczaj. Kto uznał, że tego rodzaju strata zasługuje na wyjątkowe traktowanie. Kto zapobiegł wybieganiu oszalałych z żalu kobiet poza mury, by posiedzieć przy grobie dziecka, któremu nie było dane przeżyć połogu. Pośród wielości zwyczajów i obrządków ten w moim przekonaniu wynika z niezwyklej mądrości i głębokiego współczucia.

Podczas dzisiejszych zajęć, tak jak było do przewidzenia, nie uniknęłam zobaczenia tego obrazu z jaskrawą wyrazistością. Kobieta, z brzuchem wciąż jeszcze obrzmiałym po niedawnym połogu, idzie ze zwieszoną głową, z twarzą zakrytą jakiegoś rodzaju welonem. Nie mogłam się tylko zdecydować, czy akceptuje to, co się stało, czy jest pogodzona z tym, że nie wszystkie nowo narodzone dzieci pozostają przy życiu, czy też raczej, jak byłam skłonna przypuszczać, wyje dziko, tuląc do siebie zawiniątko z nieruchomym ciałkiem, a potem, gdy nie udało jej się go przy sobie zatrzymać, bije się po udach i drapie do krwi po skórze.

Z jednej strony chciałabym się dowiedzieć na ten temat więcej, z drugiej — tyle mi chyba wystarczy. Wszelka dodatkowa wiedza opadłaby mnie niczym gęsta, lepka mgła. Nie będę już myśleć o nieruchomych zawiniątkach, zamiast tego powtórzę swoje pytanie. Kto zauważył, że to inny rodzaj straty, że należy matkom pozwolić chować swoje dzieci w pobliżu?

Dostrzegam, że w rzymskiej mitologii chodzi przede wszystkim o żony i matki chronione przez obfitość bogów i bogiń. Mężczyźni mieli swoje bóstwo płodności, Pomona, kobiety zaś jego żeński odpowiednik, Pomonę, oraz Ju-

nonę, boginię życia rodzinnego. Ale jedni i drudzy nosili w sobie ducha sprawczego, w wypadku płci męskiej zwanego — *genius*, a w wypadku żeńskiej — *iuno*. Była jeszcze Bona Dea, Dobra Bogini, patronująca wyłącznie kobietom, była Terra Mater, Matka Ziemia, bogini personifikująca żywicielkę wszystkich istot, oraz Magna Mater, bogini płodności i obrony, śmiało pędząca naprzód ze swoimi lwami. Z przyjemnością myślę o tej ostatniej, o tym, że miała za towarzyszy szerokołape, pewnie stąpające wielkie koty, że była wyzywająco, asertywnie sobą.

Zmierzam chyba do tego, że bardzo bym chciała odnaleźć *iuno*, swojego ducha skoncentrowanego na kobiecości. Chciałabym odnaleźć swoją prawdziwą istotę, energię i pewność, które pozwoliłyby mi stać się nieco inną, lepszą. We własnych oczach jestem mała, o związanych rękach, nieustannie zatroskana. Pragnę bardziej być. Czy proszę o tak wiele?

Dziś wieczór usłyszeliśmy od wykładowcy o *defixio*. Jak to możliwe, że przeżyłam tyle lat, nic o nich nie wiedząc?

Były to tabliczki z wrytą do bóstwa prośbą, a zarazem obietnicą, że człowiek uczyni coś w zamian za działania powzięte przez siłę nadprzyrodzoną przeciwko jego wrogowi. Tekst znajdował się na ogół na cienkich ołowianych albo brązowych płytkach metalu. Często obejmował imię ofiary, a nawet szczegółowy opis nieszczęść, jakie mają na nią spaść. Płytką była zakopywana w ziemi bądź ukrywana w jakimś innym miejscu, czasem wrzucana do studni lub przybijana do drzewa albo pała.

A to dopiero! Intryguje mnie, czy człowiek, który wrył taką tabliczkę (bądź, co bardziej prawdopodobne, który kazał ją wryć za siebie), chodził po okolicy z tym kawałkiem metalu, czując ołów mile ciężący w dłoni, i rozpatrywał, gdzie najlepiej ją ukryć. By potem, czując, jak płytka robi się śliska od jego potu, zdecydować, że ciśnie ją w otchłań

pobliskiej studni. Albo ze ściągniętymi brwiami próbował przybić ją gwoździem do pnia wiekowego dębu, powodując poruszenie pośród ptactwa wzbijającego się hurmem w powietrze na odgłos rozlegających się echem uderzeń młotka.

Najbardziej jednak interesuje mnie, czy ktoś taki odchodził oczyszczony, gdy za jego plecami płytka wirując opadała na dno studni albo ostatnie promienie słońca pobłyskiwały na rozłupanej korze drzewa. Czy krzywda pchająca do podobnego uczynku tkwiła w kimś takim niczym motek wełny, który z każdym krokiem oddalającym człowieka od *defixio* rozwijał się i malał, aż w końcu znikał zupełnie, pozostawiając lekkość na duszy i poczucie oswobodzenia?

Ciekawe również, czy Junona czytała wyryte prośby. Czy lekceważyła niektóre, uznawszy je za zazdrość, zawiść lub złośliwość w czystej postaci, za nazbyt mściwe zarówno wedle boskich, jak i ludzkich standardów. I czy do niektórych się przychyliła, kręcąc głową w tę i tamtą stronę, przykładając dłoń do ust i zastanawiając się, czy aby na pewno interweniuje w słusznej sprawie. Co sprawiało, pytam, że postanawiała się wtrącić w ziemskie sprawy?

Mogę nie wiedzieć, gdzie się znajdowało najlepsze miejsce do ukrycia takiej tabliczki z klątwą, wiem jednak, co bym na niej napisała, czyje imię bym wymieniła. Wyrwałabym je ze swoich trzewi niczym zwapniały kamień nerkowy, twardey i oślizgły, a potem bym czekała, aby się przekonać, czy coś się zmieniło. Czy w środku mnie zrobiło się więcej miejsca, czy mogę już nabierać powietrza do pełna.

Małżeństwo. Mogłam się spodziewać, że kurs o starożytnym Rzymie prędzej czy później otrze się o ten temat. Pierwsza bogini nosiła miano Cinxia, „ta, która rozwiązuje pas”, i odpowiadała za strój panny młodej. Oraz za jej rozdżanie w stosownym momencie, jak się domyślam. Dogadza mi ten lekki ukłon w stronę rozwiązywania pasa

z właściwą tej czynności niezręcznością, z zażenowaniem i na poły tylko uformowanymi oczekiwaniami. Reszta należała już w całości do domeny Junony, która mogła się poszczycić rozlicznymi epitetami, takimi jak: Pronuba, czyli „prowadząca narzeczoną do męża”, Domiduca, czyli „prowadząca oblubienicę do nowego domu”, Lucetia, czyli „przywodząca do światła”, a nawet Ossipagina, czyli „nadająca szkielet, wzmacniająca kości”. Jest w tych nazwach więcej mądrości, niż się z pozoru zdaje; jakże trudno znaleźć w dzisiejszych czasach odpowiednik bogini, na którą mogłaby liczyć mężatka z wieloletnim stażem potrzebująca, by ktoś naprawił jej zrzeszociałe kości. To takie na miejscu, żeby chorą na osteoporozę kobietę po menopauzie wzmacniała Junona troszcząca się o jej siły na stare lata, w jesieni małżeństwa, zanim zdrowie obojga małżonków posypie się całkiem; żeby dostać ostatni zastrzyk energii, w momencie gdy trudno sobie nawet przypomnieć, jak to kiedyś bywało.

Jest jeszcze jeden przesąd, który przemawia mi do obraźni i który odbył podróż przez wieki, by obowiązywać także w naszych czasach. Kiedy uroczystości weselne przenoszą się z domu panny młodej do domostwa pana młodego, ów powinien przenieść oblubienicę przez próg, aby przypadkiem się nie potknęła, co by stanowiło złą wróżbę.

To coś tak jasnego i dosłownego, że nieomal nadającego się do pochwycenia w dłoń. A zarazem pocieszającego — jeśli tylko panna młoda wejdzie do nowego domu bez przeszkód, małżeństwo ułoży się znakomicie, wszystko pójdzie jak z płatka i para będzie skąpana we wzajemnej miłości po kres swoich dni. I także przerażającego — wystarczy bowiem jedno niewinne potknięcie, rąbek sukni zahaczony o szorstki kamień, by na twarzach gości pojawił się niepokój, by ktoś — być może matka oblubienicy — wciągnął ze świstem powietrze, by pojawiło się przeczucie, że wszyst-

ko zostało stracone, że Cardea w ogóle nie powinna była otwierać drzwi.

Tom nie przeniósł mnie przez próg. Ale też nie potknęłam się, jestem o tym przekonana. Pamiętam, że ramię w ramię wnosiliśmy swoje rzeczy do naszego pierwszego małego domku, który wynajęliśmy po tym, jak pobraliśmy się w urzędzie stanu cywilnego w obecności naszych rodziców i skromnego grona przyjaciół. Mogę z dość dużą dozą pewności dodać — na podstawie tego, co zawsze miało miejsce później — że Tom niósł najcięższe torby, a ja dreptałam za nim z naręczem drobiazgów, gubiąc to i owo po drodze. Myślę, że pocałowaliśmy się, kiedy już zamknęliśmy za sobą drzwi — był to delikatny, miły pocałunek, nie pełen napiętności, jak można by się spodziewać po nowożeńcach, choć niewykluczone, że tego akurat nie zapamiętałam dobrze, bo taka możliwość po prostu nie mieści mi się już teraz w głowie.

Moje małżeństwo również było miłe; tak, to chyba najwłaściwsze słowo. Nie przypominam sobie, abyśmy obrzucali się inwektywami na szerokość pokoju ani abym ja siedziała z kolanami przyciągniętymi pod brodę i zapłakaną twarzą, po tym jak Tom trzasnął drzwiami, kończąc kłótnię. Ale też nigdy nie znalazłam w sypialni płatków róży zaścielających łóżko i podłogę i nie mdlałam z rozkoszy w ramionach Toma, który kochałby się ze mną leniwie i nęcąco. Po prostu sypiamy obok siebie, leżąc niczym dwie łyżeczki w szufladzie, ja z kolanami umieszczonymi w zgięciu jego nóg i z ręką na ogół obejmującą go w pasie.

Tom jest dobrym, przyzwoitym człowiekiem i wiem, że właśnie dlatego jego wybrałam. Mogłam mieć pewność, że nim nastaną mrozy, nie zapomni kupić spryskiwacza do szyb ze środkiem zapobiegającym zamarzaniu wody, i że będzie bez szemrania oczyszczał rynny z liści, które zasypią dom po jesiennych nawałnicach, i nigdy nie spojrzy

na mnie przy obiedzie i nie spyta, czy przypadkiem czegoś nam nie brakuje, czy nie powinniśmy mieć czegoś więcej. Wyczułam w nim, kiedy go poznałam, że uzna nasz związek za pełen w takiej postaci, w jakiej się rozpoczął, tylko z nami dwojgiem. Postawiony w obliczu bezdziejności okaże zrozumienie i takt, nie wpadnie na pomysł, by poddać się masie badań i wycisnąć na oczach lekarzy, którzy chętnie by wszędzie zaglądali i wszystko analizowali.

Wiedziałam, że będzie mu smakowało jedzenie, które umiem gotować; puchaty ryżowy pudding w zimne listopadowe popołudnie, zawieszista jarzynowa zupa po forsownym spacerze w sobotę, świeżo zerwane truskawki w ciepłym czerwcowy wieczór, jedzone na dworze wśród intensywnego zapachu kwitnącego ogrodu. Od samego początku wierzyłam, że będziemy jedną z tych par, które wspólnie pchają wózek w supermarkecie i zastanawiają się głośno, czy wypróbować nowy sos do sałatek, albo — tuż przed Bożym Narodzeniem — stoją przed półkami z ciasteczkami w puszkach i nie mogą się zdecydować, które wziąć. Że będziemy cisi i uporządkowani, nie rzucający się w oczy w niczym, czego się tkniemy.

Domyślałam się, że będzie kupował mi prezenty, które okażą się praktyczne i satysfakcjonujące: miłą w dotyku wełnianą apaszkę, miękkie papucie, krem do rąk z aromatem różanym. Ja zaś będę obdarowywać go przedmiotami umacniającymi jego poczucie panowania nad wszystkim i skrupulatność: środkiem do mycia karoserii, dzięki któremu nasze auto będzie lśniło razem z felgami, nieprzemakalną kurtką do gry w golfa, oczywiście wykonaną z oddychającego materiału, skórzanym portfelem na dokumenty, klasycznymi wellingtonami z suwakiem z boku.

Podejrzewałam, że będą nas cieszyć takie same wakacje; pływanie barką na kanale w hrabstwie Norfolk, siedzenie razem przy kole sterowym, picie gorącej herbaty z kub-

ków, mówienie „dzień dobry” mijającym nas turystom. Że naturalnie będziemy studiować z uwagą przewodniki po Europie i że zwiedzimy co najmniej jedno włoskie *duomo*, komentując marmury i freski.

Nade wszystko zaś czułam niezachwianą pewność, co zadziwia mnie po dziś dzień, że Tomowi uda się sztuka zachowania kruchej równowagi; że będzie kochającym towarzyszem życia, a zarazem zdoła trzymać się na dystans. Co oznacza, że w dni, w które wraca z pracy i zastaje mnie leżącą na podłodze pokoju z zaciągniętymi zasłonami, co stanowi mój ukłon w stronę nawracającej migreny, pyta mnie tylko, czy chcę herbaty albo może proszek od bólu głowy, po czym z niesłychanym wyczuciem tego, że jest zbędny, zamyka delikatnie drzwi i po cichu oddala się w głąb domu. Słyszę go przez cały wieczór, jak szykuje sobie kolację, może też ogląda wiadomości, a później, gdy przychodzi pora spoczynku, udając się do sypialni, uchyla drzwi mojego pokoju i pyta, czy nie chciałabym pójść spać, oraz jeśli odpowiedź jest twierdząca, pomaga mi wstać na nogi. Nie patrzy, kiedy masuję sobie zastałe stawy, tylko idzie prosto do sypialni i poprawia poduszkę po mojej stronie łóżka. Przez wszystkie te lata ani razu nie zapytał, od jakich demonów uciekam, nawet nocą, gdy budzę się ze szlochem z koszmaru, nawet gdy natyka się na mnie stojącą w milczeniu z twarzą zwróconą do ściany. Zostawia mnie samą sobie, wiedząc, że nie pragnę się z nim tym podzielić. Albo podaje mi pomocną dłoń, kiedy wracam do znajomych strategii, i razem wybieramy kolejny wieczorny kurs, który stanie się odskocznią dla moich myśli, swego rodzaju absorbentem uwagi. Bądź też, gdy po pół roku pracy w jednym miejscu znowu zamierzam przenieść się gdzie indziej, służy radą, bym jak najlepiej spożytkowała swoje zdolności.

Pomógł mi obsadzić całą granicę działki ciemiernikami po to tylko, by już po miesiącu przekopać ziemię ponow-

nie i zasiać bławatki. Brał ze mną udział w zawodach na orientację w terenie, przedzierając się przez lasy z kompasem i skąpymi wskazówkami, przysiadając na spróchniałym pniu i zanosząc się przyjaznym śmiechem, gdyśmy się beznadziejnie zgubili. Przez wiele lat odwiedzał razem ze mną moją coraz bardziej chorą matkę i wciąż pamięta, że herbatę słodzę płaską łyżeczką cukru. Nie jestem w stanie znieść nadmiaru słodyczy.

Tom jest bez dwóch zdań niezwykle prawym człowiekiem. Nie takim, co inspiruje innych do bohaterских czynów, ani takim, co osiąga niebywałe sukcesy. Jest zwyczajnym, nieźle sobie radzącym inżynierem budownictwa, bez którego dobudówki i nowe domy wielu ludzi nie stałyby prosto. Potrafi obliczyć wartości maksymalnych obciążeń belek stropowych i na tej podstawie wyznaczyć ich przekrój przy założeniu, że zostanie użyta taka a nie inna stal. Wystarczy, że postuka w ścianę, i już wie, czy można ją bezpiecznie usunąć czy też jest to ściana nośna. Zna na pamięć normy i umie na miejscu powiedzieć, jak gruba musi być warstwa izolacji, żeby wydano pozwolenie na budowę. Aparatem cyfrowym robi zdjęcia elementów poszycia dachowego, aby mieć pewność, że system rynien jest prawidłowy i efektywny. W ciągu tygodnia odwala kawał dobrej roboty, a w weekendy grywa w golfa i chodzi na drinka z kolegami.

Kocha się ze mną i to jest miłość, co do tego również nie mam wątpliwości, miłość łagodna i troskliwa z domieszką wahania, jak gdybym była krucha i mogła się potłuc. Czasem, kiedy myśli, że już śpię, gładzi mnie po policzku, by zaraz ze strachem przejechać opuszkami palców po wewnętrznej części dłoni stwardniałej od codziennej pracy. W rewanżu staram się robić to wszystko, co jego uszczęśliwia. Rozmawiam z nim, gotuję dla niego, zawsze jestem w domu pierwsza. Na Wielkanoc kupuję mu wielkie

czekoladowe jajo, choć prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy naprawdę sprawia mu to przyjemność czy raczej zjada je ze względu na mnie. Być może powinnam go o to zapytać, lecz przecież tak często lepiej nie pytać o zbyt wiele. Przypuszczam, że tylko wprawiłabym go w zażenowanie po tych wszystkich latach, gdy przyjmował podarunek z wdzięcznością i z odrobiną tylko niepewności odwiązywał obowiązkową kokardę.

Nie przypominam sobie, skoro już o tym była mowa, abym ubrała się jakoś specjalnie z okazji naszego ślubu. Za to mam świadomość, że Lucetia rzeczywiście obdarzyła nas światłem, które okazało się łagodne i stałe. Wiem też, że dostajemy takie małżeństwo, na jakie zasłużyliśmy, często na własną prośbę. Czuję wdzięczność dla Ossipaginy za siłę mojego kręgosłupa. Zdaję sobie sprawę, jak łatwo bezdzietne małżeństwa stają się grymaśne i ekscentryczne; że umieją zjeździć pół kraju, by znaleźć targ, na którym sprzedaje się dokładnie taki miód, jaki sobie upatrzyli; że ich sobotnie poranki kamienieją w drobiazgowej rutynie powtarzanej od lat; że każde jest w stanie przewidzieć, co drugie zamówi w restauracji; że posiłki przebiegają im w martwej ciszy. Nie przestałam się starać, aby nas to nie spotkało.

I zawsze pamiętam, by dziękować za to, co mam; za nasz dom, wygodę naszej egzystencji i wzajemną pociechę.

Na dzisiejszych zajęciach przyglądaliśmy się bóstwom powiązanim z domem. Początkowo było mi do śmiechu, gdyż pomyślałam sobie, że współcześnie bóstwa te nosiłyby imiona takie, jak Dyson czy Microsoft, i byłyby czczone jako siły zdolne utrzymać porządek bądź umożliwiające wysyłanie pocztą elektroniczną zamówień do lokalnego supermarketu, skąd zakupy są dostarczane przez tragarza. Zaraz jednak uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd w rozumowaniu. Rzymianie bowiem przykładali wagę

nie tyle do prozaiczności gospodarstwa domowego, ile do świętości domostwa. I znowu ich przywiązanie do szczegółu, tendencja do subtelných rozróżnień przyćmiewają nasze dokonania.

Najpierw wykładowca przedstawił nam lary, bóstwa opiekuńcze domu i szczęścia rodzinnego. W każdym zamieszkanym budynku znajdował się ołtarzyk poświęcony laram, a dodatkowo w określone dni miesiąca oddawano im cześć przy palenisku. Dalej były penaty, bóstwa opiekujące się spiżarnią, a także resztą domostwa. Podczas każdego posiłku odkładano małą porcję jedzenia, która następnie trafiała do ognia. Poza tym przy ówczesnym stole zawsze pamiętano o nakryciu dla nich, oznaczonym solniczką i skromną ofiarą z owoców. Przez trzy dni z rzędu każdego miesiąca honorowano penaty szczególnie, strojąc palenisko, które było sercem domu, w pachnące girlandy.

Szacunkowi i podzięce za pożywienie nie ustępował w niczym respekt dla ognia i bogini ogniska domowego, Westy. Na co dzień całe rodziny składały jej ofiary, a w jej święto wolne mieli piekarze i młynarze. Koła młyńskie i osiołki były wtedy dekorowane wieńcami z fiołków i obwieszane małymi bochenkami chleba. Westę i wieczny ogień w jej świątyni obsługiwał skromny zakon kobiet, wybieranych w dzieciństwie i pozostających na służbie bogini przez trzydzieści lat. Dziewczęta nosiły specjalne uczesanie, zwane *sex crines* — sześć splotów, przystojące poza tym tylko oblubienicom w dzień zaślubin.

Rozmyślając o tym wszystkim, przyglądam się naszemu niewielkiemu palenisku. Mamy wolno stojący czarny kominek umieszczony na jasnej terakocie, palimy w nim drewnem. Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było wrzucić doń resztki jedzenia, patrzeć, jak trzaskają w ogniu i skrzecząc się, napełniając pokój ostrym zapachem zwęglonego białka. Dobrze pamiętam mieszkanca, w których żyłam,

będąc jeszcze panną, tam zamiast kominka z prawdziwego zdarzenia trafiał się co najwyżej elektryczny, a w przedpo-koju wisiał wrzutowy licznik na prąd; mam też w pamięci kominki gazowe z atrapami kłód drewna. Nie potrafię otrząsnąć się z wrażenia, iż coś nam umyka przez to, że utraciliśmy bojaźń naszych przodków. Wyobrażam sobie osiołka ustrojonego wieńcem z pachnących fiołków i potężne koło młyńskie obwieszane miniaturowymi bochenkami chleba; wyobrażam sobie, że nakrywam do stołu dla siebie i Toma i stawiam trzeci talerz z jakimś owocem i odrobiną soli. Chciałabym się dowiedzieć o tym czegoś więcej, jestem bowiem pewna, że sól została wybrana do tego celu nie przez przypadek. Może ze względu na jej właściwości konserwujące lub oczyszczającą moc. Domyślam się, że Rzymianie używali zbryłonej soli morskiej z kryształkami na wierzchu łatwo przywierającymi do skóry. Ciekawe, czy solenie nią zapewniało coś w rodzaju ochronnego płaszcza. Czy wokół domostwa rozpościerała się peleryna utkana z ciągłych podziękowań za żywność i ciepło.

Właśnie wróciłam ze spiżarki, gdzie spoglądałam na półki z zapasami. Stoją tam puszki z pomidorami i tuńczykiem, torebki mąki, paczuszki z suszonymi ziołami, które ze starości rozsypały się już chyba w proch, butelki z sosem sojowym, paczki makaronu, nieśmiertelne spaghetti. Mam też opakowanie jadalnych kasztanów, które kupiłam z myślą, że przydadzą się w wyjątkowo ponury zimowy wieczór; francuską ciemnozieloną soczewicę z napisem na opakowaniu **DU PUY** i fasolę jaś, odkąd w ostatniego sylwestra obiecałam sobie, że będę jeść więcej roślin strączkowych. Wodząc wzrokiem po produktach, myślałam o zamieszkujących spiżarkę penatach, które czuwają nad wszystkim, co wychodzi spod moich rąk. Poczułam impuls, żeby wysypać im trochę soli na którąś z półek, może tę ze skryształizowanym imbirem i rodzynkami, zakładając, że można je uznać

za owoce. Miło byłoby mieć świadomość, że to miejsce jest szczególnie chronione, że kiedy następnym razem ogarnie mnie niepokój, będę mogła tu przyjść, ja, niedowiarek, i położyć dłoń na półce z rozsypaną solą, aż kryształki wbią mi się w ciało.

Chyba już wiem, czego szukam, lecz jeszcze nie umiem zmusić się, by to wyrazić słowami. Na razie więc tylko zauważam, że sposób życia starożytnych Rzymian był o wiele sensowniejszy od naszego, ich bogowie bardziej na miejscu niż nasz święty, ekologiczny, bezworkowy odkurzacz. Bez trudu potrafię sobie wyobrazić rodzinę zgromadzoną wokół paleniska, niemal czuję aksamitność fiołków w swojej ręce. Widzę, jak młoda kobieta ostrym grzebieniem rozdziela włosy na sześć pasm. Słyszę, jak ogień trzaska i sypie iskry, kiedy pochłania rzuconą mu ofiarę.

Raz zobaczyłam kobietę wyglądającą z okna na piętrze. Miała młodą twarz, ale mocno związane z tyłu włosy napięły jej brzydko skórę na kościach. Stała z nosem przyklejonym do szyby, ponieważ rama była zabita gwoździami, tak że okna nie dało się otworzyć, i uderzała dłońmi na płask. Jej ręce, z rozczapierzonymi palcami i obnażonymi nadgarstkami, wyglądały jak dwa oszalałe ptaki tłukące się w drodze na wolność. Dziewczyna zdawała się krzyczeć coś w stronę pary odchodzącej ulicą w dole; oboje mieli pochylone głowy i zgarbione ramiona dla ochrony przed zimnem na przednówku. Wołała za nimi, a słowa niczym koraliki spadały na jezdnię poniżej. Nie odchodźcie, nie odchodźcie... Głos miała wysoki, piskliwy; raz po raz potraçał niewzruszone szkło. Sądziłam, że szyba się rozprysnie, że odłamki zranią ją i wymieszane z jej krwią i błaganiami zasypią deszczem ulicę, lecz tak się nie stało. Okno po prostu zaparowało od jej oddechu. Twarz kobiety zrobiła się niewyraźna, widać było tylko blade placki czoła i nosa w miejscach, w których opierała się o szybę. A dwoje ludzi

na ulicy dalej szło, nie odwracając się nawet. Mężczyzna objął kobietę w pasie opiekuńczym gestem. W budynku naprzeciw drgnęła firanka. Było to ledwie muśnięcie, podły znak, że życie innych może być bez skazy. Od tamtej pory żywię awersję do firan.

Wiele lat później, w supermarkecie, kiedy zobaczyłam środek do ich wybielania, poczułam pokusę, aby strącić wszystkie opakowania na ziemię i przyglądać się, jak nieskazitelnie białe granulki są miażdżone i kalane przez brudne koła sklepowego wózka. A wtedy, gdy młoda kobieta w oknie krzyczała „Nie odchodźcie, nie odchodźcie!”, jej słowa spadały głucho na jezdnię, na narcyzy rosnące na sąsiedniej działce, do rynsztoka, w którym walały się papierki i puszka po napoju gazowanym. Mimo to piskliwy krzyk nie ustawał, aż w końcu zmatowiał za zaparowaną w całości szybą. Twarz dziewczyny zniknęła, ja zaś widziałam tylko tępe niepotrzaskane szkło, tępy ból.

A przecież to były moje dłonie, które tłukły w okno tamtego dnia. Moje ręce wprawiały szybę w drżenie. Mój ruch zaniepokoił wrony siedzące na drzewie rosnącym przed budynkiem, sprawiając, że poderwały się do lotu pośród oburzonego skrzeczenia i krakania, skurczone od przenikliwego marcowego chłodu. Niebo było chmurne, sine jak podbita powieka, a moje ręce waliły w ramę, próbując podnieść okno. W drewnie tkwiły dwa gwoździe, jeden zaledwie parę centymetrów nad parapetem, uniemożliwiające otwarcie szerzej niż na palec. Zardzewiała główka gwoździa zadrapała mnie w dłoń; czerwień kropli krwi, szarość skłębionego nieba, kobieta na chodniku zatrzymująca się na ułamek sekundy i zaraz spoglądająca na dziecko, a potem oni oboje, on z ramieniem obejmującym jej talię, idący naprzód z determinacją, wytrwale. Wciąż wydaje mi się, że słyszę stukot jej obcasów na bruku, choć wiem, że ten szczegół prawdopodobnie dodałam sobie później do czerwieni

i szarości, i zachodzącej parą szyby, i głosu, który zarazem był i nie był moim głosem, do lamentu, który nie wiedzieć czemu nie wyłobił rowków w szkłe.

A wcześniej, dokładnie pół roku wcześniej, mając szesnaście lat, stałam w kuchni rodzinnego domu, wciąż ubrana w szkolny fartuszek wyraźnie opięty na brzuchu, podczas gdy moja matka wycierała właśnie wielką kamionkową misę, białą, jak pamiętam, i ozdobioną szlachkiem liści w jesiennych barwach, i po chwili, odłożywszy na bok ścierekę, zapytała, co mam na myśli, mówiąc o ciąży, jak gdybym wyraziła się niejasno, jak gdybym dopiero przymierzała się do przekazania jakiejś informacji, która byłaby dla niej zrozumiała od razu.

Beau, tak bym go nazwała. Absolutnie niewłaściwie jak na dziecko urodzone na początku lat sześćdziesiątych, absolutnie niewłaściwie jak na dziecko, o którego istnieniu świat usłyszał w ciasnej, nie wyróżniającej się niczym kuchni tuż po posiłku złożonym z wątróbki z cebulką. Bardziej by doń pasowało rymujące się Łuu!, zważywszy na szok, o jaki przyprawiłam matkę, ale i tak upierałabym się przy swoim, gdyż wiedziałam, że będzie piękny. Nazajutrz matka zaprowadziła mnie do lekarza, trzymając mocno pod ramię, jakby w obawie, że mogłabym jej się wyrwać i uciec. Ojciec przy śniadaniu tylko popatrzył na mnie bez słowa, zapewne świadom wszystkiego po rozmowie, którą przeprowadzili szeptem z głowami opartymi na poduszkach w powłóczkach z obrębkami w ząbki.

Za to lekarz, obmacując mi brzuch, gdy leżałam na wąskiej kozetce, spytał w dobrej wierze, przynajmniej wydaje mi się, że nie było w nim złej woli, czy zdecydowałam już, że nie zatrzymam dziecka, na co moja matka pokiwała sztywno głową, potakując za mnie. I dodała, że bardzo liczy na to, iż dzięki niemu nawiążemy kontakt z odpowiednią instytucją.

Przez następne pięć miesięcy pozostawałam praktycznie uwięziona w swoim pokoju. Matka przynosiła mi ze szkoły brązowe koperty z materiałem do przerobienia. Nie chcą cię tam widzieć w takim stanie, mówiła, stanowiłabyś zły przykład dla innych dziewcząt. Zatem uczyłam się w domu, korzystałam z tablic trygonometrycznych, szkicowałam przekrój liścia, odmieniałam francuskie czasowniki z dłonią na rosnącym brzuchu, w którym coś mi chlupotało i rozpierało się. Czułam się taka krągła, taka pełna wigoru, taka pełna życia, gdy czubkiem palca dotykałam natarczywej piętki. Któregoś dnia stałam przed lustrem naga, z ogromnymi, zakończonymi różowymi sutkami piersiami, z opiętym, pulsującym, poznaczonym błękitnymi żyłkami brzuchem, kiedy do pokoju weszła moja matka. Cisnęła mi przez całą szerokość pomieszczenia szlafrok, pytając, czy zupełnie nie mam wstydu, i każąc mi się natychmiast ubrać. A potem poinformowała mnie, że ostatni miesiąc spędzę w specjalnym domu, w miejscu, gdzie są takie same dziewczęta jak ja, tak to ujęła. Upadłe dziewczęta, sprecyzowała, które rodzą dzieci i oddają je do adopcji w dobre ręce. Tam wiedzą, co się robi w takich wypadkach. Ktoś się o wszystko zatroszczy.

Upadłe dziewczęta, powtarzałam w myślach, gdy wychodziła z mojego pokoju; dziewczęta jak lalki zrobione z klamerek do bielizny, ubrane w ciężowe sukienki, przewracające się, spadające i wirujące jak nasionka z drzewa, ich sylwetka rozdęta, ręce szeroko rozstawione. Kiedy pojawiłam się w tamtym domu, powitała mnie surowa siostra przełożona o twarzy bez uśmiechu. Oto czego możesz się spodziewać, powiedziała, zabierając się do opisu całego procesu, a na koniec wręczyła mi pęczek podpasek na „potem”.

Poród, to wciąż piecze, gorąca, tryskająca krew porodu. Ból i strach, i poczucie osamotnienia, i świadomość,

że choć dziecko przychodzi na świat, nigdy nie będzie należeć do mnie. I ręce położnej chwytające mocno moje i wykręcające, sięgające głęboko, by sprawdzić, jak szeroko rozwartą jest szyjka macicy. Kiedy krzyknęłam, uderzyła mnie w policzek i syknęła: „Twoja matka czeka za drzwiami. Zachowuj się, ty mała dziwko”. A pośród tego wszystkiego nikt nawet się nie zająknął na temat ojca dziecka. Gdy myślę o tym teraz, dochodzę do wniosku, że sam był dzieckiem, chłopcem lat siedemnastu, niedoświadczonym, o wciąż gładkiej twarzy. Odkrywaliśmy seks na poły przypadkiem, zatopieni w morzu ignorancji. Nie powiedziałam mu o swoich podejrzeniach, a potem już było za późno, po swoim powrocie zaś dowiedziałam się, że jego rodzina się przeprowadziła. Może i dobrze, że wszyscy przemilczeli jego istnienie. Wolę nie wyobrażać sobie sceny, w której moja matka, ciągnąc w odwodzie ojca, maszeruje ku jego domowi, wali w drzwi poczerwieniałymi kostkami.

W czasie porodu niczego nie pragnęłam bardziej, niż wstać, podnieść się na nogi, złapać metalowej ramy łóżka i przeć z całych sił jak krowa na łące, wykorzystując to, że biodra mam szerokie, a ciało wytrzymałe. Położna wzdychała i powtarzała, żebym się na litość boską położyła i skoro już muszę, gryzła to. Wetknęła mi do rąk gałgan z materiału owinięty konopnym sznurkiem, twardy i sztywny w ustach. Za każdym razem gdy zaciskałam na nim zęby, patrzyłam na jej odsłonięte przedramię i myślałam, że wolałabym raczej ugryźć ją, przegryźć mięśnie i ścięgna i dotrzeć do samej kości. Potem miesiącami żałowałam mściwie, że nie zdobyłam się na to.

Kiedy się urodził, był nieskończenie piękny, wszystko w nim było piękne: wykrój usteczek, ciemne włoski przyklejone do główki, rączki i paluszki, i maleńkie paznokietki. Chciałam go schrupać, wchłonać, połknąć w całości. Powiedziałam wcześniej siostrze przełożonej, że go nakar-

mię po porodzie, na co oświadczyła sucho: „To nie będzie konieczne. Damy mu butelkę”. Ale i tak go nakarmiłam, w tajemnicy, nim zdołała temu zapobiec; po prostu podałam mu pierś i przyglądałam się, jak ssie, czarnymi oczkami patrząc na mnie z natężeniem. Kropla siary zebrała się w kąciku jego ust, więc otarłam ją kciukiem, pieszcząc przy tym palcami twarzyczkę.

Wtedy do sali weszła moja matka; usiadła na krześle odwrócona bokiem do nas obojga. „Nie chcesz na niego spojrzeć?” — spytałam. — „Jest piękny, tak jak się spodziewałam”. Mimo to nadal na nas nie patrzyła, uparcie wbijała oczy w ścianę. Choć od tamtej chwili minęły lata, nawet teraz umiałabym rozrysować plan pomieszczenia. Ja w łóżku z dzieckiem w ramionach i moja matka na krześle ustawionym równolegle do nas; żadnych punktów stycznych. Pamiętam kulistość swoich piersi, krzywiznę główki dziecka i prostą linię szczęki mojej matki, jej wzrok skierowany prosto przed siebie. „Najważniejsze” — powiedziała — „to zapewnić mu dobry dom”.

Starałam się, wraz z mądrością i wyrozumiałością, które przychodzą z wiekiem, inaczej zinterpretować jej zachowanie, znaleźć powód, dla którego nie obróciła się i nie spojrzała na nas dwoje, nie wzięła nas w ramiona i nie szepnęła, żebyśmy po prostu wrócili wszyscy do domu. Rozumiem, że to co się stało, było powszedniością w tamtych czasach. Pojmuję, że moje prowadzenie się podało w wątpliwość jej wyobrażenie o przyzwoitości i poważaniu: wyszorowaną kuchenną podłogę, śnieżnobiałe pranie rozwieszzone na sznurze, wyobrażenie nie obejmujące córki, która zostałaby niezamężną matką w wieku lat szesnastu. Ale zdaję też sobie sprawę, że zarówno wówczas, trzymając swoje dziecko przez tę pierwszą noc, jak i teraz, myśląc o tym, mam pewność, że choć mój chłopak mnie przeleciał i wpakował w kłopoty, to matka sprawiła, że moje życie wy-

leciało w powietrze. Siostra przełożona zajrzała do mnie na drugi dzień rano i oznajmiła treściwie: „Znaleźliśmy mu dobry dom. Zjawią się po niego pojutrze”. A potem, jakby po namyśle, stojąc już w drzwiach z ręką uniesioną do kontaktu, aby wyłączyć światło na schodach i zaoszczędzić na elektryczności, dodała głosem nadal niezwykle rzeczowym: „Jak sądzę, wyjaśniono ci, że lepiej go nie karmić. Puści ci się mleko i będziesz za to mogła winić tylko siebie”.

Dwa dni później jedna z położnych zapukała do drzwi. Możesz zejść do sali przyjęć, rzekła. Jego rodzice już tu są. Sala przyjęć, pomyślałam. To określenie wciąż pali mi język niczym rozżarzony pręt. „Potem zabił barana z trzody i urządził im gościnne przyjęcie”.

Siedzieli obok siebie na kanapie. Wtedy uznałam, że są starzy, ale teraz oczywiście wiem, że wcale tacy nie byli. Ona pewnie miała nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Co mogła wiedzieć o tęsknocie w tym wieku?

Trzymali się za ręce; wyraźnie widziałam pobielełą linię jej kostek. Twarz miała spokojną, opanowaną, ale ja nie mogłam oderwać spojrzenia od jej dłoni. Oboje byli dobrze ubrani; on miał na sobie garnitur i prochowiec z gabardyny. Ona była drobnej budowy, dość atrakcyjna, ubrana w jasnoniebieski komplecik zwany w tamtych czasach bliźniakiem. Wydawała się czysta, schludna; biust zakrywało jej ramię. Nagle uzmysłowiłam sobie, że z piersi cieknie mi mleko, że cały przód bluzki mam poplamiony. Pociłam się pod pachami, czułam wilgotne słone kręgi. Wciąż krwawiłam, między nogami miałam przemoczoną na wskroś podpaszkę. W obliczu jej wymuskannej suchości prezentowałam się jak ociekająca kupka nieszczęścia trzymająca w ramionach dziecko. Na moich oczach, jak w zwolnionym tempie, położna przygotowywała biały, luźno tkany kocyk.

Siostra przełożona wyszczeakała płęć dziecka, jego datę urodzenia i wagę, po czym kazała mi przedstawić choroby

dziedziczne w rodzinie, jeśli jakieś były. Żadnych, odpowiedziałam, nie odrywając wzroku od jego twarzyczki, gdy już padło następne polecenie: żebym wręczyła go położnej. „Wręczyła”, jakby był jakaś paczka. Albo torbę z zakupami. Jego maleńka twarzyczka zniknęła okryta kocykiem, widać było tylko paluszki, które złapały brzeg materiału. W środku krzyczałam: nie, nie, nie, lecz tak naprawdę nic nie zrobiłam, po prostu tam stałam, czując się przemoczona i zagubiona.

Mężczyzna podpisał jakieś dokumenty i schował pióro do kieszeni płaszcza. Objął ramieniem żonę, która już trzymała dziecko na ręku, po czym oboje wyszli na zewnątrz. Kobieta patrzyła w podłogę. Siostra przełożona odłożyła teczkę i powiedziała, żebym poszła do swojego pokoju. „Matka przyjedzie po ciebie jutro. Niebawem będziesz mogła wrócić do domu”.

Pobiegłam schodami na górę, dopadłam okna w pokoju. Potem zaczęło się bicie dłońmi w szybę i krzyczenie. Drżałam na całym ciele, krew we mnie pulsowała i wyciekała, aż nagle pojawiło się jej jeszcze więcej i musiałam zawołać pielęgniarkę. Wkrótce pojawił się lekarz, jakiś inny lekarz, i tym razem czyjeś ręce pchały, nie ciągnęły, usiłując wtłoczyć do środka to oślizgłe coś, co ze mnie wypadło. „Nastąpiło wypadnięcie macicy” — poinformował mnie lekarz, unikając patrzenia mi w oczy. — „Prawdopodobnie nie będziesz mogła mieć więcej dzieci”.

Nazajutrz siedziałam w autobusie obok matki cała powijana i zabandażowana, z czołem przyciśniętym do zimnej szyby. Moja matka dłonie miała zaciśnięte na paskach torebki, a wargi w wąską kreskę; kątem oka widziałam, jak skacze jej mięsień na policzku. Ja, co może wydać się śmieszne, wypatrywałam mężczyzny w gabardynowym płaszczu. Miałam nadzieję, że kupili już wózek, że wybrali się na spacer pomimo niesprzyjającej pogody. Chociaż nie

wiedziałam o nich zupełnie nic, nawet tego, w jakiej części kraju mieszkają.

Czułam, jak rozpalone, napięte piersi chcą mi eksplodować. Jak pulsuje mi krew w skroniach. Jak nieświadomie zagłębiam paznokcie w ciało. Kiedy konduktor poprosił mnie o bilet do kontroli, chciałam wstać i wykrzyknąć na głos, że mam syna, urodziłam syna, a ona zmusiła mnie, żebym go oddała.

Ileż razy myślałam o swoim synu. Ileż razy wyobrażałam sobie, co robi akurat w tym momencie. Ileż razy zastanawiałam się, czy już nauczył się raczkować, czy umie już chodzić, w jakim wieku zaczął mówić. Ileż razy zadawałam sobie pytanie, czy jeździ na rowerku z dwoma dodatkowymi kołami dla bezpieczeństwa. Ileż razy zagryzałam wargi do krwi, widząc oczyma wyobraźni, jak wybiega ze szkoły i wpada w jej ramiona, rzucając na ziemię worek z obuwiem zamiennym i puste pudełko po drugim śniadaniu. Nie czuję do niej nienawiści, mimo że ukradła mi moje życie. Na pewno nie zrobiła tego celowo, skąd mogła wiedzieć?

Nieprzerwanie wyobrażam sobie jego życie w najdrobniejszych szczegółach. Gdzie był na wakacjach, co jadł na lunch, czy zachowywał się grzecznie w szkole, na jakie zdał studia. Czy teraz jest żonaty i ma własne dzieci.

A Tom nie ma o tym pojęcia, nigdy nie puściłam pary z ust. Kiedy mi się oświadczył, powiedziałam mu, że prawdopodobnie nie będę mogła mieć dzieci, na co zapewnił, że kocha mnie tak bardzo, iż nie ma to dlań żadnego znaczenia. I pozostał wierny swoim słowom, także wtedy gdy wszyscy wokół pobierali się i zakładali rodziny. Nigdy nie zauważyłam, żeby posyłał mi bolesciwe spojrzenie na widok sześciolatka mojej przyjaciółki walczącego ze sznurówką bądź trzymając na ręku bobasa swego znajomego, gdy ten wyszedł po coś do samochodu. A ja nie traciłam nadziei, skłamałabym, mówiąc, że było inaczej, nie traciłam

ani na moment nadziei, że któregoś dnia moje łono nabierze sprężystości i znów się szczelnie wypełni, tak jak kiedyś. Że któregoś dnia ponownie mnie zadziwi i tym razem będę mogła zrobić wszystko po swojemu. Nie stało się tak jednak. Moja macica pozostała obwisła i pusta, wszelkie życie wyciekało z niej, zanim zdążyło zapaść korzenie.

Nigdy nie drażyłam tego tematu, ponieważ nie chciałam, żeby Tom się dowiedział; pierwotne zatajenie obrastało osadem tajemnicy przez kolejne lata. Być może rozgościł się w moich trzewiach wstyd, którym karmiła mnie matka; być może srebrny haczyk uporczywego niepokoju wczepił się w moje usta, wypełniając je obawą, że powinnam być mądrzejsza, sprytniejsza, nie tak niezaradna; być może pokryła mnie cienka warstewka głupoty, gdy wpadłam w tryby codzienności, godząc się z tym, że nic ze mnie nie będzie. A może po prostu czułam zażenowanie na myśl, że tamtego dnia zachowałam się jak bezwolna kukła.

Epizod ten został praktycznie wymazany z mojej egzystencji podjętej po przerwie. Nigdy się o nim nie mówiło, nie padła żadna aluzja, tabliczka była znowu czysta, wytarta pewną, przekonującą i stanowczą ręką, tak że czasami zdawało mi się, że wszystko zdarzyło się tylko w mojej wyobraźni, w moim sercu.

Nie wróciłam już do szkoły, lecz poszłam prosto do studium dla sekretarek. Za rządami maszyn do pisania siedziały rzędy dziewcząt, dla których moje ciało niczym nie różniło się od ich ciał. Nasi sąsiedzi nigdy nie popatrywali na mnie z ukosa ani nie poszeptywali między sobą, gdy szłam ulicą. Nie, nic takiego nie miało miejsca; ten rozdział przeszłości został wymazany, tak samo jak mój niegdyś nadęty niczym balon brzuch. Czasem, leżąc w łóżku, kładłam dłoń na płaskim odcinku pomiędzy kośćmi miednicznymi, żałując, że nie ma tam srebrnoszarych rozstępów, które byłyby jakimś drogowskazem do tego, co było. Ale nie, nie

nosiłam żadnych fizycznych śladów, moja skóra była gładka i napięta jak u każdej młodej niewinnej kobiety.

Sama też ścisnęłam i upchnęłam wspomnienia, prasując je warstwa po warstwie, aż w końcu, gdy zakochałam się w Tomie, nie było sposobu, aby wydobyć cokolwiek na wierzch i powiedzieć: spójrz, to także ja. Przez tak długi czas należały wyłącznie do mnie, że nie widziałam możliwości, by z kimś się nimi podzielić. Być może bałam się również, że Tom uzna mnie za mniej wartościową. Czyżbym naprawdę okazała się aż takim tchórzem? A Tom przez wszystkie te lata nigdy o nic nie pytał, nie dociekał. Nie zasugerował, że nasze życie, takie jakie jest, przestało mu wystarczać.

Ja zaś od lat przyglądam się innym matkom, patrzę, jak trzymają swoje dzieci, jak je karmią, jak je kochają. Zerkam do głębokich i spacerowych wózków i tężeję, zamieram, zmieniam się, byle jakoś przeżyć ten zamęt, który czuję w środku. A potem uciekam do domu i kładę się na podłodze w zaciemnionym pokoju, i płaczę. Mówię, że to ból głowy, migrena, cokolwiek, byle nie przyznać, że serce pęka mi z żalu.

Gdyż nie mam nic, zupełnie nic, co by tego dowiodło. Może tylko bezużyteczną obwisłą macicę, którą wciąż przeszywają skurcze żałości. Byłam matką i zarazem nią nie byłam — czy ktoś potrafi wyjaśnić taki paradoks, pomóc mi? On jest moim synem i zarazem nim nie jest, na pewno nawet mnie nie pamięta. Nie wiem, czy w ogóle zna okoliczności swoich narodzin, a mimo to czuję się naznaczona przez każdy gram jego wagi, przez każdy milimetr kwadratowy jego skóry.

A moja matka? Jak ją miałam traktować? Widząc, jak uśmiecha się z zadowoleniem, kiedy wychodziłam za Toma. Zimna trucizna wolno sączyła się do moich żył tak długo, że wreszcie ledwie mogłam na matkę patrzeć.

Gdy była już stara, umierająca, raz podawałam jej obiad. Łyżka utknęła między jej fioletowosinymi wargami, oczy miała wodniste, otoczone bladą obwódka, tylko do połowy zogniskowane na czymś za moimi plecami. Jej umysł stanowiął wtedy sieczkę wspomnień i czasu; umieszczała prawdziwe wydarzenia w złym kontekście, w efekcie powstawała breja przypominająca śnieg na ciepłym mokrym chodniku. Popatrzyła na mnie, kiedy wydobyłam łyżkę z jej ust, wysunęła lekko brodę do przodu, przez moment przypominając dawną wyzywającą siebie, i zapytała:

— Dziecko? Czy było jakieś dziecko?

— Moje czy twoje? — zapytałam w odpowiedzi, wychając kolejną porcję jedzenia pomiędzy bezzębne dziąsła.

— Ta marchew jest za gorąca — skarciła mnie, a w jej oczach mignęło jej dawne ja.

Przez wszystkie te lata ani słowa. Żadnej aluzji w marcu, gdy kwitły narcyzy. Żadnego pytania przez pierwsze pięć lat mojego małżeństwa, kiedy jak się spodziewałam, z zapartym tchem czekała, czy znów pojawię się w jej kuchni i wypowiem te same słowa co kiedyś, tyle że tym razem wszystko odbędzie się tak jak trzeba, na jej warunkach. Cóż, to akurat mi nie groziło.

Kobiety, strzeżcie się kobiet — to sobie myślałam i to kazałabym wryć na swojej tabliczce z klątwą. Znalazłyby się na niej wszystkie: moja matka, siostra przełożona, położna, pracownica wydziału do spraw adopcji, która jak się dowiedziałam później, także była obecna w sali przyjęć. Jednakże kobieta w jasnoniebieskim bliźniaku — jego matka, tak chyba powinnam o niej mówić — nie pojawia się na *defixio* z powodów, których na razie nie potrafię sprecyzować.

Czy stała się jego i moim dobrym bóstwem? Czy wychowywała go, kochała, ponieważ nie mogła mieć własnych

dzieci? Jeśli go uszczęśliwiła za mnie, jeśli dzięki niej mój syn jest teraz zrównoważonym człowiekiem, jakże mogłabym jej źle życzyć? A może kochała go bardziej, niż ja bym go kochała, może troszczyła się o niego lepiej, niż ja bym się o niego troszczyła? Chciałabym poznać odpowiedzi na te pytania, myślę, że przyniosłyby mojej duszy spokój.

Okradając mnie, nie wiedziała, co czyni. Zabrała, gdy jej zaoferowano, owoc mego łona i przyczyniła się do wyniszczenia moich wnętrzności, do tego, że pozostałam opuszczona na zawsze.

Ilekoć mam czas na rozmyślenia, ilekoć spoglądam wstecz na swoje życie, na to, co jest moją historią, moją opowieścią, przeszłość powraca potężną falą i przeze mnie przepływa, obmywa mnie całą. Znow stoję przed okienną szybą tamtej wiosny, lecz teraz już czuję w ustach gorzki smak prawdy. Chyba wieczorny kurs o starożytnych Rzymianach przypadł mi do gustu tak bardzo dlatego, że podoba mi się pomysł z wielością bogów, z których każdy zajmuje się swoją ściśle określoną dziedziną. Pociesza mnie, że takie bóstwa mogły doglądać mojego syna, kiedy mnie przy nim nie było; że zamiast mnie opiekowały się nim siły życzliwe i łaskawe.

Jestem i nie jestem matką, to powoduje w moim sercu rozdarcie. Może wystarczy zdać sobie z tego sprawę, by zaradzić problemowi, by znow stać się całością. Chyba powinnam jakoś pogodzić życie, którego nie przeżyłam, z tym, które zostało mi dane. Przestać leżeć w zaciemnionych pokojach i oznajmić prawdę głośno i wyraźnie. Jednego dnia, może całkiem niedługo, gdy Tom wróci do domu, opowiedzieć mu o dziewczynie-kobiecie, którą byłam; o osobie zdolnej do poczęcia i urodzenia dziecka, lecz nie umiejącej obstawać przy swoim, pozbawionej własnej woli. Być może po tylu latach milczenia powinnam wyznać swe-

mu mężowi, że na świecie żyje człowiek, który kiedyś był moim dzieckiem.

Być może również powinnam pójść na grób rodziców. Wybaczyć ojcu, że nabrał wody w usta. Wybaczyć matce, że postąpiła tak, jak uważała za słuszne, i że też nie wracała do tego, jeśli nie liczyć jedyne go razu w podeszłym wieku, gdy choroba mąciła jej umysł. Niewykluczone, że jej milczenie wynikało z taktu, z niechęci do rozdrapywania ran, a nie z szorstkości typowej dla osób, które umywają ręce.

Kiedy wybrałam się dziś po południu na spacer, zdumiało mnie piękno świata. Młode listki na drzewach nabrały niemal niemożliwego zielonego koloru, a niebo przybrało wszelkie odcienie błękitu. Wiaterek delikatnie muskał mi skórę, a ja czułam, jak mój krok nabiera sprężystości i lekkości, po prostu czułam, że żyję. Nagle ogarnęła mnie jasność co do tego, że liczy się każde dobrze przeżyte życie. Życie wykorzystane do maksimum, uchwycone w obie ręce, broniące się w świetle tego, co było i co dopiero będzie. Toczone ze świadomością potencjalnych okropieństw, a nie tylko pomimo niej.

Znienacka widzę przed sobą drogę. Nie muszę już chronić się w ciemnym pokoju, ponieważ kiedyś przydarzyło się coś złego. Nie muszę obawiać się kolejnego ciosu. Mogę czerpać z życia pełnymi garściami. Mogę uwierzyć, że wszystko da się zmienić, przemodelować, człowieka również; że tylko śmierć odbiera nam zdolność przemiany. Chyba rozumiem już, dzisiaj, w ten rozśpiewany wiosenny dzień, chyba nareszcie rozumiem, że warto być śmiałym.

Być może uda mi się wyryc na tabliczce zarówno przekleństwo, jak i rekuncyjację. Być może w końcu zdołam przyznać sama przed sobą, że tak właśnie to dla mnie wyglądało.

Wczorajszego wieczoru odbyły się ostatnie zajęcia z historii i mitologii starożytnego Rzymu. Prowadzący

je profesor przyniósł ciasteczka i wino i wykład odbył się w atmosferze zabawy. A zajmowaliśmy się ucztami i uroczystościami, pochyliliśmy się nad tym, jak Rzymianie celebrowali i afirmowali życie.

Najbardziej zaintrygowały mnie cerialia, święto w głównej mierze rolników, z okazji żniw. W ostatni dzień wypuszczano lisy na arenę Circi Maximi, zwierzęta miały przywiązane do ogonów płonące pochodnie. Na rycinach lisie ogony sterczą do góry, tak że ogień rozjaśnia wszystko wokół, ale przypuszczam, że w rzeczywistości musiało to wyglądać inaczej. Kity raczej ciągnęły się po ziemi, futro paliło się i dymiło, nieszczęsne zwierzęta biegały szaleńczo dokoła. Czy był też hałas, gwizdy i podjudzania, i wszechobecny zapach spalenizny, podczas gdy lisy usiłowały znaleźć drogę ucieczki?

Inne święto, floralia, także rozpoczęło swój żywot jako święto rolnicze, lecz następnie zostało zaanektowane przez prostytutki, które zawłaszczyły je sobie potem zupełnie. Parada upadłych kobiet, orgia barw, święto życia, rozbiegane zające i kozły, ziemia zasypana łubinem, wyką i nasionami.

Niemal to widzę. Jędrne owłosione łodygi łubinu; niebieskofioletowe kwiaty bobu; sylwetki zające z wyprostowanymi skokami, z resztą ciała w półobrocie tuż przed tym, zanim rzucą się do panicznej ucieczki; nasiona w pełni samowystarczalne i syte. A wszystko to ku czci płodności, dla prokreacji, szczęśliwego poczęcia i zdrowych narodzin.

Prężący się łubin, okrągłutki bób, kozioł z idealnie symetrycznymi czarnymi kopytkami. Zając umykający w tłum, skręcający pod niemożliwym kątem. Cichutkie, natarczywe dźwięki nasion sypanych na skałę. A wszystko to jak krzyk, jak okrzyk tryumfu, jak tryumf życia. Zupełnie niczym mучenie cielaka albo beczenie kozłęcia natrętnie szarpiącego matkę za wymiono.

Dla mnie to także nowy początek. Nowa szansa. Nowa nadzieja. Dziś skontaktowałam się z wydziałem do spraw adopcji i zainicjowałam proces kontaktowania się z moim synem. Wiem już, że nazwała go Michael. Liczę na to, że dowiem się znacznie więcej i że przyjmę wszystko z siłą i spokojem.

Niebawem też zwierzę się Tomowi. Wcześniej, składając ukłon w stronę tego, co ostatnio tak absorbowało moje myśli, nakryję stół z nie rzucającym się w oczy trzecim talerzykiem, z małą porcją owoców i odrobiną soli; część przygotowanego dania cisnę do ognia, przyglądając się, jak skwierczy i znika w płomieniach; stanę w spiżarce i poproszę opiekuńcze duchy domostwa, aby pobłogosławiły ten posiłek.

Rodzice adopcyjni Michaela z pewnością wciąż żyją, lecz może, tylko może znajdzie się rola i dla nas. Chociaż wystarczyłoby mi już samo poznanie jego losów, losów, które rozpoczęły się tamtego dnia w tamtym okropnym, ciasnym pokoju. Marzą mi się nowe wspomnienia w miejsce tego z zaparowanym moim oddechem oknem w marcu. Pragnę móc cieszyć się początkiem jego życia oraz tym, na kogo wyrósł. Chcę, aby wiedział, jak bardzo był kochany od swych pierwszych minut na tym świecie.

Nie muszę już myśleć wyłącznie o przeszłości. Wydaje mi się, że usłyszałam głos *iuno* tak wyraźnie, jakby rozległ się echem na ulicy porośniętej szpalerem drzew. Pojęcie kobiecości, macierzyństwa nabrało dla mnie innego, pełniejszego wymiaru. Postrzegam je jako coś równocześnie jednostkowe i kolektywne, jako coś, co jest w stanie zasklepić we mnie szczelinę, scalić rozdarcie.

Widzę Cardeę z jej gałązką spokojnie leżącą w dłoni. Widzę Bonę Deę i Magnę Mater, tę ostatnią z lwami odpoczywającymi u jej stóp. Widzę młodą kobietę przenoszona bezpiecznie przez próg. Widzę dziewczynę rozdzielającą włosy na sześć pasm. Widzę *defixio* odrzucane precz.

Widzę Junonę przywodzącą do światła i wzmacniającą kości. Widzę, jak wyciąga dłoń z *iuno* dla mnie. Czuję, jak duch wlewa się we mnie falami, jak drży i pulsuje nieprzerwanie. Przyjmuję go od niej bez podejrzliwości właściwej religii chrześcijańskiej, domagającej się wiecznie dowodu; nie potrzebuję potwierdzenia tego, co otrzymałam. Wystarczy, że oto powoli, tryumfująco jestem znów zdolna do spojrzenia sobie w oczy. Że mogę wejrzeć w swoje serce i przekonać się, iż stałam się kimś więcej, niż byłam.

Odszukam Michaela z nadzieją, że znajdzie dla mnie miejsce w swoim życiu. Opowiem mu o wszystkim z nadzieją, że zrozumie. Liczę na to, że jego adopcyjna matka zaakceptuje moją obecność, że pojmie, iż sama dostała od życia znacznie więcej. Bardzo bym chciała spojrzeć na nią i unicestwić w pamięci wspomnienie dnia sprzed tak wielu już lat, wspomnienie jej wzroku wbitego w podłogę, wspomnienie pobiełałych kłykci, wspomnienie jej męża odkładającego sprawnym ruchem pióro do kieszeni gabardynowego płaszcza.

A przez to wszystko, mam nadzieję, poczuję się znów matką. Sięgnę śmiało i ofiaruję owoc, który po części wciąż jest mój.

ROZDZIAŁ 7

Zachowaj ich na szczęśliwe i długie lata

Kiedy Michael wraca do domu, Sara jest w ogrodzie z dziećmi. Jack dekoruje babkę z piasku główkami kwiatów, zerwanymi zapewne przy pomocy matki, Grace gra w klasy i śpiewa piosenkę, którą Michael pamięta z własnego dzieciństwa, a Rory bierze zamach i ciska piłką tenisową w ustawione słupki, komentując głośno, że to, proszę państwa, ostatnie uderzenie podczas tegorocznego turnieju krykieta. Sara zrywa zielony groszek i wrzuca strączki do koszyka, spoglądając w stronę Jacka i uśmiechając się doń, gdy chłopiec obchodzi babkę dookoła, z marsem na czole próbując zdecydować, gdzie położyć pozostałą mu w ręce główkę rudbekii.

Widok ten uszczęśliwia Michaela (mężczyzna jakby zaciąga się nim, niemal czuje, że pierś mu się od tego nadyma), toteż patrzy długo na swoją rodzinę, w ogródku za domem w piątkowy wieczór, i ma poczucie stabilności, uchwytnej więzi, łączącej ich wspólnoty. Przenosi wzrok na Sarę, która z garścią groszku w zamkniętej dłoni posyła mu dokładnie taki uśmiech, jaki lubi, z lekkim przechyleniem głowy, i przelatuje mu przez myśl, że nigdy nie przestał jej kochać i że dla niego zawsze pozostanie piękna. Nie tak, jak chcą kolorowe czasopisma, zaludnione przez ko-

ściste modelki podretuszowane w Photoshopie, nie mające ani jednej zmarszczki, lecz piękna uroda, jaką dostrzegł w niej za młodu, gdyż jej twarz prawie wcale się nie zmieniła, jeśli nie liczyć drobnych różnic będących potwierdzeniem ich wspólnie przeżytych lat, wszystkiego co ze sobą dzielili, każdej okazji, przy której śmiali się razem, przy której we frustracji zagryzała dolną wargę, przy której nakładała maskę zdecydowania lub gniewu. I że zawsze będzie ją kochał.

W kuchni pyrkoce kolacja, choć z bałaganu widać, że tym razem będzie spóźniona. To nie ma dlań znaczenia, zwłaszcza dziś, kiedy jego bliscy są w ogrodzie, a on pragnie schwytać ten moment w butelkę i nosić go ze sobą w kieszeni marynarki przez resztę swoich dni, nawet jeśli wyłuskany groszek znajdzie się na stole w ostatniej chwili, to i tak udany kompromis. Ponieważ Michael wie, że życie nie będzie, nie może być takie zawsze; że nie zdoła chronić swej rodziny przed światem, który w jego mniemaniu staje się coraz bardziej spolaryzowany, coraz bardziej nietolerancyjny, przed ulicami, które zdają się zalane możliwościami utraty życia z powodu telefonu komórkowego albo torebki, albo tylko takiego a nie innego koloru skóry. Wspomina wszystkie sprawy, jakie prowadził; sprawy, w których ludzkie życie zostało posiekane przez nałóg, zbrodnię albo chorobę psychiczną, niedostatecznie odizolowane, i postrzega je jako zardzewiałe zębate pułapki na człowieka ukryte w wysokiej trawie, tylko czyhające, by zacisnąć ostre metalowe szczęki na kończynach jego dzieci, skaleczyć do kości. Dlatego właśnie — gdyż Michael nie jest ani trochę sentymentalny — zdaje sobie sprawę, iż ta chwila jest tym cenniejsza, tym bardziej warta zachowania w sercu.

— Pomyślałam — mówi doń Sara, zbliżając się do tarasu — że moglibyśmy urządzić przyjęcie.

— Przyjęcie? — powtarza jak echo zdumiony jej nieślabnącą zdolnością do zadziwiania go, tym, że jej umysł zawsze krąży w innych rejonach, niż on się spodziewa.

— Tak, przyjęcie — potwierdza Sara. — Takie w ogrodzie, w któryś z nadchodzących weekendów. Z truskawkami, ponczem i typowo letnim jedzeniem. Z okazji rocznicy naszego ślubu — droczy się, podając mu koszyk z zielonym groszkiem i pochylając się, aby zawiązać sznurówkę tenisówki. — Może nie pamiętasz, ale w przyszłym tygodniu będzie piętnaście lat, jak jesteśmy małżeństwem.

Sara wypowiada „piętnaście”, jakby chodziło o dekady, Michael śmieje się więc, lecz przypomniawszy sobie uczucie sprzed paru chwil i motywacyjną pogadankę w kancelarii, podczas której prowadzący zwracał szczególną uwagę na konieczność świętowania sukcesów i generalnie tego, co dobre, nagle i on jest zdania, że zorganizowanie przyjęcia to doskonały pomysł.

— Brzmi obiecująco — mówi.

W myślach natomiast wraca do wcześniejszej części dnia, kiedy szedł przez park, zmierzając do budynku sądu, mijał kwitnące drzewko pomarańczowe dosłownie obsypane ciężkimi, słodko pachnącymi kwiatami, zatrzymał się na moment i nabrał powietrza głęboko w płuca, i poczuł zniecka chęć, by odłamać gałązkę albo jeszcze lepiej narzywać naręcze pąków i zanieść je prosto do domu, do Sary, wręczyć jej, gdziekolwiek w domu by ją znalazł, i powiedzieć, że myślał o niej, stojąc pośrodku miejskiego parku, a teraz, mając ją u swego boku, przyglądając się razem z nią, jak Grace ze złączonymi w koszyczek dłońmi usiłuje namówić konika polnego, by wskoczył jej na rękę, Michael żałuje, że nie zerwał choć jednego kwiatu pomarańczy, by móc go podarować w tym momencie swojej żonie od piętnastu lat. Piętnaście lat, powtarza w duchu, piętnaście lat, w czasie których Sara nieodmiennie zajmowała centralną

pozycję w jego życiu. Wciąż pamięta ją, jaka była, gdy poszli ze sobą do łóżka po raz pierwszy, widzi jej satynowe, kremowe jędrne nogi oplecione wokół swoich bioder; pamięta ją, jaka była w czasie ciąży, z nieproporcjonalnie szczupłymi nogami niczym u krawczyka; pamięta ją z ich kolejnymi dziećmi w ramionach, to, jak jej oczy zdawały się przepełnione równocześnie spokojem i wyczerpaniem. I patrzy na nią teraz, i przypomina sobie wers psalmu czytanego podczas ich ślubu: „Małżonka twoja jak płodny szczerp winny we wnętrzu twojego domu”, i myśli, że właśnie tym jest dla niego Sara, i przypomina sobie wisiołek, który widział u jubilera nie dalej niż zeszłego miesiąca, opal błyszczący niczym promień światła wpadający w morską głębinę, i postanawia, że kupi go dla niej i podaruje w rocznicę ich ślubu. I stojąc na tarasie, nagle czuje się ogromnym szczęściarzem dlatego, że jest zakochany w kobiecie, z którą się ożenił i która urodziła mu troje dzieci. Uśmiecha się z radości, że stoi w swoim ogrodzie w ciepły majowy wieczór, i jeszcze bardziej żałuje, że nie ograbił drzewka pomarańczowego z kwieciami, że nie ma nic, co mógłby podarować Sarze w tej chwili, i myśli o wisiorze z opalem, o tym, jak będzie odcinał się od jej piersi, a także o tym, że nigdy nie przestał uwielbiać przyglądać się śpiącej żonie.

Jack podbiega doń, krzyżąc, żeby zagrali we trzech w krykieta, więc Michael poluzowuje krawat i podwija rękawy koszuli, po czym chwyta piłkę rzuconą przez Rorry'ego i woła do Grace, żeby zeszła z boiska pod drzewo, a odwracając się do Sary, powtarza, że pomysł z przyjęciem strasznie mu się podoba, zastanawiając się w duchu, czy kiedykolwiek zdoła jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

Nocą Sara leży bezsennie w łóżku, przyglądając się, jak błądy promień księżyca, który przedarł się przez niedociągnięte do siebie połówki zasłony, tworzy równoramien-

ny trójkąt na leżącym na podłodze puchatym chodniczku. Oświetlony srebrzyście chodnik wydaje jej się magicznym latającym dywanem, wystarczyłoby usiąść na nim po tu-recku, żeby przenieść się do Arabii i wylądować tuż obok wielbłąda przystrojonego w uprząż ze złota i szlachetnych kamieni. Ona jednak tego już nie chce, pragnie być właśnie tu, gdzie jest, i uśmiecha się na tę swoją pewność, na tę ulgę płynącą z nowo odkrytego rozpoznania, co tak naprawdę ma.

Wyprawi to przyjęcie, uczci ich rocznicę. Zrobi znak na piasku i podziękuje za to, co do tej pory stworzyli. Przewraca się na bok i całuje męża, który też nie śpi jeszcze głę-boko; Michael przyciąga ją do siebie i oddaje pocałunek. Księżyc srebrzy jej nagie ramię.

Nazajutrz rano sortując pocztę, Sara odruchowo roz-dziela listy na dwie osobne kupki, dla Michaela i dla siebie. Robiąc to, zauważa, że jedna z kopert w miejscu nadawcy ma nadruk **WYDZIAŁ DO SPRAW ADOPCJI**, lecz nie wy-wołuje to w niej głębszych podejrzeń. Często na domowy adres przychodzą dodatkowe dokumenty wiążące się ze sprawami, nad którymi pracuje jej mąż, zwłaszcza gdy roz-prawa ma się odbyć w poniedziałek.

Dopiero gdy Michael (je śniadanie, kiedy otwiera ko-pertę) odkłada nadgryzionego tosta i z uwagą czyta treść listu po raz drugi, a potem idzie z nim, złożonym we dwoje, na górę, by się ogolić, zostawiwszy niedojedzonego tosta i nienapoczętą kawę cappuccino, którą przyrządziła spe-cjalnie dla niego, Sara zastanawia się, czy to przypadkiem nie jest jednak to, co podejrzewa od samego początku.

Gdy Michael woła ją z góry, zostawia dzieci przy stole, jedzące każde swoje płatki, i zastaje go w łazience opartego o umywalkę, z listem znów rozłożonym.

— To dotyczy mojej matki — oznajmia, podając jej kartkę papieru.

— Jak to: twojej matki? Przecież rozmawiałam z nią wczoraj. — Sara przycupnęła na brzeжку wanny, nie opuszczając wzroku na treść pisma.

— Nie mojej mamy — odpowiada Michael jak ktoś, kto wcisnął gaz do dechy, a teraz musi zwolnić, żeby dotrzymać kroku drugiej osobie — tylko matki. Tej, która mnie urodziła. Tej, która według ciebie podróżuje niebieskim sportowym autem.

Sara czerwieni się i zastanawia, co jeszcze Michael zapamiętał, ile zmagazynował w pamięci, jakie jeszcze powtórzy słowa z tych, które wypowiedziała w przeszłości, nie zdając sobie w pełni sprawy z ich znaczenia.

List z wydziału do spraw adopcji dotyczy jego biologicznej matki, Judyty, oraz wyjątkowych okoliczności, które spowodowały, że urząd zdecydował się z nim skontaktować. O adopcji postanowiła matka Judyty, gdyż ta była wówczas nieletnia, i ten właśnie fakt pozwala przekazać mu informację, iż kobieta pragnie się z nim spotkać. Urzędnik zapewnia, iż decyzja należy w zupełności do niego, Michaela, który ma prawo zakończyć sprawę na tym etapie.

— Boże — odzywa się Michael, kiedy Sara przestaje czytać na głos — to wszystko jest dość nieoczekiwane... — Sara widzi na jego twarzy niepewność, uczucie będące tam rzadkim gościem, i sama nie może dojść do ładu z perspektywą dwu matek, Sheili i Judyty. Tymczasem Michael kontynuuje: — Nie tak to sobie wyobrażałem przez... przez ten cały czas. Dlaczego właśnie teraz, przy tym wszystkim... — Wykonuje zamasztysty gest, który obejmuje brudne skarpetki Rory'ego leżące na podłodze łazienki i wiolonczelę Grace, i jej nuty porzucone u szczytu schodów, a Sara rozumie, iż chodzi mu o to, że wiadomość ta nie dotyczy tylko jego, ale ich wszystkich, że olbrzymia nieruchoma masa będąca ich życiem może nie okazać się dość podatna, aby

wchłonać tę całą Judytę. — No i co będzie z mamą? — pyta retorycznie Michael. — Jak ona to przyjmie?

Przed oczyma Sary staje Sheila, o tej porze wracająca z nocnej zmiany, właśnie gdy Henry dopiero się budzi, szykująca im po kubku gorącej herbaty, wykładająca jedzenie dla kota z puszki na wyszczerbiony porcelanowy spodeczek, przebierająca się w przyzwoitą flanelową koszulę nocną i spulchniająca poduszkę po swojej stronie łóżka, by położyć się spać aż do drugiej po południu, kiedy to Henry zbudzi ją na obiad.

— Porozmawiaj z nią — radzi mężowi. — Możesz być zaskoczony jej reakcją.

Michael podchodzi do aparatu telefonicznego stojącego na nocnej szafce w sypialni i rozmawia krótko z ojcem. Pyta, czy może do nich wpaść, po czym szast-prast i już go nie ma. Sara wkłada brudne naczynia do zmywarki i po raz setny prosi Jacka, żeby się ubrał. Potem siada przy stole w kuchni i stara się skupić na tym, co piszą w gazecie, lecz nie przestaje martwić się o Sheilę.

Michael staje na końcu podjazdu pod domem rodziców. Teren przed budynkiem jest schludny i zadbany, z miejscem na jeden samochód i kępą niebieskich hortensji otoczoną przez biały żwir. Po obu stronach ganka stoją donice z geranium, a po obu stronach drzwi wypucowane butelki po mleku. Nad szczeliną na korespondencję widnieje przypięta starannie karteczka z wypisanymi pewną ręką ojca słowami: **DZIĘKUJEMY ZA ULOTKI i REKLAMY, ALE NIE SKORZYSTAMY.** Wszystko to jest takie znajome, takie bezpieczne, takie absolutnie przewidywalne. Zwłaszcza równowaga, która była kamieniem probierczym jego życia. Co będzie, jeżeli ta cała Judyta ją naruszy? myśli Michael, mnąc w dłoniach list z wydziału do spraw adopcji; co będzie, jeżeli rozkołysze nasz sunący majestatycznie statek, jeżeli

spowoduje, że roztrzaskamy się na atomy... albo wszystko rozmota, rozwikła? Michael bowiem wie, stojąc na progu swego domu rodzinnego, że cieszy go, iż jego biologiczna matka się odezwała; wie, że też chce się z nią spotkać.

Sheila otwiera drzwi wejściowe i całuje go ciepło w policzek.

— Jak dobrze cię widzieć — mówi i idzie przodem do kuchni, gdzie strzepuje poduszkę, nim pozwala mu usiąść, po czym zabiera się do robienia herbaty. Dodaje, że ojciec podlewa ogródek, na co Michael w żaden sposób nie reaguje, tylko podaje jej list ze słowami:

— Dostałem to dzisiaj.

Sheila osuwa się na krzesło, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa, nagle stare i sterane, rozprostowuje kartkę papieru na kolanach i sięga po okulary leżące na brzegu blatu, tuż obok pralki.

Czytając, myśli o Judycie w jasnomiętowym pokoju, a także — dość nieoczekiwanie — o Marcie z jej ostróżkowoniebieską skórą, i choć wodzi wzrokiem po literach, przed oczami ma plamy mięty i lazuru. Myśli o Marcie w domu starców i tym, co jej powiedziała, i o bosonogiej młodej matce sprzed wielu lat, i wzdycha wewnętrznie, a to ci dopiero poranek. Podnosi spojrzenie znad listu i spogląda na mężczyznę, którego uważała za tylko swego syna przez tak długi czas, i dostrzega w jego twarzy coś z tej niepewności, która czaiła się tam, gdy był dzieckiem, i wspomina wszystkie chwile, które razem spędzili, wszystkie momenty, w których go przytulała, gdy był tak malutki, że mieścił się w jej ramionach, i dochodzi do wniosku, że tak niewiele było trzeba, aby wszystko to należało do Judyty, a nie do niej, i nagle już rozumie, czemu tamta kobieta pragnie się z nim spotkać. W głowie kłębią jej się wszystkie myśli, które absorbowały ją minionej nocy; Marta, Judyta, życie doświadczone na własnej skórze i to zaledwie potencjalne;

dokonane wybory, możliwe, lecz nigdy nie urzeczywistnione alternatywy. Sheila wstaje, ponownie całuje Michaela i odgarnąwszy mu włosy z czoła gestem, jakiego dawno zaniechała, a jaki, dobrze to pamięta, powtarzała często, kiedy leżał bezsennie w łóżeczku, nie mogąc zasnąć, ona zaś gładziła go po czole, aż oczka mu się zaczynały kleić, zatem odgarnąwszy mu w ten sposób włosy z czoła, mówi tylko:

— Rozumiem.

Samą ją dziwi, że jest to prawda i że powiedziała to szczerze, z głębi serca, nie czując wcale ostrego ukłucia w piersi. Powtarza więc już pewniej:

— Rozumiem. Ja także chciałabym się z nią spotkać.

Michael wstaje i obejmuje ją (dziwiąc się przy tym, kiedy stała się taka maleńka), i tak zastaje ich Henry, wchodząc do kuchni prosto z ogrodu, gdzie podlewał kwiaty na rabatach (bowiem dzień zapowiada się upalny, już teraz niebo jest rozciągnięte w górze niczym świeże, wygładzone niebieskie prześcieradło). Wspólnie ustalają, że Michael odpisze, informując, że chętnie się z nią spotka, po czym kiedy Michael wspomina mimochodem o szykującym się przyjęciu, Sheila wpada mu w słowo:

— A może ją też byście zaprosili? Wtedy pozna wszystkich naraz, a ty zobaczysz, czy jest szansa, żeby sprawy się poukładały jak należy.

Po wyjściu od rodziców Michael dzwoni z komórki do Sary, a ona odbiera tak szybko, że natychmiast wie, iż czekała przez cały czas przy telefonie, i kocha ją za to jeszcze bardziej. Mówi, że Sheila dała mu swoje błogosławieństwo, uświadamiając sobie, że właśnie o to ją poprosił tam, w jej pastelowej kuchni, z cichym poszemrywaniem wody z węża za oknem w tle.

— Zaproponowała, żebyśmy ją zaprosili na przyjęcie — opowiada dalej, a Sara czuje, że serce omal nie wysko-

czy jej z piersi. Przed nią przyjęcie, misterne i skomplikowane niczym jajko Fabergego.

W rano kiedy Isobel dzwoni do Kate, starsza z kobiet jest na nogach od świtu. Wyszła do ogrodu i oglądała wschód słońca, zmieniającego się z rąbka perłowej jasności na widnokręgu w paletę barw na całym niebie.

Kate odbiera telefon i dziwi się, że dzwoni jej matka; to nie w stylu Isobel narzucać się tak wcześnie, dobre wychowanie nie pozwala jej na podobne zakłócanie czyjeś spokoju nawet w ważnej sprawie. Kate zdaje sobie sprawę, że w miarę upływu lat matka wstaje coraz wcześniej; zabiera psy na spacer albo nastawia udziec jagnięcy na wolnym ogniu na starej kuchence, albo tak jak teraz, też dość nietypowo dla siebie, mówi do niej:

— Chciałabym się z tobą zobaczyć. Tylko z tobą. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Słyszy, jak za jej plecami Harry proponuje dzieciom wycieczkę rowerową, i samym ruchem warg pyta, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pojedzie spotkać się z matką.

Harry chce wiedzieć, czy coś się stało, na co ona może tylko wzruszyć bezradnie ramionami, wolną rękę zwracając dłońią ku sufitowi. Mąż proponuje więc, że założy na samochód bagażnik i przymocuje rower z tyłu, tak żeby mogła do nich dołączyć przy pubie Pod Pługiem, gdzie zjedzą wspólnie obiad.

Kate potakuje skinieniem i Harry wychodzi z kuchni do garażu, podczas gdy ona odpowiada matce:

— Tak, dobrze. Będę u ciebie wkrótce.

Smaruje dzieci kremem z filtrem przeciwsłonecznym i sprawdza, czy Drew umył zęby. Przeczesuje włosy przed lustrem i przejeżdża szminką po wargach, zastanawiając się, co u licha Isobel ma jej do powiedzenia. Harry wraca

do sypialni po ciemne okulary i całuje ją w skroń, sięgając ręką za nią, ku wierzchowi komody.

— Dlaczego przestałeś mnie całować normalnie?
— pyta go zdumiona własną otwartością, a on nachyla się i całuje ją prosto w usta, rozchylając jej wargi językiem; Kate czuje delikatną cytrusową woń jego mydła i smak pasty do zębów i dotyka lekko jego włosów z tyłu głowy, a on na moment przykłada rękę do jej biodra. Mówi do niej z uśmiechem:

— Do zobaczenia później.

Kate postrzega to jako pierwszy znak odwilży i wydaje jej się, że jednak można cofnąć czas, wrócić do tego, co było.

Gdy zostaje sama, przysłuchuje się odgłosom swego domu w słoneczny majowy poranek. Z zamyślenia wyrывa ją Drew, który wpada na górę i prosi, żeby pomogła mu zapiąć kask rowerowy. Korzystając z okazji, Oliwer wraca do kuchni i wybiera z zamrażalnika kostki lodu, które następnie wrzuca do bidonów z wodą. Emma przychodzi się z nią pożegnać i Kate zauważa, że dziewczynka ma na sobie inną bluzkę niż ta, którą włożyła do śniadania, ale zamiast upomnieć ją, że dom to nie pralnia, cmoka ją w policzek i mówi jej, że ślicznie wygląda w niebieskim.

Podjeżdżając pod dom matki, widzi, że Isobel stoi na ścieżce przed domem, z oboma psami na smyczy i w swoich wygodnych butach do spacerów.

— Właśnie wróciliście? — pyta ją, zastanawiając się, gdzie też matka mogła pójść pomiędzy rozmową z nią a jej pojawieniem się tutaj.

— Nie — pada odpowiedź. — Nie umiałabym nic powiedzieć tu... — machnięciem ręki obejmuje dom, to co jest w środku, ogród i nieużywany kurnik. — Pomyślałam, że przejdziemy się razem — dodaje, a Kate kiwa głową na zgodę.

Wychodzą przez furtkę i ruszają w stronę pól, kierując się ku miedzy biegnącej pośród wciąż zielonej pszenicy, za którą rośnie len, o tej porze roku właśnie kwitnący, tak że leżąca przed nimi połać zdaje się równie niebieska jak niebo nad nimi. Kate dobrze wie, że to droga do kościoła, i zastanawia się, czemu matka prowadzi ją na grób ojca.

Na ugorach kwitną wczesne maki, owoce bzu pęcznieją na rosnących rzędem krzewach i nabierają barwy limonki. Isobel nie odzywa się, tylko maszeruje w równym tempie, a Kate po prostu dotrzymuje jej kroku, czekając na jakiś sygnał. Nie przypomina sobie, by jej matka przy innej okazji nie wypełniła milczenia słowami, które by były użyteczne, opisujące rzeczywistość. Jednakże pozwala ciszy trwać, podążać wraz z nimi wśród pszenicy i maków. Idą obok siebie, psy ciągną się lekko na smyczy, wężąc za kuropatkami.

— Wydaje mi się — mówi wreszcie Isobel — że kiedy przyszedłaś do mnie przed paroma dniami, nie powiedziałaś mi wszystkiego. Odniosłam wrażenie, że chciałaś się czymś ze mną podzielić, lecz ostatecznie zmieniłaś zdanie. Wiem, że nie ułatwiam sprawy w takich wypadkach, ale cóż, taka już jestem. Zauważyłam w twojej twarzy, w twojej postawie ślad czegoś, co jest mi dobrze znane, a nie chciałabym, abyś powtórzyła moje błędy. Zamierzam opowiedzieć ci o czymś, co niedawno zrobiłam. Jest też parę innych spraw, o których jeszcze nie wiesz, i mam nadzieję, że mówiąc ci o nich, otworzę ci nieco oczy.

Nie do poznania jest ta matka, która kroczy obok niej, z której ust dobywają się słowa przypominające zdesperowane ptaszki, zupełnie jakby czekały, zbierając siły, do tego ranka, do tej chwili spędzanej wspólnie z Kate.

— Powinnaś wiedzieć — kontynuuje Isobel — że małżeństwo niejedną ma twarz i że małżeństwo moje i twojego ojca w ostatnich latach nie było takie, na jakie wyglądało. Twój ojciec zarazem kochał mnie i nie kochał; darzył mnie

miłością o tyle, że był w stosunku do mnie lojalny, miły i dobry, że pozostał w związku ze mną przez trzydzieści pięć lat, lecz prawdziwym uczuciem obdarzył inną kobietę imieniem Marta. Spotkał ją na kościelnym dziedzińcu pewnego majowego dnia, jakieś cztery lata przed śmiercią. Wiedziałam o jej istnieniu, raz z nią nawet rozmawiałam. W ubiegłym tygodniu zwróciłam jej pewne przedmioty, a powinnam była to zrobić już wieki temu. Były to obrazy, pamiątnik ojca, rzeczy opromienione jego miłością do niej. Żałuję, że nie możesz ich zobaczyć, ale nie chciałam dłużej zwlekać z przekazaniem ich Marcie. One uświadomiłyby ci o wiele wymowniej to, co tych dwoje łączyło.

Isobel przerywa, pokonując drewniany przełaz. Na polach, które otaczają je obecnie, rośnie len, bładniebieskie kwiatuszki dosłownie zaścielają ziemię. Kate wydaje się, że słowa matki czepiają się jej skóry niczym kuleczki ostów. Że jej ojciec znowu jest z nimi; ten sam ojciec, którego nigdy nawet nie wyobrażała sobie w oderwaniu od ich wspólnego życia. Czuje, jak ogarnia ją słaba fala zaborczości, a także oblewa wrząca płynna niewiara, i nie potrafi oderwać wzroku od matki, która nagle w jej oczach zmieniała się w pękniętą torebkę z nasionami sypiącą wokół sekretami.

— Nie mogę powiedzieć, że nie było w tym w ogóle mojej winy — mówi dalej Isobel. — Mam sobie do zarzucenia to, że nie nawiązywałam z nim kontaktu jak trzeba, że nie dawałam z siebie zbyt wiele. Chyba wybrałam pozory miłości, a nie samą miłość, twój ojciec zaś był nieszczęśliwy przez długie lata, zanim ją spotkał. A kiedy się poznali, było tak, jakby wszystko nagle znalazło się na swoim miejscu; wyczułam to, zanim jeszcze zrozumiałam, co się dzieje. I w pewnym sensie to mi odpowiadało, było mi z tym dobrze. Odnalazłam spokój w odsunięciu się od siebie, co zapewne wyjaśnia, czemu w ogóle doszło do separacji. Zda-

rzały się chwile, kiedy ogarniał mnie niesmak, nie będę udawać, że nie. Wtedy gdy kładł się do naszego łóżka, po tym jak uprawiał z nią seks, albo gdy Madeleine Sawyer powiedziała mi, że widziała go z jakąś kobietą w katedrze w Dorchesterze, kiedyśmy przystrajały eustomą chrzcielnicę w naszym kościółku.

(Kate nagle przypomina sobie, że gdy florystka zaproponowała przystrojenie ołtarza do ślubu eustomą i róże na bukiet ślubny, jej matka z przekonaniem, które zdumiało ją nawet wówczas, zaoponowała: „Wszystko, tylko nie eustomą. Proszę wymyślić coś innego”).

— Kiedy ją zobaczyłam — ciągnie Isobel — przeżyłam wielkie zdziwienie, lecz jej portrety uprzytomniły mi, że on widział w niej znacznie więcej. Byłam przy niej mała i sucha, to chyba chcę powiedzieć, ona zaś zdawała się kwitnąć i promienieć, była ciepła i zachęcająca. Przyszła na jego grób w dzień pogrzebu; gdy zawędrowałam tam pod wieczór, w ziemię była zatknięta książka, którą mu zostawiła. Zastanawiałam się, co czuje, czy go opłakuje. W końcu zdałam sobie sprawę, że od dawna myślałam o nas jak o żonach równoległych; ona dostała część jego życia, w gruncie rzeczy jego serce, a ja prowadziłam mu dom, znałam go na wylot, dzieliłam z nim codzienność. Wiem, że Marta była mężatką, nie mam jednak pojęcia, czy jej mąż wiedział. Tak czy siak w ten sposób przeżyliśmy z Robertem ostatnie wspólne lata i udawanie podczas pogrzebu było dla mnie niemal nie do zniesienia. Płakałam dlatego, że odszedł, dlatego, że moje życie jako zamężnej kobiety dobiegło końca, ale również ze względu na to, czego nie mogłam głośno przyznać: że w istocie utraciłam go już lata wcześniej i że wina leżała zarówno po jego, jak i po mojej stronie, i że co najgorsze, rozumiałam, czemu postąpił tak, jak postąpił. Mówię ci to wszystko z wielu powodów. Nieoczekiwanie dla mnie samej okazało się, iż tajemnica mi ciąży, zwłaszcza że

ty zawsze miałaś małżeństwo moje i swojego ojca za idealne i gdyby w twoim coś zaczęło szwankować, mogłabyś zdecydować porównywać swój związek z czymś, co tak naprawdę nigdy nie istniało. Nie chcę przez to dać ci do zrozumienia, że gdy sprawy idą źle, to idą źle i nic nie można zrobić, by je naprawić. Mogłam porozmawiać z twoim ojcem, mogłam poprosić go, żeby z nią zerwał. Albo mogłam kazać mu wybierać. Zamiast tego umościłam sobie wygodne gniazdko pośród jego zdrady, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że ja również go zdradziłam, nie oddając mu swego serca.

Kate nie wierzy własnym uszom.

— Zapewniam cię — Isobel nie daje sobie przerwać — że ciebie zawsze kochał i że łączyła go z nami obiema silna więź, którą także miał za ważną i prawdziwą. Chciałabym też, abyś wiedziała, że małżeństwo to nie tylko miłość, że związek dwojga ludzi to całe spektrum zależności, nie mniej istotnych, nie słabiej wiążących.

Doszły już do terenu kościelnego i stoją nad grobem Roberta; płyta nagrobna straciła kanciastość kamienia dzięki miękkim mchom i porostom. Kate spostrzega, że szłocha, jednakże nie umiałaby powiedzieć, z jakiej przyczyny — czy za utraconą niewinnością, czy z powodu niewątpliwie wiedzy, czy dlatego, że kamee z nimi wszystkimi roztrzaskały się w proch, a może po prostu zimna prawda utkwiała jej w piersi niczym twardo połknięty kęs.

Ma świadomość, że matka była z nią szczerą aż do bólu, i domyśla się, że Isobel obwinia się o wszystko, uważa, że zawiodła zarówno męża, jak i córkę, wszelako jej wydaje się niezwykle dzielna, przepełniona całkiem nowym rodzajem odwagi, tak że bez trudu wyobraża ją sobie siedzącą znów przy fortepianie, wyprostowaną i posyłającą starannie wymierzone nuty w głąb pustego domu. Rozumie, że Robert i Marta mogli być dla niej katalizatorem, że prawdopodobnie wstrząsnęli posadami jej świata, że być może zdarli

komfortowe okrycie z jej poukładanego życia. Dostrzega, że nauczyli ją, iż nie można rozplanować miłości, ale można znaleźć ukojenie w otaczającej materii, w znaczeniu, w spokoju ducha; w szczegółowych przepisach na marynaty i dżemy, w powtarzalnej pracy przynoszącej co roku efekty w ogrodzie, w udanym rozdaniu brydża rozegranym z upodobaniem i wdziękiem.

Odpowiada więc swojej matce, że przynajmniej jej nie zawiodła na pewno, że przez to, iż okazała się omylna i wrażliwa, jest tym bardziej ludzka, że przyznając się do błędu i wyznając prawdę, wydaje się żywsza niż kiedykolwiek w swej nieskończonej zapiekłej doskonałości. I trzyma Isobel w ramionach, gdy starsza kobieta płacze cicho, i patrząc na grób ojca, myśli, że kiedy indziej będzie czas zastanawiać się nad tym, co nowo zyskana wiedza o nim zmienia w jej życiu, ale już czuje, że nie ma nic do przebaczenia, że nie ma nic, z czym należałoby się pogodzić, z wyjątkiem palącego pragnienia, by przeżyć życie tak, aby niczego nie żałować.

Nie może nie pomyśleć o Harrym, o tym, jak to, co usłyszała, wpłynie na jej zachowanie w stosunku do niego, i wiedząc, że reakcją jej matki była milcząca rezygnacja, postanawia, że ona nie będzie milczeć, że powie mu bez ogródek, co czuje. Wspomina w myślach pocałunek przed lustrem, który wymienili dziś rano, i uczucie, które ją wtedy ogarnęło — uczucie, że być może jeszcze nie wszystko stracone.

Kiedy Tom wraca do domu, zawsze wysiadając z samochodu, spogląda w stronę okien, aby sprawdzić, czy któraś z zasłon jest zaciągnięta. Jeśli żadna, szuka wzrokiem choć jednego palącego się światła, które by sugerowało, że Judyta nie siedzi po ciemku w którymś z pomieszczeń. Próbuje wypatrzeć trwający mgnienie oka ruch za szybą,

który by mu powiedział, że czekała na niego niecierpliwie. Za każdym razem tak samo, nim jeszcze zdąży sięgnąć po aktówkę leżącą na tylnym siedzeniu samochodu; zawsze z nadzieją, że to jeden z jej dobrych dni.

Ostatnimi czasy nie było śladu po tych objawach, po prekursorach jej cichych, nawracających załamania nerwowych. Minęły tygodnie, odkąd wrócił do domu i zastał ją leżącą na podłodze i skarżącą się na migrenę. Przeciwnie, odkrył u niej nową energię, jakieś poruszenie, którego źródła nie potrafiłby wskazać. Powietrze wokół niej zdaje się trzeszczeć i syczeć, tak że Tom ma wrażenie, iż gdyby tylko stanęła w pobliżu zapałki, buchnęłaby niebieskobiałym płomieniem niczym magnez.

Dziwią go także drobnostki, których nie potrafi wyjaśnić. Zeszłego wieczoru chociażby natknął się w spiżarni, biorąc sobie piwo, na kupkę kryształków soli na półce przeciwległej do tej, na której trzymane są sypkie produkty. Nie wyglądała na rozsypaną przypadkiem, w miejscu utrzymywały ją suszone morele i daktyle; wszystko musiało pojawić się tam całkiem niedawno, gdyż owoce wciąż były miękkie, co tylko spotęgowało jego ciekawość — dlaczego to zrobiła, dlaczego przy kominku wisi miniaturowy wianek z fiołków?

Przez całe życie obserwuje ją w nienarzucający się, lecz uważny sposób. Zawsze czujny, gotów wypatrzeć najmniejszą szczelinę, wystarczająco bystry, by rozpoznać sygnały sugerujące, że na jego oczach zacznie tonąć. Myśli o tym jak o stawianiu rusztowania — w końcu zna się na rusztowaniach, wznoszenie niejednego nadzorował w pracy i wie, że czasem tylko ono może uratować budynek od rozsypania się w gruzy. Tom kocha żonę i nie chce, aby się rozsypała, dlatego zawsze jest chętny służyć jej wsparciem. Podejrzewa, że w przeszłości spotkało ją coś przykrego, że być może nawet poważnie cierpiała, i jest mu z tego powodu bardzo

przykro, żałuje, że nie było go wtedy przy niej, aby temu zapobiec.

Kiedy wchodzi do domu dziś wieczorem, Judyta przypomina mu magnez bardziej niż dotąd; gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłby, że emanuje niebieskobiałą poświatę. Stół jest już nakryty do kolacji (Tomowi zdaje się, że dostrzega trzecie nakrycie; ciekawe, kto może do nich przyjść), a z kuchni dobiega zapach świadczący, że zadała sobie trud i ugotowała coś wyszukanego i trudnego.

Myje w łazience ręce i zajmuje swoje miejsce przy stole. Wie, że to nie okazja do mitrżenia, że Judyta nie jest w nastroju do rozmowy o niczym, gdy jednym okiem będzie patrzył na dzisiejszą gazetę.

— Mam syna — obwieszcza, ledwie zdążył usiąść, a jemu przemyka przez myśl, że żona ma urojenia, natychmiast też przypomina sobie czasy, kiedy oboje byli dopiero po trzydziestce, a ona płakała za każdym razem, kiedy jak co miesiąc dostała okres, zastanawia się więc usilnie, jak zareagować, by nie pogorszyć sprawy, gdy ona podaje mu list, list nadany przez wydział do spraw adopcji. Jest w nim mowa o kimś imieniem Michael, a w drugim, który Judyta podaje mu niemal od razu, kiedy skończył czytać pismo, pojawia się to samo imię, tyle że teraz Michael jest autorem i pisze, że pracuje jako adwokat, ma żonę Sarę i troje dzieci i że zaprasza ich oboje na przyjęcie. Judyta siedzi przy nim przez cały ten czas, trzymając go za wolną rękę, i nie płacze, po prostu spogląda nań niepewnie, tak że Tom bąka, byle tylko coś powiedzieć: „Aha, syn, przyjęcie...”, a ona zaczyna na poły śmiać się, na poły płakać i zbliżywszy twarz do jego twarzy, szepcze:

— Chciałam ci powiedzieć o nim już dawno, ale nie umiałam znaleźć właściwych słów.

I nagle wszystko zaczyna się zgadzać. Tom pamięta, w jaki sposób patrzyła na dziesięcioletnich chłopców, idąc

ulicą, kiedy się pobrali; jak przebiegała spojrzeniem po klasowych wycieczkach, zupełnie jak gdyby szukała kogoś konkretnego. Teraz słucha, jak opowiada mu o swojej matce stojącej w ciasnej kuchni przed wielu, wielu laty, i o domu narodzin, i o siostrze przełożonej, i o parze w schludnych strojach; mówi mu o dziecku, które opłakiwała przez cały ten czas, a on trzyma ją mocno, gdy jej słowa stuk-stuk upadają mu wprost na kolana, i słyszy też, jak pozostałe elementy układanki wskakują na swoje miejsca (na przykład wyraz jej twarzy w chwilach, kiedy patrzyła na swoją matkę; ta z trudem poskramiana wściekłość i nienawiść), słyszy jej głos i jej płacz — swojej żony, która ma syna, syna, który pragnie się z nimi spotkać w początkach czerwca.

Judyta kończy mówić i wstaje, ocierając wierzchem dłoni mokre policzki.

— Gniewasz się na mnie za to, że ci nie powiedziałam? — pyta, on zaś potrząsa przecząco głową i uśmiecha się. Zauważa, że jej ciało nie drży jak osika, że Judyta jest odprężona i opanowana. Chyba jeszcze nigdy nie widział u niej tak spokojnych, jasnych oczu. Całuje ją i mówi, że bardzo się cieszy ze względu na nich oboje.

— Przyjście — powiada. — To bije na głowę rozglądanie się za nowym kursem. — Judyta śmieje się na jego słowa i biegnie do kuchni ocalić z piekarnika kolację.

Pod jej nieobecność Tom czyta o Michaelu i Sarze, czyniąc przy tym w duchu porównanie, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie to jak dobudówka do ich życia, jak nowy pokaźny gmach chaotycznej egzystencji doczepiony do ich niewielkiego pedantycznego domu, i ta myśl poprawia mu nastrój, gdyż i on ma swoje smutki i pragnienia, żeby ot, pograć w piłkę z małym chłopcem i nauczyć go łączyć dwa kawałki drewna na jaskółczy ogon.

Tymczasem Judyta w kuchni ma wrażenie, że ciężarki, które latami ją przytłaczały, jeden po drugim spadają jej z piersi. Czuje się skąpana w świetle, z kośćmi sprężystymi i silnymi. Zagląda do spiżarki, zbiera dłonią z półki suszone daktyle i morele, po czym podchodzi do okna, otwiera je na oścież i wyrzuca owoce na zewnątrz, aby zjadły je ptaki. Potem ustawia kolację na tacy i znosi ją do Toma. Nim zaczną jeść, mówi mu, że wprost nie potrafi wyrazić, jak bardzo go kocha.

W swojej sypialni tego samego wieczoru Kate rozmawia z Harrym. Opowiada mu o ojcu, Marcie i Isobel i o tym, co powiedziała jej matka, gdy stały nad grobem Roberta. Mówiąc, siedzi po turecku na łożku, ubrana już w piżamę, z włosami założonymi za uszy i skupionym wyrazem twarzy. Stara się uważnie dobierać słowa, przedstawiając ten swoisty tryptyk, ponieważ czuje się odpowiedzialna za uchwycenie prawdy, nie chce niczego uronić ani przekreślić.

Opowiada więc o Marcie, o tym, w jakich okolicznościach poznała ją Isobel. Wspomina letni dzień, próg domu i kobietę, której palec złapał się w potrzask znieruchomiałej zasuw w drzwiach. Nie pomija „Przewodnika po budowlach sakralnych Anglii” wetkniętego w wilgotną ziemię grobu ani cyklu portretów zwróconych przez jej matkę minionego tygodnia. Mówi o Isobel takiej, jaka jest teraz, o nowo odkrytej u niej bezpośredniości i wytrzymałości. Przyznaje, że było to tak, jakby nagle puściła jakaś tama i tajona przez lata prawda wreszcie znalazła ujście; że ta prawda przebiegła ją niczym prąd, wywołując zupełnie nowe skojarzenia, nowe obrazy, niszcząc wiele z tego, co miała wcześniej za pewnik. Zastanawia się głośno nad ojcem, nad wyborami, których musiał dokonać. Twierdzi, że z czasem zapewne poczuje się tym bardziej osierocona, gdyż już za życia zataił przed nią coś, co było dlań niezwykle

ważne, lecz zarazem że rozumie, iż zachował się jak prawdziwie kochający rodzic, chroniąc ją przed wiedzą o tym, że nie darzył jej matki miłością. Ostrożnymi słowami opisuje związek Marty i Roberta, po części dlatego, że sama usłyszała o nim na podstawie pamiętnika ojca, po części zaś z tego względu, że Harry nie zdążył poznać jej ojca. Nie chce, by odniósł teraz wrażenie, że Robert popołgował pożądlivej chuci pod koniec swego życia. Zależy jej na tym, by Harry dostrzegł w tym romansie jego męstwo, choć czy robi to dla męża, czy dla siebie, tego Kate nie umiałaby powiedzieć. Nade wszystko pragnie, aby stało się dlań jasne, iż podobnej relacji nie było wolno zignorować Robertowi i Marcie, a przy tym że istnieją też inne, równie silne więzi.

Harry, słuchając, nie może oprzeć się wrażeniu, że Kate opowiada mu po prostu historię. Oczyma wyobraźni widzi kościelny ołtarz ustrojony bluszczem i eustomą; kobietę namalowaną na płazy z żelazkiem w ręce; rulon portretów związany starannie sznurkiem i przechowywany w szafce przez długie lata. Poznał Isobel już jako wdowę, żyjącą samotnie, toteż ma jej wyobcowanie, jej wyniosłą godność, jej otuchę czerpaną z małych sukcesów za coś naturalnego. Roberta zna tylko ze starych fotografii, z ryciny żaby, z uporządkowanej pracowni, która prawie wcale nie przypomina pomieszczenia, jakim była za jego życia. Trzymał w rękach jego wędkę na pstrągi i wodził palcem po wyżłobieniu, które musiało powstać pod naciskiem kciuka teścia, i jest to jedyny żywszy wgląd w przeszłość, jakiego dostąpił.

Kiedy Kate przerywa (a on nie ma pojęcia, jakiej reakcji od niego oczekuje), przychodzi mu do głowy myśl, że to wszystko tylko udowadnia, że w gruncie rzeczy człowiek jest zawsze sam. Harry nie umie, nie może wczuć się w dramatyzm przemodelowywanego na jego oczach dzieciństwa swojej żony, jej szkicowanej na nowo młodości.

Nagle nastrój Kate jakby ulega zmianie i żona patrzy mu prosto w oczy. Oznajmia, że zastanawiała się, jak ona by się czuła na miejscu swojej matki, jak by się czuła i co by zrobiła, gdyby się dowiedziała, że znalazł miłość gdzie indziej. Dodaje, że nadal go kocha, i to tak samo jak w dzień ich ślubu, ale że nie wystarczy kochać kogoś bez poczucia, że jest się kochaną w zamian. Dlatego chciałyby wiedzieć, jak to z nim jest, czy też ją kocha, a jeżeli przestał, wolałyby żyć sama. Nie zamierza prowadzić życia takiego jak jej matka, z męzkowskim sercem całkiem gdzie indziej, z jej ustami wyschniętymi od kłamstw. Nie będzie rekompensować sobie straty, przywdziewając zbroję nieliczących się dokonań.

— Chcę wiedzieć, co naprawdę czujesz — mówi mu. W przypływie szczerości napomyka, że ostatnio odnosiła wrażenie, jakby miał romans, a jeżeli nie romans, to przynajmniej że jego myśli krążyły z dala od niej i rodziny. — Nie interesuje mnie, czy zrodziła się w tobie pokusa — dodaje. — Muszę tylko wiedzieć, czy do czegoś doszło. Nasz związek powinien być zbudowany na wzajemnej szczerości.

Harry spogląda na nią przez szerokość łóżka i przypomina sobie, że w początkach ich znajomości tak właśnie siadywała, prowadząc z nim wieczorne i nocne rozmowy, i nagle ogarnia go bolesna świadomość tego, jak bardzo jest złożona, ile ma oblicz i smaków i że ostatnimi czasy traktował ją jak powietrze, jak coś oczywistego i zrozumiałego samo przez się, jak drobiazg trzymany od dawna w kieszeni i tak znajomy dłoni, że przez to niezauważalny. Widzi teraz ich małżeństwo jako szlak, na którym były przystanki negocjacji i kompromisów; widzi linie wyznaczone, przesuwane i ustalane od nowa pod nawałem obowiązków, zmian i dzieci. Zaczyna rozumieć, i doceniać, znaczenie małych tryumfów i małych niedoli. Pojmuje, tak nagle, że zapiera mu od tego dech w piersi, jak szalenie zagmatwana jest

prawda wynikająca z bezustannego przebywania razem dzień po dniu.

— Do niczego nie doszło — odpowiada, czując przegromną ulgę, że nie musi w tej materii kłamać, że Sara na łące przyłożyła mu palec do ust, powstrzymując to, co mogło się między nimi zdarzyć. Zastanawia się przelotnie, czy kobiety faktycznie mają intuicję, może jakąś emocjonalną wrażliwość, umiejętność odczytywania uczuć swoich i innych ludzi, i dziwi się, że on dopiero teraz jest w stanie zobaczyć to w szerszym kontekście. — Chyba po prostu musiałem to i owo przemyśleć — dodaje, zdając sobie sprawę, że brzmi to nieprzekonująco, kulawo, naprawdę kiepsko na tle słów jego żony, która tego wieczoru tryska pewnością siebie i zdecydowaniem. Kate patrzy wprost na niego, lecz nie odzywa się, jakby czekała, czy powie coś jeszcze. Zatem Harry kontynuuje: — Nie chcę, żebyśmy się rozstawali. Kocham cię i jest mi przykro, jeśli niechcący cię zraniłem.

Bierze ją w ramiona i całuje tak, jak nie czynił tego od miesięcy, czując przy sobie ciało żony, nieskończenie cenne i kruche.

Później, gdy Kate już śpi, przygląda się jej wygładzonej twarzy. Muska czubkiem kciuka jej policzek, aż do kącika ust, i z niedowierzaniem kręci głową, jak mógł narazić na niebezpieczeństwo to, co mają. Słyszy, jak w pokoju obok Oliwer mamrocze do siebie przez sen, a w łazience kapie deszczownica. Wiatr na zewnątrz przybiera na sile i wkrótce do odgłosów domu dołącza ciche postukiwanie luźnej rynny o ścianę. Jutro rano będzie musiał wdrapać się na drabinę i porządnie ją przymocować. Ale wcześniej usmaży w kuchni naleśniki z jagodami i przyniesie żonie śniadanie do łóżka. W ciągu dnia zagra z dziećmi w monopol i pozwoli Drewowi wybrać więcej pieniędzy z banku. A wieczorem znów będzie się kochał z Kate, gdyż sam nie wie, jak mógł zapomnieć, cóż to za wspaniałe uczucie.

Nieoczekiwanie przepełnia go ciepła, wyzywająca duma. Myśli o swoim życiu i tych wszystkich jego wersjach, które były możliwe, lecz nie uległy spełnieniu, i czuje wdzięczność za tę egzystencję, za to, że wybrał Kate i ma z nią dzieci, i wciąż są razem. Przykłada głowę do poduszki i delikatnie całuje żonę w usta, a gdy Kate lekko się porusza, nakrywa jej dłoń swoją i nie puszcza, powoli także odpływając w sen.

Sara się budzi. Nadszedł dzień przyjęcia. Zeszłego wieczoru siedziała na brzegu łóżka Grace i gdy dziewczynka zasypiała, odpowiadała na jej niezliczone pytania o to, kto przyjdzie, jakie będą potrawy, i zapewniała, że tak, oczywiście, Grace będzie mogła pomagać przy robieniu i podawaniu kanapek i roznoszeniu napojów.

Nie powiedziała jednak nic o Judycie; nie chce, by dziewczynka musowała od natłoku wyobrażeń i nadziei. Potrafi sobie wyobrazić, ile pytań by sama miała i że chciałaby usłyszeć wszystko po kolei. Zupełnie nie wie, jak jej dzieci podejną do tego, że mają trzy babcie (za żadną cenę bowiem nie może pozwolić, aby Sheila została zepchnięta na boczny tor).

Im tłoczniej, tym lepsza zabawa, powiedziała jej matka, dzwoniąc przed wyjazdem na urlop na Korsykę. Wprost nie mogę uwierzyć, że ominie mnie taka okazja, dodała, mając na myśli przyjęcie. Zwłaszcza że zanosi się na niezły show. Ciekawa jestem, jak ona wygląda, jak zachowa się na widok Michaela. Skarbie, zaznaczyła dobitnie, musisz dla mnie zapamiętać każdy szczegół i zdać mi sprawozdanie, kiedy wrócę. Kiedy kończyły rozmowę, zaśmiała się i rzuciła wesoło: „Możesz uważać się za szczęściarę, Saro. Wyobraź sobie tylko, mieć dwie matki takie jak ja!“. Sara poprosiła ją w odpowiedzi, żeby wysłała esemesa po wylądowaniu na miejscu, po czym odkładając słuchawkę, zdziwiona pomy-

ślała, że jej matce zawsze udaje się zachować dystans do wydarzeń, gdyż potrafi na wszystko patrzeć tak, jakby to był teatr, a nie życie.

Sara przetacza się po łóżku i kładzie głowę na ramieniu Michaela. Wyczuła, że nie śpi, już przed paroma chwilami, lecz dopiero teraz jest jej zdaniem gotów do rozmowy z nią.

— Jesteś podenerwowany? — pyta go.

— Nie, raczej zaciekawiony — odpowiada Michael. — Aczkolwiek to dobrze, że będą wokół inni ludzie, na wypadek gdyby cała sprawa okazała się katastrofą, gdyby na przykład Judyta spojrzała na mnie i nie poczuła najbliższej więzi.

— To niemożliwe — zaprzecza żywo Sara. — Nie próbowałaby cię odszukać, gdyby już nie czuła się z tobą w jakiś sposób związana. Choć z pewnością wszystko to musi być dla niej dość dziwne. Zastanawia mnie na przykład, na ile skryzalizowane w jej pamięci jest wspomnienie o tobie. A może wydaje jej się raczej, jakby przytrafiło się to komuś innemu? Była przecież taka młoda, że aż trudno sobie wyobrazić, co myślała i czuła.

— Jestem zaciekawiony — powtarza Michael. — Aż do tej pory nie zdawałem sobie chyba sprawy, jak bardzo.

Sara wstaje, ubiera się i pije poranną kawę, w myślach sporządzając listę zadań. Kateringowcy mają się pojawić o jedenastej, ona zaś musi tylko kupić bagietki i kwiaty. Uwielbia wybierać kwiaty — wydaje jej się to zawsze takie swawolne, takie wyjątkowe, tak że nawet jeśli ma na sobie zwykły T-shirt i dżinsy, czuje się częścią szerszego, wspanialszego świata, niosąc do auta czarne plastikowe wiaderka z łubinami i ostróżkami, gałązkami wierzby i eukaliptusa czy też zwyczajnymi drobniutkimi stokrotkami. Zupełnie jakby ona sama miała naciągnięte skórkowe rękawiczki do łokcia zapinane z boku na maleńkie guziczki

i odważny kapelusz z idealnie wymodelowanym rondem. Musi potrząsnąć głową, żeby pozbyć się sprzed oczu tego obrazu, lecz uczucie luksusu trzyma się jej parę sekund dłużej, pozostawiając miłe wspomnienie. Wylewa resztkę kawy do zlewu i woła do Grace, żeby się pośpieszyła, jeżeli naprawdę ma zamiar z nią iść.

Wychodzi do ogrodu i spogląda na ustawione na razie pod ścianą domu blaty, które oprą się na drewnianych kozłach, tworząc stoły dla gości. W powietrzu czuć bezruch zapowiadający piękną, upalną pogodę. Sara wierzy, że aura jej sprzyja, że podczas przyjęcia nie spadnie ani jedna kropla deszczu.

Michael skosił trawę, a ona porozstawiała donice z geranium i miętą indyjską. Teraz wyobraża sobie pomiędzy nimi przybyłych gości, którzy zaczną się zjawiać w południe, i nagle ogród zdaje się jej brzemienno możliwościami, czekający na to, co się tutaj zdarzy. Sara nie może się nie zastanowić, czy życiem nie kieruje przez przypadek niewidzialna dla naszych zmysłów fala, jakiś rodzaj pędu niewyczuwalnego przez najdokładniejsze instrumenty, czy nie ma z góry ustalonego planu, dzięki któremu wszystko prędzej lub później znajduje się na swoim miejscu. (Choćby to przyjęcie, które w pierwotnym zamysśle miało tylko potwierdzić jej małżeństwo z Michaelem, w bardzo subtelny sposób transponowało w coś całkiem innego, znacznie szerszego, ogólniejszego. Gdyż Sara postrzeża tę okazję jako tło dla Sheili, Judyty i Michaela, dla pierwszego spotkania matki z synem, i rozmyśla, jakież to łańcuch wydarzeń sprawił, że kobieta postanowiła go odszukać, i co jej mąż robił w chwili, gdy Judyta sięgnęła po słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do wydziału do spraw adopcji).

Sara jest skłonna uważać, że owa fala, niczym delikatna bryza niewidoczna dla ludzkich oczu, popycha wypadki naprzód, najpierw o lata, później o całe dekady, aż w koń-

cu splatają się one i osiągają punkt wprost niewyobrażalny w początkowej chwili. To sprawia, że myśli o Judycie i o tym, co będąc młodą dziewczyną, czuła, gdy kazano jej wyrzec się rodzonego dziecka, oraz naturalnie o sobie i swoich dzieciach (wciąż bowiem pamięta każde z nich w swoich ramionach tuż po porodzie i nie jest w stanie choćby wyobrazić sobie, jak by się zachowała, gdyby musiała przekazać je w obce ręce). Próbuje przewidzieć fale cierpienia i radości, które rzucone na wiatr niczym krwistoczerwone nasionka rozproszą się i wchłoną w czerwonym ogrodzie, podczas gdy Grace właśnie biegnie w stronę samochodu na podjeździe, z połówką niedojedzonego tosta w dłoni, z rozpuszczonymi włosami powiewającymi daleko za nią.

Duma, czy Sheila denerwuje się i jak to przyjmie. Oczami wyobraźni widzi, jak Judyta rozkłada na łóżku różne stroje i rozważa, który włożyć, jak powinna wyglądać, gdy po raz pierwszy zobaczy swego syna. Zastanawia się nad istotą macierzyństwa, nad tym, co to znaczy być matką, i już wie, że postrzega zarówno Sheilę, jak i Judytę w roli matki Michaela. Wyciąga odruchowo rękę do Grace i pomaga dziewczynce związać włosy w koński ogon. Otwiera drzwi samochodu, mówiąc:

— Wskakuj, bo się spóźnimy po kwiaty.

Dobrze by zrobiła, nadając mu wybrane imię Beau, Judyta widzi to natychmiast, jak tylko zjawia się w ogrodzie u boku Toma, i choć zjadają ją nerwy, jest równocześnie opanowana, a jej umysł pracuje na pełnych obrotach. Załedwie jedna z tysiąca myśli, że tak, mógłby nazywać się Beau, gdyż jest wysokim przystojnym mężczyzną, przelatuje jej przez głowę, właśnie kiedy Michael wita jakichś innych gości, a robi to w sposób, który zdaje się zarazem ciepły i pewny siebie, obok niego zaś stoi pani domu, to

musi być Sara, uznaje Judyta szybko, choć rozlatanych niczym chmara motyli dzieci wokół nie umie już przypisać do twarzy ani nazwisk, niemniej cała ta scena wydaje jej się tak urocza, tak żywa, że bez trudu wyobraża sobie Sarę w supermarkecie pchającą przepełniony wózek, zupełnie jak te kobiety, na które zawsze patrzyła z ukosa, z tą różnicą, że tym razem podobny obraz rodzinnej sielanki podnosi ją na duchu, toteż spogląda z uśmiechem na Toma, który ściska ją za rękę w chwili, gdy Sara dostrzega ich i zaczyna ku nim iść.

Przypomina Grace, a raczej Grace przypomina ją, uzmysławia sobie Sara, poprawiając się w duchu i wyciągając ręce do Judyty. Wysoka linia włosów na czole, to, jak kosmyki idealnie zaczepiają się o uszy, inne tego rodzaju drobiazgi — zdumiewające podobieństwo pomiędzy babcią i wnuczką. Sara nagle myśli o DNA Judyty upakowanym w komórkach Michaela; o Grace rosnącej w jej własnym łonie, a teraz — czyż to nie niesamowite? — wyglądającej jak skóra ściągnięta z biologicznej babki. Kręci się jej w głowie od tych wszystkich związków, zależności, więzów krwi, więzi rodzinnych, niczym sieć utrzymujących ich razem, choć czasem na dystans. Judyta przedstawia jej Toma i Sara czuje, że od razu go polubi, a potem znikąd pojawia się zdyszany Jack, który skarży się, że samolot mu się popsuł, na co Tom pyta poważnie, czy mógłby rzucić okiem, bo jest pewien, że da się temu zaradzić. Gdy znów zostają same, patrzy Judycie prosto w oczy i mówi:

— Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Myśli przy tym, że w całym swoim życiu nigdy nie mówiła szczerzej.

Michael rzuca spojrzenie w ich kierunku i zastanawia się, jak powinien się zwracać do Judyty (dochodzi do wniosku, że nie będzie mówił jej po imieniu, to by nadto wyraźnie wskazywało, że celowo unika alternatywy). Mam

dwie matki, myśli i niemal się do siebie uśmiecha; cóż za odkrycie dla mężczyzny tuż po czterdziestce, nie grozi mi kryzys wieku średniego od niedostatku zainteresowania. Przygląda się Judycie uważniej i rozważa, jak by ją odebrał, gdyby wkroczyła do jego biura jako potencjalna klientka. Jest wysoka, ma mocną budowę ciała, włosy obcięte na pазia. Strzela bystrymi oczami na wszystkie strony, Michael domyśla się, że chłonie każdy szczegół otoczenia. Wydaje się miła, uznaje w końcu, i zaraz przypomina sobie, że była ledwie o sześć lat starsza od Grace, kiedy go urodziła. Wie, że poza nim nie miała więcej dzieci, i nieco go dziwi, że to dla niego spora ulga. Jako jedynak miałyby zapewne trudności w przystosowaniu się do dużej rodziny, choć martwi go, jak ona radziła sobie z pustką w życiu. Obserwuje uważnie Sarę i nie może się nadziwić, że rozmawia z gościem bez cienia nieśmiałości czy skrępowania, zupełnie jakby to robiła codziennie od wielu lat. On czuje, że chce tak wiele powiedzieć, o tak wiele zapytać, że po prostu nie wiedziałby, od czego zacząć; jego pytania zdają się głazami, które trzeba przetoczyć przez wąską ogrodową ścieżkę. Nie, na to jeszcze za wcześnie, czuje się nazbyt podekscytowany, nazbyt niepewny. Ze swojego miejsca widzi, jak jego matka przecina trawnik na przełaj, zmierzając ku Judycie. Wydaje mu się właściwe, że to one porozmawiają pierwsze, i znajduje sobie zajęcie przy barku na wolnym powietrzu, gdzie sprawdza, czy wystarczająca liczba butelek wina została otwarta.

Pamięta, że kiedy był małym chłopcem i Sheila wyznała mu, że jest adoptowanym dzieckiem, powiedziała między innymi, że jego biologiczna matka podzieliła się z nią darem życia. Zapewniła go wtedy, że jej życie nie byłoby pełne, gdyby nie została matką, toteż Michael domyśla się, iż Sheila czuje wdzięczność wobec Judyty i łączy je swoista więź, aczkolwiek nie potrafiłby stwierdzić, na czym owa

więź dokładnie polega. Przy innej okazji zaczęła mówić: „W dniu, w którym cię dostaliśmy...”, lecz wzruszenie odebrało jej głos i nigdy się nie dowiedział, jakie byłyby następne słowa.

Judyta i Sheila rozpoznają się bez niczyjej pomocy i obie postępują w swoją stronę, tak że nie sposób powiedzieć, która zrobiła pierwszy krok; obie trzymają nienaturalnie ręce. Wydają się zdziwione, każda na swój sposób, tym, że ta druga jest starsza, ma bledszą skórę, inne włosy. Dziwnie jest im przyglądać się sobie nawzajem ze świadomością, że ich młodsze wersje wciąż tam są, ukryte głęboko niczym orzech w skorupce (tak przynajmniej widzi to Judyta, wyobrażająca sobie dawną wersję Sheili w łupinie sześćdziesięcioparolatki). Wibruje pomiędzy nimi szczątkowe zażenowanie, które czuły w przeszłości, tamtego dnia w sali przyjęć, gdzie Judyta stała boso, a Sheila siedziała, nadaremnie zastanawiając się, dlaczego dziewczynie nie podsunęto krzesła. Są jak dwie nieznajome, które połączyła przypadkowa niezwykła zażyłość, i Judyta z najwyższym trudem powstrzymuje się, by nie ująć obu rąk Sheili w swoje.

— Czyż tamto miejsce nie było okropne? — odzywa się Sheila, wiedząc, że jakakolwiek próba rozmowy o niczym czy prawienia komunałów byłaby żałośnie śmieszna w tych okolicznościach. — Wszystkie te dziewczęta, wszystkie te noworodki, to nie było w porządku, nie tak to się powinno odbywać.

— Teraz z pewnością jest inaczej — odpowiada Judyta — teraz nikt nie łączy macierzyństwa nieletnich z poczuciem wstydu. — Przez parę chwil obie kobiety milczą połączone wspomnieniem tamtego domu, tamtego pokoju. To prawda, myśli Judyta, to samo zachowanie dwadzieścia lat później nie wywołałoby nawet niczyjego skrzywienia. Zamiast tego jednak mówi: — Wciąż pamiętam komplecik, który miałaś wtedy na sobie.

— Nie rozumiałam, czemu jesteś boso — odrzeka tylko pozornie bez związku Sheila. — Potem w pracy, opiekując się pacjentami, zawsze zwracałam uwagę, żeby mieli coś na stopach.

— Tamta siostra przełożona — wspomina Judyta — musiała być mniej więcej w tym wieku co my teraz. Ciekawe, ile dzieci rozdała jak paczki w ciągu swego długiego życia.

— Jak paczki — podchwytuje Sheila i powtarza: — Zupęlnie jak paczki... — Mówiąc to, doskonale pamięta uczucie, jakby wszystkie święta Bożego Narodzenia zdarzyły się w jednym dniu. Urywa więc, niezdolna już do patrzenia Judycie prosto w oczy. Po chwili mówi ciszej: — Okno... Słyszałam, jak uderzasz w okno na górze, ale nie mogłam się odwrócić. Wybacz mi. Po prostu nie mogłam...

Judyta zagryza dolną wargę, nie mówi nic i jest to jak wybaczenie. Cieszy ją, że szyba wtedy nie pękła pod jej rękami i że ona nie nosi żadnych widocznych śladów.

— Kochałam go — kontynuuje Sheila. — Nie mogłabym go kochać bardziej. Nigdy nie zlekceważyłam swego zobowiązania, masz na to moje słowo.

Judyta widzi, że Sheila jest dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Widzi, że rzeczywiście była jej Adeoną, jej Eduszą; wychowała jej syna, ponieważ wszyscy wokół sądzili, że ona nie będzie w stanie tego zrobić. Czuje, że ma dług wdzięczności, a nie tylko, że ustąpił niepokój.

— Jest kochany — dodaje Sheila. — Jako jego matki mamy chyba prawo tak sądzić. Będziesz z niego bardzo dumna, kiedy się przekonasz, jaki on jest.

Judyta kiwa głową, ponieważ nagle mówienie staje się niemożliwe; pojmuje z wielką jasnością koncept dzielonego macierzyństwa i ma poczucie, że pomiędzy nią a tą niewielką korpulentną kobietą unosi się *iuo*.

— A wnuczęta — mówi tymczasem Sheila — zobaczysz, jak pokochasz wnuczęta...

I Judyta już ma pewność, choć sama nie wie skąd, że Sheila wyciąga w jej stronę obie ręce, w których trzyma ich życie, i pragnie się z nią podzielić. To znacznie więcej, niż mogła się spodziewać, niż mogła marzyć; w jej piersi spiętrza się nadzieja. Niczym na slajdach wyświetlanych przez projektor widzi znów salę przyjęć, czuje własną wilgoć i słyszy kobietę za biurkiem w kącie, która ani na moment nie przestała pisać; widzi Henry'ego i jego wieczne pióro, biały luźno tkany kocyk, a potem nagle wszystko blednie i przenosi się tutaj. Patrzy na ogród Michaela i Sary w to czerwcowe popołudnie, na twarz Sheili, która jest starsza, miększa, troskliwa i ciepła, na niesłychanie błękitne niebo i nagle zdaje sobie sprawę, że obok niej stoi dziecko, które chce poczęstować ją czymś do picia.

— To jest Grace, córka Michaela — przedstawia dziewczynkę Sheila, a Judyta pozwala sobie spojrzeć na rączkę trzymającą niepewnie tacę ze szklankami.

Ze zdumieniem spostrzega, że patrzy na miniaturową wersję swojej dłoni, na takie same szeroko zakończone palce i charakterystyczny kształt paznokcia kciuka. Uśmiecha się do swojej wnuczki, która nie ma pojęcia, kim są dla siebie, i mówi:

— Z przyjemnością się czegoś napiję, dziękuję.

Biorąc z tacy szklankę, delikatnie muska dłoń dziecka i w tej samej chwili wszystko, co widzi, krystalizuje się w tynsiącobarwny obraz, który zapada jej w pamięć, serce i duszę. Kiedy odszukuje wzrokiem Toma, jej mąż uświadamia sobie, że tak promiennej Judyty jeszcze nigdy nie miał przed sobą.

Isobel uśmiecha się ciepło na widok nadchodzącej Sheili (zdażyła już usłyszeć od córki o Judycie). Nie potrafi sobie wyobrazić, aby można było coś takiego dobrze znieść, ale Sheila wydaje się spokojna i szczęśliwa, co dziwi ją nie-

pomiernie. Zbliża się do niej pewnym krokiem, odprężona i zupełnie naturalna, zatrzymując się po drodze po to tylko, by pocałować wnuka, który biegnie jak szalony z małym drewnianym modelem samolotu w ręce. Isobel zastanawia się, jakie to uczucie, kiedy dziecko jest i zarazem nie jest własne. Wie dobrze, jak wygląda sytuacja w wypadku męża, jednakże nie sądzi, by przedstawiało się to tak samo, gdy idzie o matkę i syna. Czy świadomość wcześniejszej, podstawowej, fizycznej więzi byłaby deprymująca, czy zrodziłaby się obawa, że cała masa podobieństw weźmie górę? Czy nagle przestałyby mieć znaczenie lata opieki, gotowania posiłków, układania do snu, czy też tkwiłyby one na horyzoncie niczym góra niewzruszona w obliczu więzów krwi przedartych tuż po narodzinach? Sheila wygląda na pogodną, tyle tylko Isobel dostrzega i imponuje jej to poczucie własnej godności, wita więc znajomą szczerym pocałunkiem.

— Jak się miewasz? — pyta ją Sheila. (Zaczyna czuć pewność, że poradzi sobie z tą sytuacją. Przyjęcie jest udane, nie żałuje spotkania z Judytą, w jej umyśle zaczyna się klarować wyobrażenie, jak to wszystko się skończy, że koło domknie się nareszcie).

— Nieźle, dziękuję — odpowiada Isobel. — Robię, co mogę, żeby nie zwracać uwagi na skargi moich starych gości.

Sheila przybiera profesjonalną minę pielęgniarki geriatrycznej i mówi:

— Gdybyś znała moich pacjentów, nigdy nie nazwałabyś swoich gości starymi. Poza tym w ubiegłym tygodniu widziałam coś, co powinno nas obie pocieszyć.

— Co takiego? — Isobel jest ciekawa. Nie ma pojęcia, do czego zmierza ta rozmowa. Wie tylko, że Sheila jest pielęgniarką, nie orientuje się, gdzie dokładnie pracuje.

— Obrazy — odpowiada Sheila. — Portrety kobiety, która miała chyba sześćdziesiątkę na karku, kiedy powstała. Cudowne, dość niekonwencjonalne, lecz mimo to cudowne. Modelka prezentowała się prześlicznie, a przede wszystkim w pełni życia, to właśnie zastanowiło mnie najbardziej i wywarło na mnie największe wrażenie. Postanowiłam, że kiedy następnym razem moje stawy zaprotestują przy wstawaniu z łóżka, pomyślę o niej.

— Czy ta kobieta ma może na imię Marta? — zadaje pytanie Isobel, która w tym krótkim czasie uznała, że czas na szczerość.

— Tak — potwierdza Sheila. — Skąd u licha ją znasz?

— Mój mąż ją znał, nie ja — wyjaśnia spokojnie Isobel. — To on namalował te obrazy. Byli kochankami do samego końca jego życia.

Powiedziała to; powiedziała; słowa wypadły jej z ust niczym pestki po wiśniach.

Jak zwyczajnie, jak błaho to brzmi powiedziane w ten sposób. O ileż łatwiej jest człowiekowi oddychać, gdy pozbędzie się balastu kłamstw i półprawd. Isobel bierze głęboki oddech przekonana, że tak jest uczciwiej.

Widzi, że Sheila się waha, nie wiedząc, jak zareagować. (Czyżbym przez swoją nowo odkrytą prostolinność wyszła na osobę pozbawioną taktu? zastanawia się w duchu. Wie, że wprawianie drugiego człowieka w zmieszanie świadczy o braku dobrych manier bez względu na to, jak szalenie oczyszczające mogłoby się okazać dla niej).

— Nic się nie stało — zapewnia prędko znajomą. — Było to dość nieoczekiwane, przyznaję, ale to naprawdę nic takiego. Im starsza się robię, tym łatwiej przychodzi mi się pogodzić, że małżeństwo często bywa czymś zupełnie innym, niż się z pozoru wydaje.

Niespodziewanie Sheila patrzy jej prosto w oczy i mówi po prostu: — Wiem — sugerując współudział, dzieloną wie-

dzę, swego rodzaju duchową agnację. — Ale — kontynuuje — najoczywistsza więź nie jest jeszcze miarą wszystkiego. — Isobel zgadza się z tym stwierdzeniem i chciałaby pociągnąć temat, zadając niedyskretne pytanie, lecz stare nawyki szybko nie umierają, a ona właśnie pozwoliła sobie już na jeden wyłom we wrodzonej powściągliwości. — Spójrz tylko na nas — dodaje Sheila. — W moim wypadku dwie matki do jednego syna, w twoim dwie kobiety do dawno zmarłego męża. Życie nie zawsze jest akuratne, usystematyzowane i chyba nie tego należy od niego oczekiwać.

Isobel uśmiecha się na tę mądrość zdobytą w podeszłym wieku.

Sara stoi przy grillu, kiedy podchodzi do niej Harry.

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu. Świetnie wyglądasz — mówi, patrząc na jej błękitną sukienkę z marszczonego jedwabiu i wisiołek z opalem odcinający się od promiennej skóry, i marzy o dniu, kiedy tak jak teraz spojrzy na nią i nie poczuje pożądania, gdyż Sara przestanie być uosobieniem tego wszystkiego, czego on pragnie, lecz nie może mieć. A Sara, mimo iż odczuwa jeszcze rezydualny pociąg, mimo iż jej najniżej położone kręgi zdają się wyginać, jakby ta część ciała była w niewidzialny sposób połączona z ciałem Harry'ego i chciała stopić się z nim w jedno, wie już, że to minie, z czasem, stopniowo, jak z nadmorskiego piasku cofa się woda w trakcie odpływu, i że jeśli tylko wykaże się cierpliwością i wytrwałością, będzie w stanie widywać go bez uczucia tęsknoty, ponieważ jej wzrok przykuje wszystko to, co jeszcze jest dla niej ważne, co sobie ceni, i w tym właśnie odnajdzie swój spokój, ma co do tego pewność.

— Ty również — odpowiada z uśmiechem i oboje mają świadomość, że ich słowa są niemal całkiem pozbawione żarliwości, niemal całkiem bez ferworu, zupełnie jakby

ktoś skręcił termostat, co pozwoli im już niebawem zachowywać się jak para przyjaciół, którą przecież są.

— Miałaś rację — rzecze cicho Harry. — Jestem ci wdzięczny, że zobaczyłaś to wcześniej ode mnie.

Sara uśmiecha się do niego, myśląc o tym wszystkim, czego razem nie zrobią, o wiedzy na jego temat, której nigdy nie posiadzie, i z nagłą czuje, jak niespełniona ewentualność opuszcza jej ciało niczym wypuszczone z westchnieniem powietrze.

Nagle przypomina sobie zwrot używany przez swoją babcię, palić komuś świeczkę, tak to zdaje się szło. Przemawia do niej ta metafora, którą otacza skromna aureola świętości, zapach woskowej świecy trzymanej w dłoniach, topiącej się i migotliwej. Coś takiego jej zdaniem służy podkreśleniu czyjeś wyjątkowości, nie w sposób manifestacyjny ani na pokaz, poprzez rzucające się w oczy zachowanie, tylko poprzez głęboko skrywane uczucia. Taka świeczuszka, myśli sobie Sara, może płonąć niezauważona pośród większego pożaru, pośród ognia tego, co ważniejsze. I zaczyna postrzegać to, co czuje do Harry'ego, jako drobny szczegół na obrzeżach obrazu, którego centrum zajmuje Michael z dziećmi. To sprowadza na nią początek spokoju, toteż może powiedzieć, nie przestając się uśmiechać:

— Kate i ja wiele rozmawiamy, to daje nam fory. — Następnie pochyła się do przodu, całuje Harry'ego w policzek i nie ma w tym geście prawie wcale wcześniejszej namiętności. — Jesteśmy szczęściarzami — dodaje, a on zgadza się z nią, że w istocie, są szczęściarzami.

Później Sara widzi, jak on i Kate rozmawiają z kimś z kancelarii jej męża; ramię Harry'ego obejmuje Kate w talii, co ją niezwykle cieszy. Wydaje się jej, że to przyjęcie ma moc naprawczą, ozdowieńczą. Podchodzi do Michaela i obejmując go ciasno w pasie obiema rękami, szepcze:

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu, najdroższy.

Kiedy Michael w końcu przed nią staje, Judyta nieomal słyszy, jak wszystkie wyobrażenia powstałe w jej umyśle roztrzaskują się w proch. Jesteś taki duży, chce mu powiedzieć, ale zaraz zdaje sobie sprawę, jak śmiesznie by to zabrzmiało, że to przecież oczywiste. Wciąż jednak pamięta jego obraz jako małego chłopca, który sobie stworzyła, dziecka w pośpiechu jedzącego obiad i wybiegającego na dwór, żeby się dalej bawić. Pamięta wymyślony rowerek, na którym jeździł, szkolne fotografie, pannę młodą, jaką mu zaprojektowała, lecz teraz uzmysławia sobie z radością, że nic z tego nie było nawet w połowie tak doskonałe jak to, co ma przed sobą. Tymczasem Michael, zupełnie jakby czytał jej w myślach, uśmiecha się, wyciąga ręce i z dłońmi zwróconymi ku niebu mówi:

— Cóż, mam nadzieję, że się nie rozczarowałaś.

Judyta śmieje się w głos, z prawdziwą przyjemnością — trudno jej w to uwierzyć, a jednak tak jest — i z łatwością znajduje odpowiedź na jego pierwsze słowa.

— Ja również.

Michael zatacza krąg ramieniem, obejmując tym gestem Sarę, troje dzieci, dom, psa śpiącego pod drzewem, i stwierdza:

— Obawiam się, że to może przypominać wsiadanie na karuzelę w ruchu. — A kiedy Judyta mówi, że nie ma nic przeciwko temu, nachyla się ku niej i całuje ją w policzek.

Jakiś czas potem Judyta przysiadła na ławce obok Henry'ego, który zdaje się jej szlachetny i delikatny, i słucha z uwagą, gdy mężczyzna pęczniąc z dumy, opowiada jej o dokonaniach Michaela. Promienie słońca mocno przegrzewają i Judyta w pewnym momencie spostrzega, że Henry najchętniej uciałby sobie drzemkę, więc zostawia go

na ławce, oprószonego plamkami światła przesączającego się przez niemal nieruchome listki drzewa, a sama przystaje na skraju trawnika.

Przygląda się obecnym na przyjęciu kobietom (jedna jest w ciąży, druga trzyma małą dziewczynkę za wyciągnięte do góry ramionka, podczas gdy tłuściutkie nóżki tupią w miękką ziemię) i ma pewność, że wszystkie są wcieleńiami Junony. Sara właśnie kuca obok Rory'ego, który pokazuje jej ogromnego ślimaka; Kate poprawia kokardę we włosach Emmy; Isobel wyjaśnia Oliwerowi, jak szczepi się drzewka; Sheila siedzi pod jabłonką z Jackiem ułożonym wygodnie na jej kolanach. Judyta rozmyśla o miłości macierzyńskiej, o jej odwiecznym prymacie i niesłabnącej sile, i gdy się ogląda, spostrzega, że koło niej stoi Grace trzymająca w rączkach wielką misę z truskawkami; zerka w dół i czuje, że dziewczynka ofiarowuje jej znacznie więcej: błogosławieństwo unoszące się na skrzydłach niczym biały gołąbek.

Wybiera palcem wskazującym i kciukiem jedną z truskawek; owoc jest intensywnie czerwony, jędrny i miły w dotyku. Judyta czuje słodycz jego zapachu, widzi plamkę soku na opuszcze. Jeśli ziemia kiedykolwiek wydała truskawkę doskonałą, jest nią właśnie ta, którą trzymam w palcach, myśli i to wywołuje kolejne skojarzenie. Jeśli rzucić kamyk w przejrzystą spokojną toń jeziora, spowodowane przezeń koncentryczne kręgi tylko wzmacniają idealną perfekcję. Judyta przeczuwa, że gdyby podniosła wzrok (bo w oczach zebrały jej się łzy i nawet błękit nieba zdałby się teraz przytłumiony), ujrzałaby każdy atom tego ogrodu, każdą znajdującą się tu osobę jako potwierdzenie panującej w świecie symetrii i ładu.

Zdarzają się w życiu okresy, kiedy wszystko jawi się jako patologia, kiedy sama idea normalności zdaje się niemożliwa w obliczu zahamowań i przeszkód. Zdarzają się chwile,

ona wie o tym jak nikt inny, kiedy niepokój potrafi wyssać powietrze z płuc, a jedynym sposobem na to, by przetrwać, jest zacisnąć mocno zęby i przeć przed siebie z pochyloną głową niczym wędrowiec pośród nawałnicy.

Lecz bywają też momenty (tak uważa, wkładając truskawkę do ust i odszukując spojrzeniem Toma, który dał się wciągnąć do gry w piłkę z chłopcami, i czując, jak przepęłnia ją nieopisana radość), kiedy wszystkie winy zostają puszczone w niepamięć i człowieka ogarnia poczucie absolutnego spełnienia, tak jak ją teraz, za co jest nieskończenie wdzięczna, gdyż coś takiego to aż nadto szczęścia.

PODZIĘKOWANIA

Marta zawdzięcza swoją rozległą wiedzę na temat budowl sakralnych wspaniałej książce Simona Jenkinsa zatytułowanej „England's Thousand Best Churches”, natomiast Judyta znajomość bóstw starożytnych Rzymian przekrojowemu kompendium autorstwa Lesley i Roya Adkinsów pt. „Dictionary of Roman Religion”.

Podziękowania za wsparcie i zachętę zechcą przyjmując: Freda Blackwood, Jane i Broniek Masojada, Mark Daugherty, Corinne Hayes, Abha Joshi-Gnani, Maeve Quaid, Beaty Rubens, Sally i Jeremy Rowland, Faith Stevenson oraz Tess Wicksteed.

Pragnę również podziękować całemu zespołowi wydawnictwa Transita. Giles Lewis i Nikki Read niechaj przyjmą ukłony za udzielenie mi wotum zaufania, a moja redaktorka, Elspeth Sinclair, za rozumny wkład.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec mojej agentki literackiej, Helenki Fuglewicz, za jej zapał i wdzięk i za to, że dzięki niej wszystko staje się bardziej możliwe, oraz wobec Rosa Edwardsa i Julii Forrest z agencji Edwards Fuglewicz, którzy sprawili, że możliwe stało się realne.

Claire Batten, Barbara Bradshaw i Linda Longshaw towarzyszyły mi przez całą drogę, szafując swym czasem, mądrością i intuicją. Wszystkim trzem składam wielkie dzięki.

Moim Rodzicom, Jean i Edwinowi Langdale, przekazuję wyrazy miłości i wdzięczności za ich gotowość do kibicowania mi w każdej sytuacji, a mojej siostrze Rachel za trzeźwy osąd.

Moje dzieci, Finn, Georgia, Harry i Noah, zasłużyły sobie na całusy za wszelkie podpowiedzi, jakich mi — świadomie i nieświadomie — udzieliły. Na koniec zaś daję wyraz swojej stałej miłości do Hamisha i dziękuję mu za to, że mi pomagał i podtrzymywał mnie na duchu w jedyny w swoim rodzaju sposób.